

PONAD MILION SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY



O  
JEDNO  
CIĘ  
PROSZĘ

KAŻDY Z NAS MA  
JAKIŚ SEKRET

LAURA DAVE

MARGINESY

**O  
JEDNO  
CIĘ  
PROSZĘ  
LAURA DAVE**

**PRZEŁOŻYŁA  
EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA**

**MARGINESY**

Tytuł oryginału *The Last Thing He Told Me*  
Przekład EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

Wydawca KATARZYNA RUDZKA  
Redaktor prowadzący ANDRZEJ SZEWCZYK  
Redakcja IDA ŚWIERKOCKA  
Korekta JUSTYNA TECHMAŃSKA, BEATA WÓJCIK  
Projekt okładki STEVE PANTON  
Adaptacja projektu okładki ANNA POL  
Cytat z Konfucjusza na s. 245 za: *Dialogi konfucjańskie*, przeł. K. Czyżewska-Madajewicz,  
M.J. Künstler, Z. Tłumski, Wrocław 1976, s. 63.  
Zdjęcie na okładce © Mardis Coers / Moment Mobile / Getty Images  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com  
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK

*The Last Thing He Told Me*

Copyright © 2021 by Laura Dave

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Warszawa 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67262-10-1

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75

[redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Joshowi i Jacobowi, moim cudom najśłodszym,  
oraz Rochelle i Andrew Dave'om  
za absolutnie wszystko

(no dalej powiedział  
nie szalej powiedziała  
kto szaleje powiedział  
ty aniele powiedziała)  
e.e. cummings  
przeł. Stanisław Barańczak

# Prolog

Owen żartował sobie ze mnie, że wszystko gubię, że uczyniłam z gubienia rzeczy prawdziwą sztukę. Okulary przeciwsłoneczne, klucze, rękawiczki, bejsbolówki, znaczki, aparaty fotograficzne, komórki, butelki coli, długopisy, sznurówki. Skarpetki. Żarówki. Foremki do lodów. Zasadniczo miał rację. Rzeczywiście kiedyś miałam skłonność do nieodkładania rzeczy na miejsce. Do rozpraszania się. Do zapominania.

Na drugiej randce zgubiłam bilet parkingowy z garażu, w którym zostawiliśmy samochody, żeby pójść na kolację. Każde z nas przyjechało swoim wozem. Owen później z tego żartował – uwielbiał się nabijać, jak to uparłam się przyjechać sama na tę drugą randkę. Żartował na ten temat nawet w noc poślubną. A ja śmiałam się z tego, jak mnie maglował tamtego wieczoru, bez końca wypytując o moją przeszłość – o mężczyzn, których rzuciłam, i o tych, którzy rzucili mnie.

Mówił o nich „potencjalni chłopcy”. Wzniósł za nich toast i powiedział, że gdziekolwiek są, jest im wdzięczny, że to nie ich szukałam, więc teraz on siedzi naprzeciwko mnie.

– Ledwie mnie znasz – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Trudno w to uwierzyć, prawda?

Nie mylił się. Od samego początku między nami było coś obezwładniającego. Lubię myśleć, że dlatego byłam rozkojarzona. Dlatego zgubiłam wtedy bilet parkingowy.

Zaparkowaliśmy na parkingu hotelu Ritz-Carlton w centrum San Francisco. A parkingowy krzyczał, jak bardzo go nie obchodzi, że podobno byliśmy tylko na kolacji.

Opłata za zagubiony bilet wynosiła sto dolarów.

– Może trzymacie tu te samochody od wieków – mówił parkingowy. – Skąd mam wiedzieć, że nie chcecie mnie zrobić w konia? Sto dolarów plus podatek za każdy zgubiony bilet. Na tablicy jest napisane. – Sto dolarów plus podatek, żeby pojechać do domu.

– Na pewno go zgubiłaś? – spytał Owen. Ale się przy tym uśmiechał, jakby to była najlepsza informacja, jaką o mnie zdobył tego wieczoru.

Na pewno. I tak jednak przeszukałam każdy centymetr wynajętego volvo i drogiego sportowego wozu Owena (mimo że wcześniej w nim nie byłam) i całego szarego wielgachnego parkingu. Zero biletu. Po prostu przepadł.

Tydzień po zniknięciu śnił mi się Owen, jak stoi na tym parkingu. Miał na sobie ten sam garnitur – ten sam uroczy uśmiech. W tym śnie zdejmował obrączkę ślubną.

– Zobacz, Hannah – powiedział. – Ja też się zgubiłem.

## **CZEŚĆ PIERWSZA**

Nie mam cierpliwości do naukowców, którzy biorą kawałek drewna, wybierają jego najcieńszą część i wiercą dziury tam, gdzie jest to najłatwiejsze.

Albert Einstein



## Jeśli otwierasz drzwi nieznanym...

W kółko leci coś takiego w telewizji. Rozlega się pukanie do drzwi, a po ich drugiej stronie ktoś czeka, żeby cię powiadomić, że wszystko się zmieniło. W telewizji zwykle jest to kapelan policyjny albo strażak, albo przedstawiciel sił zbrojnych po cywilnemu. Ale kiedy ja otwieram drzwi – kiedy się dowiaduję, że dla mnie się wszystko zmieni – posłańcem nie jest policjant ani urzędnik federalny w odprasowanych spodniach. To dwunastoletnia dziewczynka w stroju piłkarskim. Ochraniaczach itepe.

– Pani Michaels? – pyta.

Waham się chwilę. Często tak robię, gdy ktoś mnie pyta, czy jestem tym, kim jestem. I tak, i nie. Nie zmieniłam nazwiska. Byłam Hanną Hall przez trzydzieści osiem lat, zanim poznałam Owena, i nie widziałam powodu, by od tamtego momentu stać się kimś innym. Ale jesteśmy już ponad rok po ślubie i przez ten czas nauczyłam się jednak nie poprawiać ludzi. Bo tak naprawdę pytają przecież, czy jestem żoną Owena.

Na pewno to właśnie chce wiedzieć ta dwunastolatka, i tu muszę wyjaśnić, skąd wiem, że ona ma dwanaście lat, skoro przez większość życia dzieliłam ludzi na dwie kategorie: dzieci i dorosłych. Ta zmiana to rezultat ostatniego półtora roku, zasługa córki mojego męża, Bailey, która jest w wyjątkowo niezachęcającym wieku lat szesnastu. To efekt mojej pomyłki, gdy przy pierwszym spotkaniu z nieufną Bailey powiedziałam, że wygląda na młodszą. Nie mogłam zrobić nic gorszego.

A może coś by się znalazło. Gorsza była pewnie próba poprawy wrażenia dowcipem o tym, jak to bym chciała, żeby ktoś mi tak powiedział. Bailey mnie nie trawi od tego czasu, choć już wiem, że przy szesnastolatce lepiej nie rzucać żadnych żartów. Najlepiej w ogóle nie za dużo z nią rozmawiać.

Ale wróćmy do mojej dwunastolatki stojącej na progu, przestępującej z nogi na nogę w brudnych korkach.

– Pan Michaels prosił, żebym to pani dała – mówi.

I gwałtownym ruchem wyciąga przed siebie rękę, w której trzyma złożoną kartkę z żółtego notesu. Na wierzchu widzę „Hannah” skreślone

pismem Owena.

Biorę kartkę, patrząc dziewczynce w oczy.

– Przepraszam... coś mi umknęło... Jesteś koleżanką Bailey?

– Kto to jest Bailey?

Nie spodziewałam się potwierdzenia. Dwunastolatki i szesnastolatki dzieli przepaść. Ale nie rozumiem... Dlaczego Owen po prostu do mnie nie zadzwonił? Dlaczego angażował tę dziewczynkę? Przede wszystkim przyszło mi do głowy, że coś się stało Bailey, a Owen nie mógł się wyrwać. Ale Bailey jest w domu, unika mnie jak zwykle, jej głośna muzyka (dzisiaj jest to Beautiful: The Carole King Musical) pulsuje aż na dole, zapętlona przypominajka, że nie jestem mile widziana w jej pokoju.

– Przepraszam... trochę nie rozumiem... gdzie się z nim spotkałaś?

– Biegł korytarzem – mówi.

Przez chwilę myślę, że chodzi o nasz korytarz, ten za moimi plecami. Ale to nie ma sensu. Mieszkamy w domu na wodzie, powszechnie się mówi „barka mieszkalna”, tylko nie tu w Sausalito, gdzie jest ich cała dzielnica. Czterysta takich przybytków. Tutaj to są pływające domy – mają wielkie okna i malowniczo się prezentują. Naszym chodnikiem jest pomost, w korytarzu mamy salon.

– Więc spotkałaś pana Michaela w szkole?

– Tak właśnie powiedziałam. – W jej oczach widzę pytanie: „A gdzie miałabym go spotkać?”. – Szłyśmy z moją koleżanką Claire na trening. I on poprosił, żebyśmy to podrzuciły. Uprzedziłam, że mogę to zrobić dopiero po treningu, a on powiedział, że okej. Dał nam pani adres.

Podnosi drugą kartkę na dowód.

– I dwadzieścia dolarów – uzupełnia.

Pieniądzy nie pokazuje. Może sądzi, że jej zabiorę.

– Zepsuł mu się telefon czy coś i nie mógł się do pani dodzwonić. Nie wiem. Prawie się nie zatrzymał.

– I... i powiedział, że zepsuł mu się telefon?

– A skąd bym to wiedziała?

W tym momencie dzwoni jej komórka – w każdym razie myślę, że to komórka, ale ona zerka na urządzenie przy pasku wyglądające bardziej na wymyślny pejdżer. Czy znowu się używa pejdżerów?

Piosenki Carole King. Nowoczesne pejdżery. Jeszcze jeden powód, dla którego pewnie Bailey brakuje dla mnie cierpliwości. Absolutnie nie mam pojęcia o świecie nastolatek.

Dziewczyna stuka coś na urządzeniu, już zapominając o Owenie i swoim zleceniu za dwadzieścia dolarów. Nie chcę, żeby odeszła, bo dalej nie rozumiem, co się dzieje. Może to jakiś dziwny dowcip. Może Owen uważa, że to zabawne. Moim zdaniem to nie jest zabawne. W każdym razie tak myślę w tej chwili.

– Do widzenia – mówi dziewczynka.

Odchodzi pomostem. Patrę, jak jej sylwetka robi się coraz mniejsza, słońce znika w wodach zatoki, a drogę oświetla garść pierwszych gwiazd.

Też wychodzę przed dom. Chyba mam nadzieję, że Owen (mój uroczy i niemądry Owen) wyskoczy gdzieś z boku, a za nim będzie chichotać reszta drużyny piłkarskiej, tłumacząc mi prank, którego najwyraźniej nie pojęłam. Ale nie ma go. Nikogo nie ma.

Więc zamykam drzwi naszego domu. I patrę na żółtą kartkę w swoich dłoniach. Jeszcze jej nie przeczytałam.

W ciszy uświadamiam sobie, jak bardzo nie chcę jej przeczytać. Nie chcę poznać jej zawartości. Pragnę się trzymać tej ostatniej chwili – chwili, gdy ciągle da się wierzyć, że to żart, błąd, absolutnie nic; gdy jeszcze nie wiem, że zaczęło się coś, czego nie mogę zatrzymać.

Rozkładam kartkę.

Wiadomość od Owena jest krótka. Jedna linijka, niezrozumiała.

„Chron ją”.

## Greene Street w dawnych czasach

Poznałam Owena dwa lata temu z kawałkiem.

Mieszkałam wtedy jeszcze w Nowym Jorku. Pięć tysięcy kilometrów od Sausalito, niewielkiej miejscowości w północnej Kalifornii, gdzie teraz jest mój dom. Sausalito znajduje się po drugiej stronie Golden Gate, patrząc od San Francisco, ale od miejskiego życia dzieli je cały świat. Jest ciche, urocze. Senne. To miejsce Owen i Bailey nazywali swoim domem od ponad dziesięciu lat. Sausalito jest też całkowitym przeciwieństwem mojego poprzedniego życia, które prowadziłam na Manhattanie, w pracowni na Greene Street w SoHo – w niewielkim lokalu o astronomicznym czynszu, na który raczej mnie nie było stać. Służył mi za warsztat i za showroom.

Obrabiam drewno. Na tym polega moja praca. Ludzie zwykle robią miny, kiedy im mówię, że zajmuję się tym zawodowo (jakkolwiek staram się to opisać), do głowy przychodzą im obrazki z zajęć praktyczno-technicznych w liceum. Lubię mówić, że to rzeźbienie, tylko że rzeźbię w drewnie, nie w glinie.

Zdobyłam ten zawód w sposób naturalny. Mój dziadek był tokarzem – do tego doskonałym – i odkąd pamiętam, moje życie kręciło się wokół jego pracy. Odkąd pamiętam, moje życie kręciło się wokół niego, ponieważ zasadniczo to on mnie wychował.

Mój ojciec Jack i moja matka Carole (która wolała, bym zwracała się do niej po imieniu) w żadnym stopniu nie byli zainteresowani wychowywaniem dziecka. W ogóle niczym nie byli zainteresowani oprócz kariery fotograficznej ojca. Kiedy byłam mała, dziadek usiłował zachęcać moją matkę do zajmowania się mną, ale ojca ledwie znałam, ponieważ przez dwieście osiemdziesiąt dni w roku podróżował. W czasie wolnym od pracy zaszywał się na ranczu rodzinnym w Sewanee w Tennessee, zamiast jechać do domu dziadka we Franklin i pobyć ze mną. A krótko po moich szóstych urodzinach, kiedy odszedł od matki do swojej asystentki – kobiety o imieniu Gwendolyn, która właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat – moja matka też przestała przyjeżdżać do domu. Uganiała się za

moim ojcem, aż przyjął ją z powrotem. Wówczas już na dobre zostawiła mnie z dziadkiem.

Brzmi jak łzawa historia, ale to tylko pozory. Oczywiście trudno uznać za idealną sytuację, gdy twoja matka w zasadzie znika. Na pewno osoba, której się to przytrafi, nie czuje się dobrze. Ale z perspektywy czasu myślę, że matka wyświadczyła mi przysługę, odchodząc w ten sposób. Przynajmniej nie mam wątpliwości: nic nie mogłam zrobić, żeby została.

Jej odejście sprawiło też, że byłam szczęśliwsza. Dziadek był zrównoważony i miły. Codziennie robił mi kolację, czekał, aż skończę posiłek, zanim powiedział, że czas na wstanie od stołu i czytanie mi bajki przed snem. I zawsze mi pozwalał patrzeć, jak pracuje.

Uwielbiałam patrzeć, jak pracuje. Brał do ręki wielki kawałek drewna i umieszczał go w tokarce, by przeobrazić go w coś magicznego. A jeśli efekt nie był odpowiednio magiczny, dziadek zaczynał od początku.

To był mój ulubiony moment: kiedy podnosił ręce do góry i mówił: „No cóż, musimy to zrobić inaczej, prawda?”, i szukał nowej drogi do tego, co chciał stworzyć. Niewątpliwie dowolna psycholożka z prawdziwego zdarzenia powiedziałaaby: to musiało mi dawać nadzieję – pewnie myślałam, że dziadek zrobi to samo ze mną. Zacznie od nowa.

Ale jeśli już, to chyba czerpałam pocieszenie z czegoś zupełnie innego. Przyglądając się dziadkowi przy pracy, uczyłam się, że nie zawsze idzie jak po maśle. Że próbujesz raz tak, raz inaczej, ale nigdy nie rezygnujesz. Robisz to, co trzeba, dokądkolwiek to cię prowadzi.

Nie spodziewałam się, że odniosę sukces w obróbce drewna – ani w wybranej specjalizacji, czyli w tworzeniu mebli. Raczej zakładałam, że nie będę w stanie się z tego utrzymać. Dziadek regularnie musiał dorabiać, podejmując się prac budowlanych. Ale dość wcześnie, gdy jeden z moich bardziej imponujących stołów pojawił się w „Architectural Digest”, znalazłam swoją niszę wśród wąskiej grupy mieszkańców centrum Nowego Jorku. Jak to wyjaśnił jeden z moich ulubionych architektów wewnątrz: klienci chcieli wydawać duże pieniądze na urządzenie domów, ale tak, by wyglądało na to, że w ogóle tych pieniędzy nie wydali. Moje rustykalne drewniane meble idealnie się do tego nadawały.

Z czasem ta wierna klientela rozrosła się w nieco większą grupę z innych miast jednego i drugiego wybrzeża oraz miejscowości

wypoczynkowych: Los Angeles, Aspen, East Hampton, Park City, San Francisco.

Tak właśnie poznałam Owena. Z moich usług korzystał Avett Thompson – dyrektor generalny firmy z branży nowych technologii, w której Owen pracował. Avett i jego żona, absurdalnie olśniewająca Belle, należeli do moich najwierniejszych klientów.

Belle lubiła żartować, że jest żoną na pokaz, co może byłoby zabawniejsze, gdyby nie było tak bardzo prawdziwe. Eksmodelka, dziesięć lat młodsza od dorosłych dzieci Avetta, pochodziła z Australii. Moje meble stały w każdym pomieszczeniu ich domu w San Francisco (gdzie mieszkali razem z Avettem) i świeżo wybudowanym domu wiejskim w St. Helena, na północnym końcu Napa Valley, dokąd Belle zwykle wyjeżdżała sama.

Spotkałam się z Avettem ledwie kilka razy, zanim przyszedł z Owenem do mojego warsztatu. Przyjechali do Nowego Jorku na spotkanie z inwestorem i Belle chciała, by zajrzeli do mnie i rzucili okiem na stolik, który zamówiła do sypialni. Avett nie był pewien, co ma sprawdzać, chodziło chyba o to, żeby stolik pasował do łóżka – do ramy, w której spoczywał ich organiczny materac za dziesięć tysięcy dolarów.

Szczerze? Avetta w ogóle stolik nie obchodził. Kiedy weszli do mnie z Owenem, był w szykownym niebieskim garniturze, siwiejące włosy miał sztywne od żelu, a telefon przyklejony do ucha. Właśnie rozmawiał. Spojrzał raz na stolik i na chwilę zasłonił mikrofon.

– Podoba mi się. Wszystko okej?

I zanim odpowiedziałam, wyszedł na dwór.

Owen z kolei był oczarowany. Zwiedził cały warsztat, zatrzymując się przy każdym meblu.

Przyglądałam mu się, jak tak krąży. Było w nim coś niespójnego: długie kończyny, rozczochrane blond włosy, ogorzała skóra i znoszone converse'y zupełnie nie pasowały do drogiej sportowej marynarki. Wyglądał, jakby prosto z deski surfingowej wskoczył w marynarkę i świeżutką koszulę.

Uświadomiłam sobie właśnie, że się na niego gapię, i zaczęłam się odwracać, gdy zatrzymał się przy moim ulubionym meblu – ciężkim rustykalnym stole, który służył mi za biurko.

Większość jego powierzchni zajmowały komputer, gazety i przybory. Żeby dostrzec ten stół, trzeba było naprawdę patrzeć. A on patrzył.

Przyglądał się twardej sekwoi, którą wydłutowałam, delikatnie zółcąc krawędzie zespolone metalem.

Czy Owen jako pierwszy zwrócił uwagę na ten stół? Nie, oczywiście, że nie. Ale pierwszy się nachylił tak, jak ja to robiłam, i musnął palcami ostry metal.

Obrócił głowę, by na mnie spojrzeć.

– Auć – powiedział.

– Nie chciałby pan wpaść na niego po ciemku.

Wyprostował się i poklepał stół na pożegnanie. A potem ruszył w moją stronę. Podchodził, aż się okazało, że jesteśmy blisko siebie – dla mnie, prawdę mówiąc, za blisko. Musiałam zadać sobie pytanie, jak do tego doszło. Powinnam pewnie poczuć się skrępowana, że mam na sobie koszulkę na ramiączkach, dzinsy pobrudzone farbą, niechlujnie związane brudne włosy. Ale poczułam zupełnie co innego, gdy widziałam, jak na mnie patrzy.

– Ile kosztuje? – spytał.

– Niestety ten stół jest tu jedynym przedmiotem nie na sprzedaż.

– Bo może powodować uszkodzenia ciała?

– Właśnie tak.

Wtedy się uśmiechnął. Owen. Wtedy Owen się uśmiechnął... To było jak tytuł kiepskiej piosenki pop. Gwoli ścisłości, nie chodziło o to, że uśmiech rozjaśnił jego twarz. Nie chodziło o jakiś sentymentalizm czy porażający efekt. Raczej o to, że Owen z tym swoim uśmiechem – tym szczodrym, dziecięcym uśmiechem – sprawiał wrażenie dobrego. Było to dobro, jakiego się nie spotyka na Greene Street na Manhattanie. Czułam, że tak serdecznego uśmiechu już nigdy nie ujrzę na Greene Street na Manhattanie.

– Nie da się negocjować? – spytał.

– Niestety nie, ale mogę panu pokazać inne meble.

– A może jakaś lekcja? Mogłaby mi pani pokazać, jak zrobić taki stół, może z trochę bardziej przystępnymi krawędziami... Podpiszę oświadczenie, że robię to na własne ryzyko.

Ciągle się uśmiechałam, ale czułam się zmieszana. Bo nagle uświadomiłam sobie, że chyba już nie rozmawiamy o stole. Żadne „chyba” – na pewno nie rozmawialiśmy już o stole. Bezbłędnie to rozpoznałam jako kobieta, która po dwóch latach narzeczeństwa

uświadomiła sobie nagle, że nie może poślubić narzeczonego. Dwa tygodnie przed ślubem.

– Słuchaj, Ethan – powiedziałam.

– Owen...

– Owen. Miło, że pytasz, ale z zasady nie umawiam się z klientami.

– W takim razie dobrze się składa, że nie stać mnie na żaden ze sprzedawanych u ciebie przedmiotów.

A jednak przystopował. Wzruszył ramionami, jakby mówił: „Innym razem”, i ruszył do drzwi i do Avetta, który krążył w tę i z powrotem po ulicy, ciągle z telefonem przy uchu, krzycząc na rozmówcę.

Już prawie dotarł do drzwi. Już prawie odszedł. Nagle jednak poczułam, że muszę go dogonić, zatrzymać, powiedzieć, że nie to miałam na myśli. Tylko coś zupełnie innego. Bo tak naprawdę pragnęłam powiedzieć, że powinien zostać.

Nie twierdzę, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Po prostu nie chciałam, żeby odchodził. Pragnęłam trochę dłużej obcować z tym szerokim uśmiechem.

– Chwileczkę – powiedziałam. Rozejrzałam się, szukając jakiegoś pretekstu, którym mogłabym go zatrzymać, namierzyłam tkaninę należącą do innego klienta, i wzięłam ją do ręki. – To dla Belle.

To nie był mój najlepszy moment. I jak powiedziałaby wam mój były narzeczony, całkowicie do mnie nie pasowało, abym wyciągnęła do drugiego człowieka rękę w innym celu niż odepchnięcie go.

– Dopilnuję, żeby to dostała – powiedział.

Wziął tkaninę, nie patrząc mi w oczy.

– Tak swoją drogą, ja też się z zasady nie umawiam. Jestem samotnym ojcem, więc to oczywiste... – Urwał. – Ale moja córka jest uzależniona od teatru. I stracę kilka punktów, jeśli podczas pobytu w Nowym Jorku nie zobaczą jakiejś sztuki. – Ruchem ręki wskazał wściekłego towarzysza, który krzyczał na ulicy. – Avett nie za bardzo przepada za teatrem, w co może trudno uwierzyć...

– Owszem, trudno.

– Więc... co sądzisz? Chcesz iść?

Nie przysunął się bliżej, ale podniósł wzrok. I spojrzał mi w oczy.

– Nie uznawajmy tego za randkę – dodał. – To jednorazowa sprawa. Tu się zgadzamy. Tylko kolacja i przedstawienie. Miło było poznać.

– Bo się z zasady nie umawiamy?



Uśmiechnął się otwarcie i szczerze.

– Właśnie. Właśnie z tego powodu.

– Co to za zapach?

Odrywam się od wspomnień. Bailey stoi w progu kuchni. Wygląda na zirytowaną, gdy tak czeka w wielkim swetrze – z torbą przewieszoną przez ramię i włosami z fioletowymi pasemkami uwiecznionymi pod jej paskiem.

Uśmiecham się do niej, przytrzymując brodą telefon. Próbowałam dodzwonić się do Owena, bezskutecznie, połączyłam się tylko z pocztą głosową. Po raz kolejny.

– Przepraszam, nie zauważyłam cię – mówię.

Nie odpowiada, usta ma w ciup. Odkładam telefon, ignorując jej wieczny grymas niezadowolenia. A jednak jest piękna. Piękna w taki sposób, że gdy wchodzi do pomieszczenia, ludzie zwracają na nią uwagę. Nie za bardzo jest podobna do Owena: jej fioletowe włosy są naturalnie kasztanowe, oczy ciemne i dzikie. Patrzą z natężeniem, wciągając cię w głębię. Owen mówi, że takie same oczy miał jej dziadek od strony matki, dlatego dali jej imię po nim. Dziewczyna o imieniu Bailey. Po prostu Bailey.

– Gdzie jest tata? – pyta. – Miał mnie zawieźć na trening.

Spinam się, pamiętając o wiadomości od Owena, spoczywającej teraz u mnie w kieszeni.

„Chroń ją”.

– Na pewno niedługo będzie – mówię. – Zjedz obiad.

– To ten zapach?

Marszczy nos, jakby jeszcze nie było oczywiste, że zapach, o który pyta, jej się nie podoba.

– To linguine, które jadłaś w Poggio.

Patrzy na mnie niewzruszonym wzrokiem, jakby Poggio nie było jej ulubioną knajpą w okolicy, jakbyśmy nie byli tam kilka tygodni temu, żeby świętować jej szesnaste urodziny. Zamówiła specjalność wieczoru – domowe linguini pełnoziarniste z masłem palonym. A Owen dał jej do tego spróbować malbeca ze swojego kieliszka. Sądziłam, że była zachwycona daniem. Ale może zachwyciło ją picie wina z ojcem.

Nakładam na talerz kopiastrą porcję i stawiam na blacie.

– Spróbuj – zachęcam. – Będzie ci smakować.

Bailey wpatruje się we mnie nieruchomo, usiłując zdecydować, czy jest w nastroju na ostateczną rozgrywkę: czy jest w nastroju na rozczarowanie ojca, gdybym mu naskarżyła, że wyszła szybko i bez obiadu. Dochodzi do wniosku, że nie, tłumi irytację i wskakuje na stołek.

– Dobra – mówi. – Zjem trochę.

Bailey mnie sprawdza. To jest najgorsze. Nie jest złym dzieckiem ani potworem. Jest dobrą córką, tylko ta sytuacja jej strasznie nie odpowiada. A tak się składa, że tą sytuacją jestem ja.

Nastoletnie dziewczyny nie akceptują nowych żon swoich ojców z oczywistych powodów, zwłaszcza Bailey, która miała idealną sytuację – byli we dwoje, najlepsi kumple, Owen, jej największy fan. Te oczywiste powody nie do końca tłumaczą ogrom niechęci Bailey do mnie. Nie chodzi tylko o to, że przy pierwszym spotkaniu źle oceniłam jej wiek. Chodzi też o popołudnie niedługo po mojej przeprowadzce do Sausalito. Miałam odebrać Bailey ze szkoły, ale utknęłam na rozmowie z klientem – i przyjechałam pięć minut spóźniona. Nie dziesięć. Pięć. 17.05. Taka godzina widniała na zegarze, kiedy zajechałam pod dom jej przyjaciółki. Ale mogłaby to być godzina później, bez różnicy. Bailey jest wymagającą dziewczyną. Owen powie wam, że to akurat nas łączy. I jego żona, i jego córka w ciągu pięciu minut wiedzą wszystko o drugim człowieku. Tyle im wystarczy. I w ciągu pięciu minut, kiedy Bailey podejmowała decyzję, ja prowadziłam rozmowę, której nie powinnam była odebrać.

Teraz zawija na widelcu porcję makaronu.

– Wygląda inaczej niż w Poggio.

– Hm, no nie. Przekonałam szefa kuchni, żeby dał mi przepis. Wysłał mnie nawet do Ferry Building po chleb czosnkowy, który do tego podaje.

– Pojechałaś do centrum San Francisco po chleb?!

Niewykluczone, że za bardzo się staram. Tak, no właśnie.

Nachyla się nad talerzem i wsadza całą porcję do buzi. Zagryzam wargę, spodziewając się aprobaty – jakiegoś „mniem” dobywającego się z jej ust, mimowolnie.

I wtedy ona się krztusi. Dosłownie się krztusi. I sięga po wodę.

– Coś ty tu dała?! – pyta. – Smakuje jak... jak węgiel.

– Ale ja tego próbowałam. Jest doskonałe.

Kosztuję znowu. Ma rację. W zamęcie po wizycie dwunastolatki i po wiadomości od Owena masło palone straciło swoją lekką, pienistą

intensywność – jest po prostu spalone. I gorzkie. W smaku przypomina ognisko.

– I tak muszę już lecieć – mówi Bailey. – Zwłaszcza jeśli Suz ma mnie podwieźć.

Wstaje. A ja sobie wyobrażam, że Owen stoi za mną, nachyla mi się do ucha i szepcze: „Przeczekaaj to”. Tak zawsze robi, gdy Bailey odnosi się do mnie z lekceważeniem. Mam przeczekać. Czyli że pewnego dnia ona się zmieni. Ale też – za dwa i pół roku wyjeżdża do college’u. Owen niestety nie rozumie, że to żadne pocieszenie. Dla mnie znaczy to tylko, że kończy mi się czas, by ona zechciała wykonać jakiś ruch w moją stronę.

Chcę, by się do mnie zbliżyła. Chcę, żebyśmy miały relację i to nie tylko ze względu na Owena. Chodzi o coś więcej – coś ciągnie mnie do Bailey, mimo że ona mnie odpycha. Po części dlatego, że rozpoznaję w niej takie same jak u siebie rany po utracie matki. Moja matka odeszła z wyboru, matka Bailey zginęła tragicznie, ale jedno i drugie odciska na człowieku podobne piętno. Zostajesz w tym samym obcym miejscu, próbując rozgryźć, jak się poruszać po świecie, nie czując wzroku najważniejszej osoby.

– Podejdę do Suz – mówi. – Ona mnie podwiezie.

Suz, jej przyjaciółka, też trenuje. I też mieszka w dokach. Suz to bezpieczne rozwiązanie, prawda?

„Chroń ją”.

– Ja cię podwiozę – decyduję.

– Nie. – Zakłada fioletowe włosy za ucho, zmienia ton. – Nie ma problemu, Suz i tak jedzie...

– Jeśli ojciec do tego czasu nie wróci – mówię – przyjadę po ciebie potem. Jedno z nas będzie czekało przed wejściem.

Przewierca mnie spojrzeniem.

– Dlaczego miałyby nie wrócić?

– Wróci. Na pewno wróci. Po prostu pomyślałam... jeśli ja po ciebie przyjadę, będziesz mogła poprowadzić w drodze powrotnej.

Bailey właśnie dostała pozwolenie na jazdy pod nadzorem. Musi rok pojeździć pod opieką osoby pełnoletniej, zanim będzie mogła jeździć sama. Owen nie lubi, kiedy ona prowadzi po zmroku, nawet jeśli jest z nim. A ja widzę w tym okazję do wykorzystania.

– Jasne – mówi Bailey. – Dzięki.

Idzie do drzwi. Chce skończyć tę rozmowę, wyjść na powietrze Sausalito. Powiedziałyby wszystko, żeby się stąd wydostać, ale ja uznaję, że jesteśmy umówione.

– Więc widzimy się za dwie godziny?

– Do zoba – mówi.

Jestem zadowolona, choćby tylko na chwilę. Potem drzwi frontowe zamykają się z trzaskiem. I znowu zostaję sama z wiadomością od Owena, charakterystyczną ciszą w kuchni i makaronem w ilości wystarczającej dla dziesięcioosobowej rodziny.

# Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi

Jest dwudziesta. Owen ciągle nie zadzwonił.

Skrećam w lewo na parking pod szkołą Bailey i staję przed samym wejściem.

Ściszam radio i po raz kolejny dzwonię do męża. Serce mi przyspiesza, kiedy łączę się z pocztą głosową. Minęło dwanaście godzin, odkąd wyszedł do pracy, dwie godziny od wizyty piłkarki, zostawiłam mu osiemnaście wiadomości bez odpowiedzi.

– Cześć – mówię po sygnale – nie wiem, co jest grane, ale musisz do mnie natychmiast oddzwonić. Owen? Kocham cię, ale cię zabiję, jeśli się do mnie zaraz nie odezwiesz.

Rozłączam się i patrzę na swoją komórkę, jakby miała natychmiast ożyć. Jakby Owen spieszył z dobrą wymówką. Właśnie za to – między innymi – najbardziej go kocham. Zawsze ma dobrą wymówkę. Cokolwiek się dzieje, on w każdej sytuacji wprowadza spokój i sensowność. Chcę wierzyć, że tym razem też tak będzie. Chociaż tego nie widzę.

Przesiadam się, żeby Bailey mogła zająć miejsce za kierownicą. Zamykam oczy, analizuję różne scenariusze, które mogły się wydarzyć. Utknął na jakimś megaważnym spotkaniu służbowym. Zgubił telefon. Chce zaskoczyć Bailey jakimś szalonym prezentem. Chce zaskoczyć mnie jakąś podróżą. Myśli, że to zabawne. W ogóle nie myśli.

I właśnie wtedy słyszę z radia nazwę firmy Owena – The Shop.

Podgłaśniam, myśląc, że się przesłyszałam. Może sama tę nazwę wypowiedziałam, nagrywając wiadomość Owenowi. „Utknąłeś w The Shop?” Niewykluczone. Ale potem słyszę resztę informacji, czytanej gładkim, miłym głosem spikerki z NPR.

– Dzisiejsza akcja była zwieńczeniem czternastomiesięcznego śledztwa prowadzonego przez SEC i FBI w sprawie praktyk software’owego start-upu. Możemy potwierdzić, że aresztowano prezesa The Shop, Avetta Thompsona. Zostaną mu postawione zarzuty defraudacji i oszustwa. Z dobrze poinformowanych źródeł nasza stacja dowiedziała się, że, tu

cytuje, „są dowody, że Thompson zamierzał uciec za granicę, do Dubaju, gdzie chciał zamieszkać”. Niedługo usłyszą zarzuty zapewne inne osoby z kierownictwa.

The Shop. Ona mówi o The Shop.

Jak to możliwe? Dla Owena praca w tej firmie to zaszczyt. Sam tak mówi. Zaszczyt. Opowiadał mi, że zgodził się na obniżkę pensji, żeby do nich dołączyć. Niemal każdy, kto do nich przeszedł, zgodził się na obniżkę pensji, rzucając posadę w dużej firmie takiej jak Google, Facebook czy Twitter. Rezygnowali z wyższych zarobków, przystając na opcję udziałów zamiast tradycyjnego wynagrodzenia.

Czyż nie mówił, że zrobili to, bo wierzyli w technologię, nad którą pracował The Shop? To nie jest Enron. Theranos. To firma software'owa. Tworzyli narzędzia zabezpieczające prywatność w sieci. Narzędzia, dzięki którym ludzie mogli kontrolować, co jest dostępne na ich temat. Zapewniające dziecinnie proste sposoby usunięcia kłopotliwego zdjęcia czy ukrycia strony. Chcieli brać udział w rewolucji w dziedzinie prywatności online. Chcieli zmieniać świat na lepsze.

Gdzie tu można oszukiwać?

Prowadząca przechodzi do reklam, a ja sięgam po telefon i wyświetlam Apple News.

Właśnie mam otworzyć stronę biznesową CNN, gdy z budynku szkoły wychodzi Bailey. Na ramieniu ma torbę, na twarzy wyraz, którego nie rozpoznaję, zwłaszcza gdy jestem jego adresatką.

Odruchowo wyłączam radio i odkładam komórkę.

„Chroń ją”.

Bailey szybko wsiada do samochodu. Zajmuje miejsce za kierownicą, zapina pas. Nie wita się ze mną. Nawet się do mnie nie odwraca.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Kręci głową, fioletowe włosy wysuwają się z za uszu. Spodziewam się kąśliwej uwagi: „A tak wyglądam?”. Nic, cisza.

– Bailey?

– Nie wiem – mówi wreszcie. – Nie wiem, co jest grane...

I wtedy to zauważam. Torba. Torba, z którą Bailey wsiadła, to nie jest jej listonoszka. To torba podróżna, duża czarna torba podróżna. Bailey trzyma ją na kolanach ostrożnie, jak dziecko.

– Co to jest? – pytam.

– Zajrzyj.

Mówi to tak, że na pewno nie chcę zaglądać. Ale nie mam za bardzo wyboru. Bailey przekłada mi torbę na kolana.

– No, śmiało. Zajrzyj, Hannah.

Odsuwam zamek tylko trochę, a i tak ze środka wysypują się pieniądze. Paczki banknotów, jedna za drugą, setki banknotów studolarowych spiętych gumkami. Mocnymi, wytrzymałymi.

– Bailey... – szepczę. – Skąd to masz?

– Ojciec zostawił mi to w szafce.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, serce mi przyspiesza.

– Skąd wiesz? – pytam.

Bailey podaje mi kartkę, a raczej rzuca ją w moją stronę.

– Powiedzmy, że zgadłam.

Biorę kartkę do ręki. Kartkę z żółtego notesu w linie. To już drugi liścik od Owena dzisiaj, drugi na takiej żółtej kartce.

Druga połowa mojej kartki. Na wierzchu widnieje napis „Bailey”, podkreślony podwójną linią.

Bailey,

cokolwiek napiszę, będzie bez sensu. Bardzo mi przykro. Wiesz, co jest dla mnie ważne.

I wiesz, co jest ważne dla Ciebie. Proszę, trzymaj się tego.

Pomóż Hannie. Rób, co mówi.

Ona Cię kocha. Oboje Cię kochamy.

Jesteś całym moim życiem.

Tata

Wpatruję się w liścik, aż oczy zaczynają mi łzawić. I już rozumiem, co się stało, zanim Owen spotkał się z dwunastolatką w ochraniaczach. Wyobrażam sobie, jak biegnie szkolnym korytarzem, jak pędem mija szafki. Przyjechał tu podrzucić córce torbę. Dopóki jeszcze mógł.

Czuję w piersi palący ból, oddycham z coraz większym trudem.

Uważam się za osobę, której nie sposób wyprowadzić z równowagi. Można powiedzieć, że tak mnie ukształtowało życie. A tak jak w tej chwili czułam się do tej pory raptem dwukrotnie: w dniu, gdy zrozumiałam, że moja matka już nie wróci, i w dniu śmierci mojego dziadka. Kiedy spoglądałam na kartkę od Owena i na nieprzyzwoitą sumę pieniędzy, które zostawił, znowu to czuję. Jak opisać to uczucie? Jakby moje wnętrza chciały się wydostać na zewnątrz. Którąkolwiek stroną. To taki moment, gdy mogę wszystko zarzygać.

I tak właśnie robię.

Zajeżdżamy na miejsce parkingowe przed wejściem do doków.

Przez całą drogę miałyśmy okna otwarte, ciągle zasłaniam usta chusteczką.

– Myślisz, że jeszcze będziesz rzygać? – pyta Bailey.

Kręcę głową, próbując przekonać siebie równie mocno jak ją.

– Już w porządku – mówię.

– Bo to by ci pomogło...

Widzę, że z kieszeni swetra wyciąga skręta. Podaje mi go.

– Skąd to masz? – pytam.

– W Kalifornii jest legalna!

To ma być odpowiedź? I czy w ogóle marihuana może być legalna, gdy mowa o szesnastolatce?!

Może nie chce mi odpowiedzieć, zwłaszcza że pewnie ma skręta od Bobby'ego. Bobby jest takim jakby jej chłopakiem. Chodzi z nią do szkoły, do ostatniej klasy, i z pozoru to dobry chłopak, choć trochę nerdowaty: wybiera się na Uniwersytet Chicago, jest przewodniczącym samorządu uczniowskiego. Nie ma fioletowych pasemek. A jednak Owen z jakiegoś powodu mu nie ufa. Chętnie bym to przypisała nadopiekuńczości, ale Bobby podsycza wzgardę Bailey dla mnie, co mi nie pomaga. Czasami po spotkaniu z nim przychodzi do domu i rzuca coś paskudnego pod moim adresem. Staram się nie traktować tego osobiście, Owenowi się to nie udaje. Kilka tygodni temu pokłócił się z Bailey o Bobby'ego, powiedział, że jego zdaniem spędza z nim za dużo czasu. Był to jeden z tych rzadkich momentów, gdy widziałam, jak Bailey patrzy na Owena takim samym lekceważącym spojrzeniem, jakie zawsze rezerwuje dla mnie.

– Nie, to nie – mówi teraz. – Chciałam ci pomóc.

– Nic mi nie jest. Ale dzięki.

Już pakuje skręta z powrotem, a ja biję się z myślami. Staram się za bardzo jej nie matkować. To jedna z nielicznych rzeczy, które ona we mnie chyba lubi.

Odwracam się w stronę okna, odnotowując w pamięci, że muszę to omówić z Owenem, jak wróci – niech on zdecyduje, czy Bailey ma zatrzymać skręta, czy go oddać. I wtedy do mnie dociera: nie mam pojęcia, kiedy Owen wróci. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Wiesz co... – mówię. – Wezmę jednak.



Wznosi oczy do nieba, ale przekazuje mi skręta. Wsadzam go do schowka i schylam się po torbę.

– Zaczęłam liczyć... – mówi.

Podnoszę na nią wzrok.

– Pieniądze – dodaje. – W każdym rulonie jest dziesięć tysięcy dolarów. Doszłam do sześćdziesięciu. I wtedy przestałam liczyć.

– Sześćdziesiąt?

Zbieram rulony, które wypadły na fotel, na podłogę, wpycham je do torby. Potem ją zapinam dokładnie, tak żeby Bailey nie musiała znowu patrzeć na wielką furę pieniędzy. Żeby żadna z nas nie musiała.

Sześćset tysięcy dolarów. Co najmniej.

– Lynn Williams repostowała wszystkie tweety „Daily Beast” w swoich story – mówi Bailey. – Wszystko o The Shop i Avettie Thompsonie. Że jest jak Madoff. Tak o nim ktoś napisał.

Analizuję, co wiem. Szybko, klarownie. Wiadomość Owena do mnie. Torba dla Bailey. Raport w radiu sugerujący defraudację i oszustwo na wielką skalę. Avett Thompson jako mózg czegoś, co ciągle do mnie nie dociera.

Czuję się jak w jednym z takich pokręconych snów, które się zdarzają tylko wtedy, gdy śpisz o niewłaściwej porze, po przebudzeniu czujesz popołudniowe słońce albo nocny chłód i jesteś dezorientowana – i musisz się odwrócić do człowieka obok, do człowieka, któremu ufasz najbardziej, szukając wyjaśnienia. To był tylko sen: pod łóżkiem nie ma żadnej bestii. Nie ścigano cię właśnie po ulicach Paryża. Nie skoczyłaś z Willis Tower. Twój mąż nie zniknął bez wyjaśnienia, zostawiając córce sześćset tysięcy dolarów. Co najmniej.

– Nie mamy na razie żadnych informacji – mówię. – Ale nawet jeśli to prawda, że The Shop jest w coś zamieszane, albo jeśli Avett zrobił coś niezgodnego z prawem, to jeszcze nie znaczy, że twój ojciec ma z tym coś wspólnego.

– Więc gdzie on jest? I skąd wziął te pieniądze?!

Krzyczy na mnie, bo chce krzyczeć na niego. Doskonale to rozumiem. „Jestem równie wściekła jak ty” – myślę. A też chcę to powiedzieć do Owena.

Patrzę na nią. Potem się odwracam, kieruję wzrok na okno, na doki, na zatokę, na wszystkie te domy z włączonymi światłami w tym dziwnym

niewielkim osiedlu. Patrzą prosto w okna domu państwa Hahn. Siedzą na kanapie obok siebie, jedzą swoje wieczorne lody i oglądają telewizję.

– Co ja teraz zrobię, Hannah? – pyta. Moje imię wisi jak oskarżenie.

Odgarnia włosy za uszy, widzę, że warga jej drży. To takie dziwne i niespodziewane – Bailey nigdy przy mnie nie płakała – że prawie wyciągam do niej rękę, żeby ją przytulić, jakbyśmy to robiły na co dzień.

„Chroń ją”.

Odpinam swój pas. I odpinam jej pas. Proste ruchy.

– Chodźmy do domu, podzwonię – mówię. – Ktoś musi wiedzieć, gdzie jest twój ojciec. Od tego zaczniemy. Zaczniemy od znalezienia go, żeby nam to wszystko wyjaśnił.

– Dobra.

Otwiera drzwi samochodu i wysiada. Ale nagle odwraca się do mnie z płomiennym wzrokiem.

– Ale Bobby przychodzi – mówi. – Nie powiem nic o przesyłce specjalnej od ojca, ale chcę, żeby przyszedł.

Nie pyta. I zresztą jaki mam wybór, nawet gdyby spytała?

– Z tym że zostajecie na dole.

Wzrusza ramionami, co stanowi namiastkę ustaleń w tej kwestii. Nie mam szansy za bardzo się tym przejąć, bo właśnie w tej chwili zajeżdża jakiś samochód, jego reflektory nas oślepiają, jasne i nachalne.

„Owen – myślę. – Niech to będzie Owen”.

Zaraz jednak przychodzi mi do głowy trafniejsza koncepcja: to policja. To na pewno policja. Przyjechali szukać Owena, zebrać informacje o jego udziale w nielegalnych działaniach firmy, chcą ocenić, co wiem o jego pracy dla The Shop i aktualnym miejscu pobytu. Jakbym miała im cokolwiek do powiedzenia.

Ale i ta koncepcja jest błędna.

Światła się wyłączają, a wtedy widzę, że to błękitny mini cooper, czyli Jules. Moja najlepsza przyjaciółka wyskakuje z auta i pędzi z szeroko otwartymi ramionami. Tuli nas, Bailey i mnie, z całych sił.

– Cześć, kochane – mówi.

Bailey też ją tuli. Nawet Bailey uwielbia Jules, choć to mnie zawdzięcza jej obecność w swoim życiu. Bo Jules każdemu, kto ma szczęście ją znać, daje pokrzepienie i poczucie stabilności.

Może właśnie dlatego najzupełniej w świecie nie spodziewam się słów, które padają z jej ust:

– To wszystko moja wina.

## Myśl, co chcesz

– Ciągłe nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje – mówi Jules.

Siedzimy w kuchni, przy niewielkim stole we wnęce, pijąc kawę doprawioną bourbonem. Jules opróżnia już drugi kubek. Włosy ma związane w dwa kucyki, drobne ciało skrywa pod obszerną bluzą. Wygląda, jakby próbowała się z czegoś wywinąć, przemycając więcej bourbona do kawy. Jak czternastolatka, jak ta dziewczyna, którą poznałam pierwszego dnia liceum.

Dziadek właśnie nas wówczas przeprowadził z Tennessee do Peekskill w stanie Nowy Jork – niewielkiej miejscowości nad rzeką Hudson. Rodzina Jules przeniosła się tam z Nowego Jorku. Jej ojciec był dziennikarzem śledczym, pracował dla „New York Timesa”, miał na koncie Nagrodę Pulitzera. Nie żeby Jules zadzierała nosa z tego powodu. Poznałyśmy się, starając się o pracę w Lucky’s, firmie oferującej wyprowadzanie psów. Obie zostałyśmy przyjęte. I codziennie po południu wyprowadzałyśmy przydzielone psy. Musiałyśmy nieźle wyglądać: dwie nieduże dziewczynki i piętnaście niesfornych zwierzaków.

Ja chodziłam do pierwszej klasy liceum publicznego, Jules do prestiżowej szkoły prywatnej kilka kilometrów dalej. Ale te popołudnia spędzałyśmy razem i do dziś sobie nie wyobrażam, jak byśmy przetrwały liceum, gdyby nie one. Żyłyśmy w tak różnych światach, że mówiłyśmy sobie wszystko. Jules kiedyś to porównała do zwierzania się obcej osobie, którą poznajesz na pokładzie samolotu. Od samego początku dawałyśmy sobie to właśnie: bezpieczeństwo, oderwanie od ziemi. I perspektywę dziesięciu tysięcy metrów.

Nic się nie zmieniło, gdy dorosłyśmy. Jules poszła w ślady ojca i pracuje dla gazety. Jest fotoedytorką w „San Francisco Chronicle”, skupia się przede wszystkim na sporcie. Przygląda mi się zmartwiona. Ja się przyglądam Bailey w salonie, wtulonej w Bobby’ego na kanapie. Rozmawiają przyciszonymi głosami. Wygląda to nieszkodliwie, ale co ja tam wiem. Bobby jest tu po raz pierwszy pod nieobecność Owena. Po raz pierwszy wszystko zależy ode mnie.

Staram się ich pilnować, udając, że ich nie pilnuję. Ale Bailey czuje mój wzrok. Zerka na mnie i to nie jest miłe spojrzenie. A potem wstaje i z trzaskiem zamyka przeszklone drzwi. Dalej ją widzę, więc to bardziej pokazowe trzaśnięcie. Niemniej trzaśnięcie.

– My też miałyśmy kiedyś po szesnaście lat – mówi Jules.

– Byłyśmy inne.

– Ale takie byśmy chciały być. Fioletowe włosy są fajne.

Chce dolać mi whiskey do kubka, ale zakrywam go dłonią.

– Na pewno? – pyta. – To pomoże...

Kręcę głową.

– Nic mi nie jest – mówię.

– Mnie pomaga.

Dolewa sobie, a potem odsuwa moją dłoń i dolewa również mnie. Uśmiecham się, choć ledwie upiłam to, co mam. Jestem za bardzo zdenerwowana, za bardzo na krawędzi – wiem, że zaraz się zerwę, wpadnę do salonu i wyciągnę Bailey za ramię do kuchni, tylko żeby poczuć, że coś działałam.

– Odzywała się do ciebie policja? – pyta Jules.

– Nie, jeszcze nie. I dlaczego nie zgłosił się do mnie nikt z The Shop? Żeby mi powiedzieć, co mam zrobić, jak przyjdzie policja...

– Mają ważniejsze sprawy na głowie. Głównym celem był Avett i dopiero co go aresztowali.

Przesuwa palcami po krawędzi kubka. A ja się jej przyglądam – długie rzęsy, wysokie kości policzkowe, między oczami jedna zmarszczka po dzisiejszym dniu na najwyższych obrotach. Jest zdenerwowana, obie tak mamy, gdy musimy powiedzieć sobie coś, co tej drugiej na pewno się nie spodoba. Tak jak wtedy, gdy widziała mojego jakby chłopaka Nasha Richardsa w Rye Grill całującego inną dziewczynę. Mniejsza o Nasha, na którym nie zależało mi jakoś bardzo, ale wiedziała, że się zdenerwuję, bo Rye Grill było naszą – moją i Jules – ulubioną miejscówką z frytkami i cheeseburgerami. A kiedy Jules chlusnęła Nashowi napojem w twarz, szef knajpy powiedział jej, że ma zakaz wstępu na zawsze.

– No to powiesz mi w końcu? – pytam.

– Co dokładnie? – Podnosi wzrok.

– Dlaczego to wszystko miałoby być twoją winą?

Kiwa głową, szykując się, nadyma policzki.

– Jak przyszedłam dziś do redakcji, wiedziałam, że coś się dzieje. Max był nerwowy, a to niemal zawsze oznacza złe wieści. Morderstwo, impeachment, piramidę finansową.

– Kapitalny jest ten Max.

– O tak, właśnie...

Max to jeden z nielicznych już prawdziwych dziennikarzy śledczych w „Chronicle” – przystojny, przymilny, błyskotliwy. Ma też szmergla na punkcie Jules. I podejrzewam, że ona się w nim podkochuje, choć twierdzi, że wręcz przeciwnie.

– Krążył dokoła mojego biurka wyjątkowo zadowolony z siebie. Więc domyślałam się, że on wie coś, czym chce się pochwalić. Jego kumpel ze studiów pracuje w Komisji Papierów Wartościowych i miał jakieś sensacyjne wiadomości związane z The Shop. Dzisiaj po południu planowali nalot.

Patrzy na mnie, nie chce mówić dalej.

– Powiedział, że FBI prowadziło to śledztwo od ponad roku. Zaraz po tym, jak The Shop weszło na giełdę, dostali cynk, że wartość ich akcji została zawyżona w związku z IPO.

– Nie rozumiem, co to znaczy.

– To znaczy: The Shop przeliczył się co do terminu przygotowania software’u. Weszli na giełdę za wcześnie. A potem udawali, że mają działające oprogramowanie, podczas gdy w rzeczywistości nie mogli go sprzedawać. Więc żeby to skompensować i żeby utrzymać wysoką cenę akcji, zaczęli fałszować sprawozdania finansowe.

– Jak to zrobili?

– Mieli inny software, wideo, apki, jakieś prozaiczne produkty. Ale ich software prywatnościowy, ich game changer, który Avett zachwalał, jeszcze nie działał. Nie mogli go sprzedawać. Prace były jednak na tyle zaawansowane, że mogli robić demo dla potencjalnych dużych kupców. Firm technologicznych, kancelarii prawnych i tym podobnych. A potem, gdy te firmy okazywały zainteresowanie, księgowali to jako przyszłą sprzedaż. Max mówi, że trochę to przypomina działania Enrona. Deklarowali, że robią niebotyczne pieniądze na przyszłej sprzedaży, żeby zachować rosnące ceny akcji.

Zaczynam rozumieć, do czego zmierza.

– I żeby sobie kupić trochę czasu na rozwiązanie problemu?

– Właśnie. Avett postawił na to, że spodziewana sprzedaż przerodzi się w rzeczywistą sprzedaż, gdy tylko oprogramowanie zacznie działać. Używali fałszywych raportów jako zapchajdziury, żeby notowania były kuszące, dopóki software nie będzie gotowy. Tyle że zostali przyłapani, zanim im się to udało.

– I to jest oszustwo?

– I to jest oszustwo. Max mówi, że na wielką skalę. Akcjonariusze stracą pół miliarda dolarów.

Pół miliarda dolarów. Próbuję to ogarnąć. To akurat najmniej ważne, ale sami jesteśmy dużym udziałowcem The Shop. Owen pokładał wiarę w firmie, w której pracował, w softwarze, nad którym pracował. Więc kiedy firma weszła na giełdę, skorzystał z możliwości zakupu akcji. Nawet potem je dokupił. Ile stracimy? Większość oszczędności? Dlaczego miałyby narażać nas na tak wielkie straty, gdyby wiedział, że dzieje się coś złego? Dlaczego lokowałyby nasze oszczędności, naszą przyszłość w wątpliwą inwestycję?

To daje mi nadzieję, że jednak nie jest winny.

– Więc skoro Owen zainwestował w The Shop, to musi znaczyć, że nie wiedział, prawda?

– Może...

– To nie zabrzmiało jak „może”.

– No bo niewykluczone, że zrobił to, co Avett. Że kupił akcje, żeby zawyżyć ich wartość, z założeniem, że sprzeda, zanim się ktokolwiek dowie.

– To ci pasuje do Owena?

– Nic z tego wszystkiego nie pasuje mi do Owena.

I wzrusza ramionami. A ja słyszę resztę – co jej się tłucze po głowie, co się tłucze po mojej: Owen jest głównym programistą. Jak mógłby nie wiedzieć, że Avett pompuje wartość oprogramowania, nad którym on pracuje, oprogramowania, które jeszcze nie działa? Jeśli ktokolwiek wiedział, czy to nie musiał być on?

– Max powiedział, że zdaniem FBI większość kadry zarządzającej albo w tym siedziała, albo przymykała na to oko. Wszyscy myśleli, że naprawią sytuację, zanim ktoś się zorientuje. Podobno byli blisko. Gdyby nie ten przeciek do SEC, może by im się udało.

– A kto ich podkablował?

– Nie mam pojęcia. Ale stąd ten nalot. Chcieli zamknąć sprawę, zanim Avett ucieknie. Z akcjami wartymi dwieście sześćdziesiąt milionów dolarów, których się po cichu pozbywał... – urywa na chwilę – od czterech miesięcy.

– O cholera.

– Właśnie. W każdym razie Max dowiedział się z wyprzedzeniem. O tej akcji. FBI się z nim ugadało, że jeśli się zgodzi nie pisać o tym, zanim oni zrobią nalot, dadzą mu znać z dwugodzinnym wyprzedzeniem. „Chronicle” miało się dowiedzieć szybciej niż wszyscy inni, „Times”, CNN, NBC, Fox. Był taki z siebie dumny, że musiał mi powiedzieć. No i nie wiem... W pierwszym odruchu zadzwoniłam do Owena. No dobra, w pierwszym odruchu chciałam zadzwonić do ciebie, ale nie mogłam się dodzwonić. Więc zadzwoniłam do Owena.

– Żeby go ostrzec?

– Tak – mówi. – Żeby go ostrzec.

– Dlaczego masz mieszane uczucia? Bo uciekł?

Po raz pierwszy mówię to na głos. To oczywiste, a kiedy artykułuję te słowa, czuję ulgę. To przynajmniej szczere. Owen uciekł. Ucieka. Nie zniknął tak po prostu.

Jules kiwa głową i przetyka głośno ślinę, próbuje się nie rozpłakać.

– To nie twoja wina – mówię. – Ostrzegając go, mogłaś stracić pracę. Próbowалаś pomóc. Jak miałabym być na ciebie zła? Jestem zła na Owena. – Milknę na chwilę i zastanawiam się nad tym. – Nawet nie dokładnie na Owena. Raczej jestem otepiała. I tylko próbuję rozgryźć, co on sobie myśli. Jakim cudem przyszło mu do głowy, że takie zniknięcie cokolwiek rozwiązuje i że to dobre wyjście?

– No i jak sądzisz?

– Nie wiem. Może on próbuje oczyścić się z zarzutów? Ale dlaczego musiał zniknąć? Powinien wynająć adwokata. Niech system go oczyści...

– mówię. – Ciągle mam poczucie, że coś mi umyka, wiesz? Że nie rozumiem, co on robi.

Jules ściska mnie mocno za rękę, uśmiecha się do mnie, ale nie mam wrażenia, że się dobrze rozumiemy. I nagle sobie uświadamiam, że ona mi nie mówi tego, co widzę w jej oczach. Nie mówi mi najgorszego.

– Znam to spojrzenie – ostrzegam.

Kręci głową.

– Nie, nic – zapewnia.



– Powiedz mi.

– Bo widzisz... sama nie mogę w to uwierzyć, ale on nie był zaskoczony. Nie był zaskoczony, gdy mu powiedziałam o nalocie.

– Nie rozumiem.

– Nauczyłam się kiedyś od ojca, że jeśli ktoś coś wie, nie jest w stanie tego ukryć. Nie zadaje oczywistych pytań, które by zadał, gdyby był tak nieświadomy jak ty. Tak jak ty mnie spytałaś, co się właściwie stało...

Wpatruję się w nią, czekając na resztę, gdy coś kielkuje w mojej głowie. Patrzę przez szklane drzwi na Bailey. Leży na piersi Bobby'ego, z ręką na jego brzuchu, oczy ma zamknięte.

„Chron ją”.

– Bo widzisz... gdyby Owen nic nie wiedział o oszustwie, chciałby ode mnie więcej informacji. Potrzebowałby o wiele więcej informacji o tym, co się dzieje w The Shop. Powiedziałby coś jak: „Spokojnie, Jules. Kto ich zdaniem jest winny? Czy wygląda na to, że Avett zorganizował oszustwo w pojedynkę, czy też to ma szerszy zasięg? Jak to wygląda, na jaką skalę, ile pieniędzy przepadło?”. Ale on o nic nie pytał. O żadną z tych rzeczy.

– A o co pytał?

– Ile ma czasu.

## 24 godziny wcześniej

Siedzieliśmy z Owenem na pokładzie, jedząc tajskie dania prosto z kartoników. I piliśmy lodowate piwo. On w bluzie i džinsach, na bosaka. Księżyc był w nowiu, północnokaliifornijska noc była chłodna i wilgotna, ale Owen w ogóle nie marzł. Ja z kolei zapakowałam się w koc, dwie pary skarpet i ciepłe buty.

Jedliśmy sałatkę z papają i spicy lime curry. Owena odrzuciło, gorąca para z chili poszła mu w oczy.

Zdusiłam śmiech.

– Nie dasz rady – powiedziałam. – Następnym razem możemy zamówić średnio ostre.

– Ależ dam radę. Ty dasz radę, to ja też...

Wpakował do ust kolejną porcję, twarz mu poczerwieniała, gdy próbował przełknąć. Sięgnął po piwo i upił potężny haust.

– Widzisz? – powiedział.

– Widzę.

Nachyliłam się, żeby go pocałować.

Gdy opadłam na powrót na swoje siedzisko, uśmiechnął się i dotknął mojego policzka.

– Jak myślisz, zmieszczę się z tobą pod kocem? – spytał.

– Zawsze.

Przysunęłam się, zarzuciłam mu koc na ramiona, czułam bijące od niego ciepło. Chociaż miał bose stopy, jego ciało miało temperaturę z pięć stopni wyższą niż moje.

– No to słucham – powiedział. – Twój ulubiony moment z dzisiejszego dnia?

Czasami tak robiliśmy, kiedy późno wracaliśmy do domu: jeśli byliśmy za bardzo zmęczeni na to, by bawić się w coś innego. Każde wybierało jeden moment z całego dnia i opowiadało o nim. Jeden dobry moment ze swojego osobnego życia.

– Wydaje mi się, że mam całkiem fajny pomysł na obiad dla Bailey – powiedziałam. – Jutro na kolację odtworzę makaron z masłem palonym.

Wiesz, to, co jedliśmy w Poggio na jej urodziny. Myślisz, że jej się spodoba?

Objął mnie mocniej w pasie i spytał szeptem:

– Pytasz, czy jej się spodoba, czy pytasz, czy cię dzięki temu pokocha?

– Ej, to nie było miłe.

– Staram się być miły. Bailey ma szczęście, że cię ma. I kiedyś to zrozumie. Bez względu na eksperymenty z jedzeniem.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Znam się.

Nic nie powiedziałam, bo nie do końca mu wierzyłam. Chciałam, żeby bardziej się starał zasypać przepaść między Bailey a mną, choć nie miałam pojęcia, co jeszcze dałoby się zdziałać. Mógłby przynajmniej powiedzieć mi, że robię wszystko, co w mojej mocy.

Jakby czytając mi w myślach, odgarnął mi włosy z twarzy. I pocałował mnie w szyję.

– Ale ten makaron naprawdę jej smakował – powiedział. – To uroczy pomysł.

– To właśnie mówię!

Uśmiechnął się.

– Jutro pewnie dam radę wcześniej wymknąć się z pracy. Jeśli interesuje cię sous chef...

– Owszem.

– No to dołączam. Jestem do dyspozycji.

Położyłam mu głowę na ramieniu.

– Dziękuję – powiedziałam. – No dobrze. Teraz ty.

– Najlepszy moment mojego dnia?

– Tak. Tylko się nie wykręcaj i nie mów, że to właśnie teraz!

Roześmiał się.

– Widać, jak dobrze mnie znasz – powiedział. – Nie zamierzałem mówić, że to właśnie teraz.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– A co zamierzałeś powiedzieć?

– Że sześćdziesiąt sekund temu – odrzekł. – Bez koca było zimno.

## Podążaj tropem pieniędzy

Jules wychodzi dopiero po drugiej w nocy.

Proponuje, że będzie u mnie spać, i może powinnam się zgodzić, bo nie mam szansy zasnąć.

Leżę bezsennie na kanapie w salonie, nie jestem w stanie pójść do sypialni, w której nie ma Owena. Zawijam się w stary koc i czekam w ciemności, raz za razem odtwarzając w głowie ostatnie słowa Jules przed wyjściem.

Stanęłyśmy przy drzwiach i ona się nachyliła, żeby mnie uściskać.

– Jedna rzecz... – powiedziała. – Masz jeszcze własne konto?

– Tak.

– To dobrze. To ważne.

Uśmiechnęła się z aprobatą, więc nie dodałam, że założyłam ten rachunek na wyraźne naleganie Owena. To on chciał trzymać część naszych pieniędzy osobno i nigdy w sumie nie wyjaśnił dlaczego. Uznałam, że to ma coś wspólnego z Bailey. Ale może się myliłam. Może chodziło o to, żebyśmy nie korzystali z moich pieniędzy.

– Pytam, bo pewnie zamrożą wszystkie jego środki – dodała Jules. – To pierwsza rzecz, jaką robią, jeśli kogoś szukają. Jeśli chcą ustalić, co wie. Zawsze idą tropem pieniędzy.

Tropem pieniędzy.

Czuję lekkie mdłości na myśl o torbie pod zlewem, torbie pełnej kasy. Owen prawdopodobnie wiedział, że ruszą ich tropem. Nie powiedziałam Jules o tej torbie, bo wiem, jak to wygląda w oczach każdej rozsądnej osoby. Wiem, jak to powinno wyglądać również w moich oczach. Wygląda to tak, jakby Owen był winny. Jules już tak zdecydowała, a tajemnicza torba z pieniędzmi tylko by ją utwierdziła w osądzie. Dlaczego by nie? Kocha Owena jak brata, ale to nie ma znaczenia – wszystko wskazuje na to, że Owen jest wplątany w aferę: ucieka i podejrzenie rozmawiał z Jules.

Tylko że... Tylko że ja wiem, że jest inaczej.

Owen nie uciekłby dlatego, że jest winien. Nie zniknąłby, żeby się uratować. Nie uciekłby, aby uniknąć więzienia albo nie patrzeć mi w oczy i nie przyznać, co zrobił. Nie zostawiłby Bailey. W życiu by nie zostawił Bailey, chyba że w warunkach absolutnej konieczności. Skąd to wiem? Skąd tyle wiary w moją ocenę, skoro najwyraźniej widzę tylko to, co chcę zobaczyć?

Częściowo dlatego, że przez całe życie chciałam widzieć. Całe swoje życie niewiarygodnie starałam się zauważać. Nie zauważyłam, że moja matka odejdzie. Umknęło mi to. Nie dostrzegłam nieodwracalności jej odejścia. A powinnam była. Wcześniej zdarzyło się tyle pospiesznych odejść, tyle nocy, gdy się wymykała, zostawiając mnie z dziadkiem bez choćby pożegnania. Tyle razy nie wracała przez wiele dni czy tygodni, od czasu do czasu tylko dzwoniąc, od czasu do czasu się meldując.

Gdy wreszcie odeszła na dobre, nie ostrzegła, że nie wróci. Usiadła na skraju mojego łóżka, odgarnęła mi włosy z twarzy i poinformowała, że musi jechać do Europy, ponieważ mój ojciec jej potrzebuje. Ale zapewniła, że niedługo się zobaczymy. Uznałam, że to znaczy, że wkrótce wróci – zawsze przyjeżdżała i odjeżdżała. Umknęło mi sedno tej wypowiedzi. „Niedługo się zobaczymy” oznaczało, że nigdy nie wróci, w taki dosłowny sposób. Oznaczało, że ze dwa razy do roku spędzę z nią popołudnie czy wieczór. Przy czym nigdy nie spędzę z nią nocy.

To oznaczało, że ją straciłam.

Tego właśnie nie zauważyłam: nie byłam dla matki na tyle ważna, bym jej nie straciła.

I poprzysięgam sobie, że już nigdy mi nic takiego nie umknie.

Nie wiem, czy Owen jest winny. I jestem wściekła, że zostawił mnie z tym samą. Ale wiem, że jestem dla niego ważna. Wiem, że mnie kocha. A przede wszystkim: wiem, że kocha Bailey.

Wyjechałby wyłącznie ze względu na nią. To musiało być to. Wyjechał tak, żeby ją ratować. Przed czymś lub przed kimś.

Tu chodzi o Bailey.

Reszta to tylko jakaś historia.

Łagodne żółte światło słońca wpada smugami przez nagie okna salonu.

Patrzę na świat. Nie włączam telewizora ani nie otwieram laptopa, żeby sprawdzić wiadomości. Najważniejsze wiem. Owena dalej nie ma.

Idę na górę, żeby wziąć prysznic. Drzwi do pokoju Bailey o dziwo są uchylone, Bailey siedzi na łóżku.

– Cześć – mówię.

– Cześć.

Podciągnęła kolana do piersi. Jest taka przerażona. I najwyraźniej bardzo stara się to ukryć.

– Mogę wejść na chwilę? – pytam.

– Jasne.

Wchodzę więc i siadam na skraju jej łóżka – jakby to było coś, co umiem robić, jakbym już kiedyś to robiła.

– Spałaś w ogóle? – pytam.

– Nie bardzo.

Pod prześcieradłem widzę zarys jej palców u stóp. Podwinęła je ciasno, jakby zaciskała pięść. Już mam sięgnąć do jej stopy, przykryć ją dłonią, ale zmieniam zdanie. Składam ręce razem i rozglądam się po pokoju. Na stoliku przy łóżku leży pełno książek o teatrze i sztuce, a na nich stoi niebieska świnka skarbonka. Owen wygrał ją dla Bailey na szkolnym kiermaszu niedługo po przeprowadzce do Sausalito. Świnka jest dziewczynką, ma rumiane policzki i kokardę na głowie.

– W kółko to analizuję – mówi Bailey. – No bo wiesz... mój ojciec nie komplikuje spraw. Przynajmniej nie ze mną. Więc wyjaśnij, co napisał na tej kartce do mnie.

– Co masz na myśli?

– „Wiesz, co jest dla mnie ważne”. Co to w ogóle znaczy?

– Chyba chciał powiedzieć, że wiesz, jak bardzo cię kocha. I że jest porządnym człowiekiem, choćby nie wiadomo co o nim ludzie mówili.

– Nie, nie w tym rzecz. Chodziło mu o coś innego, znam go, na pewno o coś innego.

– No dobrze... – Biorę głęboki oddech. – Na przykład co?

Ale ona kręci głową. Już myśli o czymś innym.

– A co ja niby mam zrobić z tymi pieniędzmi? Z tymi wszystkimi pieniędzmi, które mi zostawił? Taką kasę ludzie zostawiają, jeśli nie zamierzają wrócić.

Te słowa mną wstrząsnęły.

– Twój ojciec wróci – mówię.

Na jej twarzy widzę niedowierzanie.

– Skąd wiesz?

Usiłuję wymyślić jakąś pocieszającą odpowiedź. Na szczęście jest zgodna z prawdą.

– Bo ty tu jesteś.

– Więc dlaczego jego nie ma? Dlaczego tak zniknął?

Mam wrażenie, że ona nie czeka na odpowiedź. Czeka na walkę, jeśli jej dam odpowiedź, której ona nie chce. Jestem wściekła, że Owen mnie postawił w takiej sytuacji, bez względu na powód. Mogę sobie mówić, że mam pewność co do jego intencji, że gdziekolwiek jest, chce chronić córkę. Ale tak czy owak, ja tu zostałam bez niego. Czy nie jestem równie śmieszna jak moja matka? Czy przez to nie stałam się taka sama jak ona? Obie pokładałyśmy bezgraniczną wiarę w drugiej osobie – nazywając to miłością. Co to za miłość, skoro nas doprowadziła do takiego stanu?

– Posłuchaj – mówię. – Możemy później o tym gadać do woli, ale powinnaś się chyba zbierać do szkoły.

– Powinnaś się zbierać do szkoły? – powtarza. – Mówisz poważnie?

Ma rację. To rzeczywiście słabe. Ale jak mam wyrazić to, co chcę jej przekazać? Że dzwoniłam do jej ojca dziesiątki razy, że nie wiem, gdzie on jest. I na pewno nie mam pojęcia, kiedy do nas wróci.

Bailey wstaje i rusza do łazienki, czeka ją straszny dzień, mnie zresztą też. Chcę ją zatrzymać, zawołać, żeby wróciła do łóżka. Ale chyba projektuję na nią własne potrzeby. Czy dla niej nie będzie najlepiej, jeśli wyjdzie z tego domu? Pójdzie do szkoły? Zapomni choć na chwilę o swoim ojcu?

„Chroń ją”.

– Podrzucę cię – mówię. – Wolę, żebyś nie szła dzisiaj sama do szkoły.

– Jak chcesz.

Wyraźnie nie ma siły się kłócić. Chwila wytchnienia.

– Na pewno niedługo ojciec się odezwie – mówię. – I wszystko się wyjaśni.

– O, na pewno?! No co za ulga.

Jej sarkazm zupełnie nie maskuje prawdy: że jest zmęczona i samotna. Tęsknię za dziadkiem, który by doskonale wiedział, jak poprawić Bailey nastrój. Wiedziałyby, jak dać jej to, czego ona potrzebuje, cokolwiek to jest, by w takich chwilach jak ta wiedziała, że jest kochana. Wiedziała, że może zaufać. Tak samo jak robił to dla mnie. Przez ile miesięcy po odejściu matki znajdował mnie w moim pokoju, kiedy próbowałam pisać do niej list? W którym pytałam, jak mogła mnie zostawić?

Płakałam, czułam złość i strach. I nigdy nie zapomnę, co zrobił dziadek. Miał na sobie kombinezon i grube robocze rękawice – fioletowe,

wzmacniane. Te rękawice kupił niedawno. Specjalnie zamówił fioletowe, bo to był mój ulubiony kolor. Zdjął je, siadł na podłodze koło mnie i pomógł mi dokończyć list, dokładnie tak, jak chciałam go napisać. Bez osądzania. Pomógł mi napisać każde słowo, które sprawiało mi trudność. Zaczekał, aż wymyślę, jak chcę list zakończyć. Potem przeczytał go na głos, tak żebym usłyszała, jak brzmi, i przerwał na zdaniu, w którym pytałam matkę, jak mogła mnie zostawić. „Może to nie jest jedyne pytanie, które należałoby zadać – powiedział. – Może powinniśmy też pomyśleć, czy naprawdę chcemy, żeby było inaczej. Może pomyślimy, czy na swój sposób nie wyświadczyła nam przysługi...” Spojrzałam na niego, trochę już rozumiejąc trop, który mi podsuwa. „W końcu najważniejsze, że ja cię dostałem”.

Nie mógł powiedzieć nic bardziej wspaniałomyślnego. Bardziej pocieszającego i wspaniałomyślnego. Co dziś dziadek powiedziała by Bailey? I kiedy się dowiem, jak to powiedzieć?

– Słuchaj, Bailey... Ja się staram. Przykro mi. Wiem, że ciągle mówię do ciebie nie to, co trzeba.

– No cóż – rzuca, zamykając za sobą drzwi łazienki. – Przynajmniej tyle. Że wiesz.



## Pomoc w drodze

Kiedy postanowiliśmy, że się przeprowadzam do Sausalito, rozmawialiśmy z Owenem, co zrobić, żeby ta zmiana była jak najłagodniejsza dla Bailey. Byłam pewna, nawet bardziej niż Owen, że nie powinniśmy zabierać jej jedyne go domu, jaki zna – domu, w którym mieszka, odkąd sięga pamięcią. Chciałam, żeby miała ciągłość. Ten dom na wodzie – razem z drewnianymi belkami i bulajami, bajkowym widokiem na Issaquah Dock – był dla niej czymś stałym. Jej bezpiecznym rajem.

Ale może w ten sposób tym bardziej oczywiste było to, co się stało: ktoś wprowadził się do jej najświętszej przestrzeni, a ona nic nie mogła na to poradzić.

Niemniej zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by nie zakłócić równowagi. Jej równowagi. Wprowadziłam się do jej domu, ale zadbałam o pokój. Zaznaczyłam swoją obecność w sypialni Owena i mojej, ale poza tym zmieniałam wyłącznie ganek, uroczo otulając nasz dom od frontu. Zanim się tu wprowadziłam, był pusty. Ozdobiłam go kwiatami w doniczkach, rustykalnymi meblami. I sama zrobiłam ławkę, która stała przed wejściem.

Piękną ławkę na biegunach – wykończoną białym dębem i pełną poduszek.

Mamy z Owenem taki weekendowy rytuał, że siadamy na niej razem i pijemy poranną kawę. To nasz czas nadrabiania tygodniowych zaległości, gdy słońce wznosi się powoli nad zatoką San Francisco, rzucając na ławkę swoje ciepło. Wówczas gdy czeka go wolny od zajęć i stresu dzień, Owen uwalnia się od ciężaru i jest bardziej ożywiony niż przy codziennych rozmowach.

Po części dlatego, że sam widok tej ławki daje mi radość i szczęście, o mały włos nie padam trupem, gdy wychodzę ze śmieciami i okazuje się, że ktoś na niej siedzi.

– Dziś wywożą? – słyszę.

Odwracam się i widzę obcego mężczyznę, który opiera się o bok ławki, jakby był u siebie. Na głowie ma bejsbolówkę tyłem naprzód, ubrany jest w kurtkę i trzyma kawę.

– Mogę w czymś pomóc? – pytam.

– Mam nadzieję. – Ruchem ręki wskazuje mój ładunek. – Ale może chce pani najpierw to odstawić.

Patrzę na siebie – trzymam śmieci, dwa ciężkie worki. Wrzucam je do pojemnika. Potem się odwracam i przyglądam się mężczyźnie. Jest młody, koło trzydziestki. I przystojny w taki rozbrajający sposób, do tego mocna szczeka i ciemne oczy. W zasadzie jest aż za bardzo przystojny. Ale uśmiechem zdradza, że doskonale o tym wie.

– Hannah, jak sądzę – mówi. – Miło mi.

– Kim pan jest, do diabła?

– Grady.

Wsuwa krawędź kubka między zęby i daje mi znak, żebym chwilę zaczekała. Sięga do kieszeni i wyjmuję coś, co wygląda jak odznaka. Wyciąga ją w moją stronę.

– Grady Bradford – dodaje. – Może pani do mnie mówić po imieniu, a może mówić „zastępczo Bradford”, jeśli pani woli, choć w naszej sytuacji to zbyt oficjalne.

– A co to za sytuacja?

– Przyjazna – mówi. I się uśmiecha. – Bo mam przyjazne zamiary.

Oglądam odznakę. Widzę gwiazdę w obręczy. Mam ochotę przejechać palcami po tej obręczy, po gwiazdzie, jakbym w ten sposób umiała zdecydować, czy to nie podróbka.

– Jest pan policjantem?

– Dokładnie to szeryfem federalnym.

– Nie wygląda pan na szeryfa federalnego.

– A jak wygląda szeryf federalny?

– Jak Tommy Lee Jones w Ściganym.

Śmieje się.

– Rzeczywiście jestem młodszy od większości kolegów, ale mój dziadek służył w tych samych służbach, więc miałem ułatwiony start – wyjaśnia. – Zapewniam panią, że wszystko się odbyło zgodnie z prawem.

– A co pan robi w tych służbach?

Zabiera odznakę i wstaje z ławki, która kołysze się, uwolniona od jego ciężaru.

– No, przede wszystkim dokonuję aresztowań ludzi, którzy okradają amerykański rząd.

– Myśli pan, że mój mąż coś takiego zrobił?

– Myślę, że zrobiła to firma The Shop. Ale nie, nie mam przekonania, że pani mąż osobiście. Chociaż musiałbym z nim porozmawiać, zanim należycie ocenię jego udział. Wygląda jednak na to, że on nie chce takiej rozmowy.

Wyczuwam w tym jakąś nieszczerłość. Jakby Grady nie do końca chciał mi wyjaśnić, co robi na progu mojego domu.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć odznakę? – pytam.

– 512 555 5393.

– To numer pańskiej odznaki?

– Nie, to numer do mojego biura. Proszę zadzwonić, jeśli pani chce. Potwierdzą moją tożsamość. I że wystarczy mi kilka minut rozmowy z panią.

– Mam jakiś wybór?

– Zawsze ma pani wybór – odpowiada z uśmiechem. – Ale na pewno będę wdzięczny, jeśli pani ze mną porozmawia.

Wcale to nie brzmi, jakbym miała wybór, w każdym razie jakiś dobry. I nie wiem, czy mi się podoba ten Grady Bradford, z tym swoim wyćwiczonym przeciąganiem samogłosek. Ale czy podobałyby mi się ktokolwiek, kto by miał mi zadać pytania o Owena?

– Co pani na to? – pyta. – Może byśmy się przeszli?

– Dlaczego miałabym się z panem przechadzać?

– Ładny dzień. I mam coś dla pani.

Sięga pod moją ławkę i wyciąga drugi kubek kawy, gorącej, prosto od Freda. Na ścianie czarnym flamastrem napisano „dodatkowy cukier” i „odrobina cynamonu”. Ten człowiek nie przyniósł mi po prostu kawy. Przyniósł mi dokładnie taką kawę, jaką zawsze zamawiam.

Wdycham jej zapach, upijam łyk. Odkąd zaczął się ten cały syf, to pierwsza namiastka przyjemności.

– Skąd pan wie, jaką kawę piję? – pytam.

– Pomógł mi kelner Benj. Powiedział, że w weekendy zamawiacie z Owenem kawę u niego. Pani z cynamonem, Owen czarną.

– To przekupstwo.

– Pod warunkiem że okaże się skuteczne. Jeśli nie, to tylko kawa.

Patrząc na niego, upijam kolejny łyk.

– Jasną stroną ulicy? – pyta.

Opuszczamy doki i chodnikiem wzdłuż wybrzeża idziemy w kierunku śródmieścia – w oddali widzimy Waldo Point Harbour.

– A więc... pewnie żadnych wiadomości od Owena? – pyta Grady.

Myślę o naszym wczorajszym pożegnalnym pocałunku przy samochodzie, powolnym, uważnym. Owen nie był ani trochę zdenerwowany, miał uśmiech na twarzy.

– Nie, nie widziałam go, odkąd wczoraj wyszedł do pracy.

– I nie dzwonił?

Kręcę głową.

– A zwykle dzwoni z pracy?

– Zwykle tak.

– Ale wczoraj nie dzwonił?

– Może próbował, nie wiem. Pojechałam do Ferry Building w San Francisco, a po drodze są dziesiątki stref bez zasięgu, więc...

Kiwa głową, zupełnie niezaskoczony, jakby już to wszystko wiedział. Jakby miał to dawno za sobą.

– Co się działo po pani powrocie? – pyta. – Z Ferry Building?

Biorę głęboki oddech i zastanawiam się chwilę. Zastanawiam się, czy powiedzieć mu prawdę. Ale nie wiem, co on zrobi z informacją o dwunastolatce z kartką dla mnie, o kartce, którą Owen zostawił Bailey w szkole. O torbie z pieniędzmi. Dopóki sama tego nie rozgryzę, nie wtajemniczę kogoś, kogo dopiero co poznałam.

– Nie jestem pewna, o co pan pyta – mówię. – Zrobiłam Bailey obiad, który jej nie smakował, i ona pojechała na trening. Usłyszałam o The Shop w radiu NPR, kiedy czekałam na nią na parkingu przed szkołą. Pojechałyśmy do domu. Owen się nie pojawił. Żadna z nas nie spała.

Przechyliła głowę, przygląda mi się, jakby mi ani trochę nie wierzył. Nie dziwię mu się. Nie powinien mi wierzyć. Najwyraźniej jednak nie chce odpuścić.

– A więc dziś rano nikt nie dzwonił, tak? Ani nie pisał mejla?

– Nie.

Zastanawia się chwilę, jakby właśnie coś mu przyszło do głowy.

– To strasznie dziwne, jak ktoś znika, prawda? – mówi. – Tak bez wyjaśnienia...

– Tak.

– A jednak... pani wydaje się taka spokojna.

Staję zirytowana. Więc on uważa, że mnie zna na tyle, by oceniać, jak się czuję.

– Bardzo mi przykro, nie miałam świadomości, że jest właściwy sposób reagowania, kiedy w firmie męża pojawiają się służby specjalne, a on sam znika – mówię. – Jeszcze coś robię, pańskim zdaniem, niewłaściwie?

Zastanawia się.

– W sumie nie.

Zerkam na serdeczny palec jego dłoni. Nie ma obrączki.

– Rozumiem, że nie jest pan żonaty?

– Nie – przyznaje. – Ale zaraz... tak w ogóle czy w tej chwili?

– A to są różne odpowiedzi?

– Nie – przyznaje z uśmiechem.

– No więc gdyby pan był żonaty, wiedziałby pan, że martwię się o swojego męża najbardziej na świecie.

– Podejrzuwa pani, że padł ofiarą przestępstwa?

Myślę o kartce, którą Owen zostawił, o pieniądzach. Myślę o relacji dwunastolatki, która wpadła na Owena na korytarzu w szkole, o jego rozmowie z Jules. Owen wiedział, dokąd się udaje. Wiedział, że musi się stąd zbierać. To był jego wybór.

– Nie sądzę, żeby go porwano, jeśli to pan sugeruje.

– Niezupełnie.

– Więc co pan sugeruje, Grady? Tak zupełnie.

– Miło mi, że zwraca się pani do mnie po imieniu.

– A o co pan pyta?

– Pani została i musi wszystko ogarnąć – mówi. – A do tego zajmować się jego córką. Ja bym się wściekł, a pani nie sprawia wrażenia wściekłej. Więc myślę, że pani wie coś, czego nie chce mi powiedzieć...

Teraz słyszę w jego głosie napięcie. Oczy mu ciemnieją, aż wygląda tak, jak trzeba – na śledczego – a ja nagle staję po drugiej stronie tej jakiejś linii, którą on nakreśla, żeby oddzielić siebie od ludzi, których podejrzewa o przestępstwo.

– Jeśli Owen powiedział pani, dokąd się udaje – mówi dalej – jeśli powiedział, dlaczego wyjeżdża, muszę to wiedzieć. Tylko w ten sposób może go pani chronić.

– I to pana przede wszystkim interesuje? Chronienie go?

– Tak, w sumie tak.

Mam wrażenie, że mówi prawdę, a to mnie wytrąca z równowagi. Jeszcze bardziej niż Grady w trybie śledczego.

– Muszę wracać do domu.

Zaczynam się od niego odsuwać, bo stojąc tak blisko, Grady Bradford odbiera mi trochę pewności siebie.

– Powinna pani sobie poszukać adwokata – mówi.

– Słucham?!

– Chodzi o to, że usłyszysz pani mnóstwo pytań o Owena, na pewno zanim on wróci i sam udzieli wyjaśnień. Pytań, na które nie ma pani obowiązku odpowiadać. Łatwiej dać odpór pytającym, jeśli pani powie, że ma adwokata.

– Albo mogę powiedzieć im prawdę. Nie mam pojęcia, gdzie jest Owen, i nie mam nic do ukrycia.

– To nie jest takie proste. Ludzie będą pani podsuwać informacje, dzięki którym mogą sprawiać wrażenie, że są po pani stronie. I po stronie Owena. A to nieprawda. Będą się kierować wyłącznie swoim interesem.

– Ludzie tacy jak pan?

– Dokładnie tak. Ale dziś rano w pani interesie zadzwoniłem do Thomasa Sheltona. To mój kumpel, który pracuje w sądzie rodzinnym Kalifornii. Chciałem się upewnić, że nic pani nie grozi, na wypadek gdyby ktoś w tym całym zamieszaniu domagał się opieki zastępczej dla Bailey. Thomas uruchomi swoje kontakty, żeby takim opiekunem na pewno ustanowiono panią.

Wypuszczam głośno powietrze, nie jestem w stanie ukryć ulgi. Przyszło mi do głowy, że gdyby to potrwało dużo dłużej, mogłabym stracić opiekę nad Bailey. Ona nie ma żadnej rodziny – dziadkowie nie żyją, nie ma innych bliskich krewnych. A my jednak nie jesteśmy spokrewnione ani spowinowacane. Nie adoptowałam jej. Chyba państwo nie może mi jej ot, tak odebrać w dowolnej chwili? Przynajmniej dopóki nie zdecydują, gdzie jest jej opiekun prawny i dlaczego zostawił swoje dziecko?

– Ma taką władzę? – pytam.

– Ma. I zrobi to.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Bo go poprosiłem.

– Dlaczego miałyby pan to dla nas robić?

– Żeby mi pani zaufała, gdy powiem, że najlepsze, co może pani zrobić dla Owena, to przycząić się i znaleźć sobie adwokata. Zna pani jakiegoś?

Myślę o jedynym prawniku, jakiego znam w tym mieście. I myślę, jak bardzo nie chcę z nim rozmawiać. Zwłaszcza teraz.

– Niestety – mówię.

– Proszę do niego zadzwonić. I się przycząić.

– Chce pan to jeszcze raz powtórzyć? – pytam.

– Niekoniecznie. Już wystarczy.

Nagle coś w jego twarzy się zmienia, pojawia się na niej uśmiech. Najwyraźniej tryb śledczy się wyłączył.

– Owen od dwudziestu czterech godzin nie użył karty kredytowej ani czeku. Niczego. I nie użyje. Jest za sprytny, więc może pani już do niego nie wydzwaniaić, bo założę się, że wyrzucił telefon.

– Więc dlaczego pan pytał, czy dzwonił?

– Mógł użyć innych aparatów – wyjaśnia. – Jednorazówek na kartę. Aparatów, których nie da się namierzyć.

Jednorazówki, zostawianie śladów. Dlaczego Grady tak usilnie posługuje się nomenklaturą przestępczą w odniesieniu do mojego męża?

Już mam go zapytać, gdy wciska guzik w pilocie – samochód po drugiej stronie ulicy błyska światłami.

– Nie będę pani dłużej zatrzymywał, ma pani sporo do przemyślenia – mówi. – Ale gdyby Owen się z panią skontaktował, proszę mu przekazać, że mogę mu pomóc, jeśli mi tylko na to pozwoli.

Po czym podaje mi serwetkę od Freda, ze swoim imieniem i nazwiskiem, GRADY BRADFORD i dwoma numerami telefonu, jego numerami, jak sędzę. Jeden jest na komórkę.

– Pani też mogę pomóc – dodaje.

Wsuwam serwetkę do kieszeni, Grady idzie do swojego auta. Już mam odejść, ale gdy on uruchamia silnik, coś mi przychodzi do głowy i przechodzę na drugą stronę.

– Chwileczkę... z czym dokładnie? – pytam.

Otwiera okno.

– Z czym dokładnie co?

– Może mi pan pomóc?

– Z tą łatwiejszą częścią – odpowiada. – Z przejściem przez to.

– A trudniejsza część to?

– Owen nie jest tym, za kogo go pani uważa.

I z tymi słowy Grady Bradford odjeżdża.



## To nie są twoi przyjaciele

Wracam do domu na chwilę, tylko po laptop Owena.

Nie zamierzam siedzieć i myśleć o tym, co Grady powiedział, ani o wszystkich rzeczach, które pominął, a które bardziej mnie martwią. Skąd tyle wie o Owenie? Może nie tylko Avetta śledzono uważnie przez ostatni rok z okładem? Może dzięki miłym uczynom – a to pomoc w sprawie opieki nad Bailey, a to porady – Grady chciał wyciągnąć ze mnie jakieś informacje o mężu, którymi ten nie chciałby się dzielić.

Wyciągnął coś? Nie sądzę. Jeszcze raz analizuję całą rozmowę. Ale nie zamierzam ryzykować, że stanie się tak w przyszłości, ani przy Gradym, ani przy kimkolwiek innym. Przede wszystkim zamierzam rozgryźć, co się dzieje z Owenem.

Wychodzę z doków w lewo i jadę do swojego warsztatu.

Najpierw muszę jednak zajechać do domu kolegi Owena. Wcale się do tego nie palę, ale jeśli ktokolwiek ma wyobrażenie, co myśli Owen, a co może mi umknęło, to Carl.

Carl Conrad: najbliższy przyjaciel mojego męża w Sausalito. I jedna z nielicznych osób, co do których się nie zgadzamy. Owen uważa, że traktuję go niesprawiedliwie, i może to prawda. Jest zabawny i bystry i przyjął mnie z otwartymi ramionami, gdy tylko przyjechałam do Sausalito. Ale też nałogowo zdradza swoją żonę Patricię, a mnie się nie podoba, że to wiem. Owen też wolałby o tym nie wiedzieć, ale mówi, że jest w stanie w głowie to oddzielić, bo dla niego Carl jest takim dobrym kumplem.

Taki właśnie jest Owen. Ważniejsza jest dla niego przyjaźń niż ocenianie przyjaciela. A może nie oceniał Carla z innych powodów. Może nie oceniał go, bo Carl się odwzajemniał, nie oceniając Owena za sekrety, które ten mu powierzył.

Nawet jeśli ta teoria jest błędna, muszę porozmawiać z Carlem.

Bo jest on też jedynym prawnikiem, jakiego tu znam.

Pukam do drzwi wejściowych, ale nikt mi nie otwiera. Ani Carl, ani Patty.

To dziwne, bo Carl pracuje z domu. Lubi być na miejscu ze względu na dzieci – mają dwójkę maluchów – które zwykle o tej porze kładą się na drzemkę. Oboje, Carl i Patty, mają szmergla na punkcie planu dnia swoich dzieci. Patty pouczyła mnie co do tego podczas naszego pierwszego wspólnego wyjścia na miasto. Właśnie obchodziła dwudzieste ósme urodziny, dzięki czemu wykład miał dodatkowy urok. Jeśli jeszcze mogę mieć dzieci – tak właśnie to ujęła – będę musiała bardzo pilnować, żeby mną nie dyrygowały. Będę musiała im pokazać, kto rządzi. To oznacza ścisły porządek dnia. W jej wypadku – dzień w dzień drzemkę o 12.30.

Jest 12.45. Nawet jeśli Carla nie ma, to co z Patty?

Tylko że przez żaluzje okna salonu widzę, że Carl jest. Widzę, że tam stoi, że się chowa za żaluzjami i czeka, aż odejdę.

Znowu pukam do drzwi, długo naciskam dzwonek. Nie zdejmę ręki z tego guzika do wieczora, jeśli mnie nie wpuści. W dupie mam drzemkę dzieci.

Carl otwiera. W dłoni trzyma piwo, włosy ma starannie uczesane. To pierwsze oznaki, że dzieje się coś nietypowego. Zwykle włosy ma w nieładzie, myśli, że tak wygląda seksowniej. I ma coś w oczach – dziwne połączenie ożywienia i strachu, i czegoś jeszcze, czego nie umiem nazwać, może dlatego, że ciągle jestem w szoku, że się przede mną chował.

– Co jest, Carl? – pytam.

– Hannah... musisz stąd iść.

Jest wściekły. Dlaczego jest wściekły?

– Zajmę ci tylko chwilę.

– Nie teraz, teraz nie mogę z tobą rozmawiać.

Przysuwa się bliżej do drzwi, ale ja je blokuję, z siłą zaskakującą dla nas obojga. Carl puszcza drzwi, które otwierają się na oścież.

I wtedy widzę Patty. Stoi w progu salonu, trzyma na rękach Sarę, obie są ubrane w identyczne sukienki w turecki wzorek, włosy mają zaplecione w dwa luźne warkoczyki. Identyczny ubiór i fryzura jeszcze bardziej podkreślają to, co ludzie mają myśleć na widok dziewczynki: że to jest równie atrakcyjna, mniejsza wersja mamusi.

Za nimi widzę w salonie tłum – dziesiątki rodziców i dzieci patrzą, jak klaun robi zwierzątka z baloników. Nad ich głowami wisi napis „Urodziny Sary”.

Ich córka kończy dwa latka. Na śmierć o tym zapomniałam. Mieliśmy z Owenem być na tej imprezie. A teraz Carl nawet mi nie otworzył.

Patty zmieszana macha mi ręką na powitanie.

– Cześć – mówi.

– Cześć. – Też macham.

– Porozmawiamy później – oznajmia Carl głosem opanowanym, ale stanowczym.

– Zapomniałam, bardzo cię przepraszam. – Kręcę głową. – Nie chciałam się wbijać w środek przyjęcia.

– Nieważne. Idź już.

– Pójdę, ale... mógłbyś tu do mnie wyjść i pogadać kilka minut? Nie prosiłabym, gdyby to nie było pilne. Chyba potrzebuję adwokata. Coś się stało w The Shop.

– Myślisz, że nie wiem? – pyta.

– Więc dlaczego ze mną nie pogadasz?

W tym momencie podchodzi do nas Patty, podaje Sarę Carlowi. Potem całuje go w policzek. Pokazowa. Dla niego. Dla mnie. Dla gości.

– Cześć. – Mnie też całuje w policzek. – Cieszę się, że jednak przyszedł.

– Patty – mówię ściszym głosem – strasznie cię przepraszam, że tak w trakcie przyjęcia, ale coś się stało Owenowi.

– Carl – przerywa mi – mógłbyś zabrać wszystkich do ogrodu? Czas na deser lodowy.

Spogląda na gości i uśmiecha się do nich.

– Wszyscy wychodzą do ogrodu z Carlem! Pan też, Panie Głuptasie – dodaje do klauna. – Czas na lody!

Dopiero wtedy – ani chwili wcześniej – odwraca się do mnie.

– Porozmawiajmy przed drzwiami, dobrze? – proponuje.

Już mam jej wyjaśnić, że muszę porozmawiać z Carlem, nie z nią, z Carlem, który właśnie się oddala z Sarą na biodrze, ale Patty wypycha mnie na ganek. Zamyka grube czerwone drzwi i znowu jestem po ich niewłaściwej stronie.

Dopiero tutaj, w ustroniu, kieruje na mnie wściekły wzrok. Uśmiech zniknął.

– Jak śmiesz tu przychodzić?! – pyta.

– Zapomniałam o przyjęciu.

– W dupie mam przyjęcie. Owen strasznie zawiódł Carla!

– Strasznie zawiódł...? Jak to?

– A wiesz, że nie mam pojęcia? Ale może chodzi o to, że ukradł wszystkie nasze pieniądze?

– O czym ty mówisz?

– Owen ci nie powiedział, że namówił nas do zainwestowania w akcje The Shop? Omamił go potencjałem oprogramowania. Ogromnymi zyskami. Zapomniał wspomnieć, że oprogramowanie nie działa.

– Patty, posłuchaj...

– Więc wszystkie nasze pieniądze są teraz w akcjach The Shop. Właściwie powinnam powiedzieć, że to, co zostało z naszych pieniędzy, jest w akcjach, które według najnowszych notowań kosztują trzynaście centów.

– Myśmy też w nie włożyli pieniądze. Gdyby Owen wiedział, dlaczego by to robił?

– Może sądził, że nikt ich nie przyłapie. A może jest tępakiem, nie umiem powiedzieć. Ale mogę ci obiecać, że jeśli natychmiast nie opuścisz mojego domu, wezwę policję. Nie żartuję. Nie jesteś tu mile widziana.

– Rozumiem, że jesteś zła na Owena, naprawdę rozumiem. Ale Carl może umie pomóc mi go znaleźć, a to najszybszy sposób, żeby wszystko wyjaśnić.

– Nie mamy o czym rozmawiać, chyba że przyszłaś zapłacić za studia naszych dzieci.

Nie wiem, co jej powiedzieć, ale wiem, że coś muszę, zanim zamknie mi przed nosem drzwi. Po tym, jak spojrzałam Carlowi w oczy, nie mogę się pozbyć wrażenia, że on coś wie.

– Patty, możesz wziąć głęboki oddech? Ja też nic nie wiem. Tak jak ty.

– Twój mąż brał udział w oszustwie na pół miliarda dolarów, więc chyba ci nie wierzę. Ale jeśli nie kłamiesz, to jesteś totalną idiotką, skoro nie widzisz, kim naprawdę jest twój mąż.

Mam wrażenie, że to nie jest najlepszy moment, żeby jej powiedzieć, że jeśli chodzi o robienie z siebie idiotki, to ona też tego nie uniknęła. Jej mąż sypia ze współpracownicą, odkąd Patty była w ciąży z dzieckiem, które Pan Głuptas właśnie zabawia w ogrodzie. Może wszyscy robimy z siebie idiotów, gdy w grę wchodzi całościowy obraz ludzi, którzy nas kochają – ludzi, których my staramy się kochać.

– Naprawdę mam ci uwierzyć, że nie wiedziałaś, co jest grane? – pyta.

– Po co bym tu szukała odpowiedzi?

Przechyla głowę, zastanawia się. Może coś do niej dociera, a może sobie uświadamia, że po prostu ma to gdzieś. Ale jej twarz łagodnieje.

– Idź do Bailey – mówi. – Idź już. Ona będzie cię potrzebować.

Rusza do drzwi. Ale jeszcze się odwraca.

– Ach, a gdybyś rozmawiała z Owenem, powiedz mu, żeby się pierdolił.

I zamyka drzwi za sobą.

Idę do swojego warsztatu, szybkim krokiem.

Ze spuszczonego wzrokiem skręcam w Litho Street i mijam dom LeAnn Sullivan. Siedzi z mężem na werandzie, popijając popołudniową lemoniadę. Zawsze się zatrzymuję i pozdrawiam ich, ale dziś udaję, że coś robię w telefonie. Zwykle dołączam do nich na szklaneczkę.

Mój warsztat mieści się w małym drewnianym domu po sąsiedzku. Ma dwieście sześćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni i ogromne podwórko. W Nowym Jorku mogłam tylko pomarzyć o takiej przestrzeni, ilekroć jechałam metrem do magazynu przyjaciół na Bronksie, żeby pracować nad meblami, które się nie mieściły w pracowni na Greene Street.

Zaczynam się uspokajać, gdy tylko zamykam za sobą furtkę. Ale nie wchodzę do budynku, okrążam go i od podwórka idę na mały taras, gdzie lubię robić dokumentację. Siadam przy stoliku i otwieram laptop Owena. Staram się zapomnieć o Gradym. O gniewie Patty. I o tym, że Carl w ogóle na mnie nie spojrzał, a co dopiero mówić o podzieleniu się wiedzą. Mobilizuje mnie świadomość, że muszę to sama rozgryźć. I czuję się spokojniejsza wśród swoich rzeczy, swojej pracy. W swoim ulubionym miejscu w Sausalito. Dzięki temu prawie mnie nie rusza, że włamuję się do komputera mojego męża.

Laptop się uruchamia, wpisuję hasło. Nic nie przykuwa mojej uwagi. Klikam w folder „Zdjęcia”, który jest biblią Bailey. Są tu setki jej fotografii, od szkoły podstawowej do liceum, zdjęcia z absolutnie każdych urodzin, poczynając od piątych, w Sausalito. Widziałam je wszystkie wiele razy. Owen uwielbiał opowiadać o tej części ich życia, która mnie ominęła: mała Bailey po raz pierwszy grająca w nogę, w czym była okropna; mała Bailey grająca po raz pierwszy w sztuce w szkole (Anything Goes), w czym była niesamowita.

Nie znajduję dużo zdjęć z czasów, gdy Bailey była całkiem mała, kiedy jeszcze mieszkali w Seattle, w każdym razie nie ma ich w tym folderze.

Więc klikam na podfolder nazwany inicjałami OM.

To folder poświęcony Olivii Michaels. Pierwszej żonie Owena. Matce Bailey.

Olivia Michaels z domu Nelson: nauczycielka biologii w liceum, pływaczka synchroniczna, podobnie jak Owen kończyła Princeton. W tym folderze jest niewiele zdjęć – Owen mówił, że Olivia nie znosiła fotografowania. Ale te zdjęcia, które ma, są piękne, może dlatego, że ona była piękną. Wysoka i smukła, o długich rudych włosach, które sięgały jej do połowy pleców, i z uroczymi dołeczkami w policzkach, dzięki którym zawsze wyglądała na szesnastolatkę.

Nie jesteśmy do siebie podobne – ona była przede wszystkim ładniejsza, bardziej interesująca z wyglądu. Ale gdyby zasłonić część detali, można by powiedzieć, że łączyło nas pewne podobieństwo. Wzrost, długie włosy (moje blond), może nawet coś w uśmiechu. Gdy Owen po raz pierwszy pokazał mi jej zdjęcie, powiedziałam coś o tym podobieństwie. Ale on odparł, że go nie widzi. Nie żeby się zjeżył czy tłumaczył, po prostu wyjaśnił, że gdybym ją zobaczyła na żywo, nie uznałabym, że wiele nas łączy.

Zastanawiałam się, czy zdjęcia są mylące również w kwestii tego, jak mała swoją mamę przypomina Bailey – z wyjątkiem mojej ulubionej fotografii Olivii, na której siedzi na moło w dżinsach i białej koszuli. Trzyma dłoń na policzku, głowę ma odrzuconą, śmieje się. Kolory są inne, ale coś w tym uśmiechu jest takiego, co przypomina uśmiech jej córki – przynajmniej w mojej wyobraźni. Dzięki temu zdjęciu Olivia staje się brakującym elementem, Bailey ma kogoś oprócz Owena.

Dotykam ekranu. Chcę ją spytać, co przegapiłam w sprawie jej córki, w sprawie jej męża. Ona na pewno poradziłaby sobie lepiej niż ja i już sama ta myśl boli.

Wciągam powietrze i klikam w folder o nazwie „The Shop”. W środku jest pięćdziesiąt pięć dokumentów, wszystkie poświęcone kodowaniu i programom HTML. Gdyby w tych kodach źródłowych krył się jakiś klucz, i tak bym go nie znalazła. Zapisuję w notesie, żeby odszukać kogoś, kto by umiał to zrobić.

Ze zdumieniem trafiam na dokument o nazwie „Testament, wersja najnowsza”. Nie podoba mi się to, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co się teraz dzieje. Otwieram go i oddycham z ulgą. Powstał krótko po naszym ślubie, Owen już mi go pokazywał. I nic się nie zmieniło. Albo prawie nic. Na ostatniej stronie widzę małą notatkę z podpisem Owena. Czy była już

tam wcześniej, a ja jej nie zauważyłam? Wskazuje kuratora: L. Paul. Nie mam pojęcia, o kogo chodzi. Żadnego adresu ani telefonu.

L. Paul. Kim jest człowiek, którego nazwiska w życiu nie słyszałam ani nie widziałam?

Zapisuję w notesie „L. Paul”, gdy za plecami słyszę kobiecy głos:

– Znalazła pani coś interesującego?

Odwracam się – na moim podwórku, na samym skraju, stoi starsza kobieta, a obok niej jakiś mężczyzna. Ona wygląda elegancko w granatowym garniturze, siwe włosy ma gładko zaczesane w kucyk. On się prezentuje już mniej oficjalnie, ma ciężkie powieki, pomietą hawajską koszulę i gęstą brodę, dzięki której wygląda na starszego niż towarzysza, podczas gdy jest raczej w moim wieku.

– Co państwo tu robią? – pytam.

– Dzwoniliśmy od frontu – wyjaśnia kobieta. – Pani Hannah Hall?

– Zanim odpowiem, poproszę o lepsze wyjaśnienie, dlaczego wkraczacie na mój teren.

– Agent specjalny Jeremy O’Mackey z FBI – przedstawia się mężczyzna – a to agentka specjalna Naomi Wu.

– Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Odruchowo zamykam komputer.

– To nie jest najlepszy moment – zauważam.

Posyła mi fałszywie słodki uśmiech.

– Zajmiemy pani tylko kilka minut – mówi. – A potem damy pani spokój.

Wchodzą już na schodki tarasu, siadają na krzesłach naprzeciwko mnie.

Naomi kładzie na blacie odznakę i przesuwa ją w moją stronę, agent O’Mackey robi to samo.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy w niczym ważnym – mówi ona.

– A ja mam nadzieję, że mnie nie śledziliście.

Agentka przygląda mi się uważnie, raczej zaskoczona moim tonem. Ale ja jestem zbyt zirytowana, żeby się tym przejmować. Jestem zirytowana i boję się, że zażądają wydania komputera Owena, zanim się zorientuję, co kryje.

I jeszcze jedno. Przypomina mi się przestroga Grady’ego Bradforda. „Niech pani nie odpowiada na każde pytanie, bo wcale pani nie musi”. Chyba skorzystam z tej rady.

Jeremy O’Mackey sięga po swoją odznakę.

– Zapewne ma pani świadomość, że prowadzimy w tej chwili śledztwo w sprawie firmy technologicznej, w której pracuje pani mąż? – mówi. – Mieliśmy nadzieję, że uzyskamy od pani informacje na temat miejsca jego pobytu.

Kładę sobie komputer na kolana, bronię go.

– Chętnie bym to zrobiła, ale nie mam pojęcia, gdzie jest mój mąż. Nie widziałam go od wczoraj.

– Czy to nie dziwne? – pyta agentka takim tonem, jakby sama właśnie się zdumiała. – Że go pani nie widziała?

– Bardzo dziwne, owszem – przyznaję, patrząc jej w oczy.

– A zdziwiłaby się pani, gdybym powiedziała, że od wczoraj mąż nie korzystał z komórki ani z karty kredytowej? Nie zostawia żadnych śladów.

Nie odpowiadam.

– Ma pani może pomysł, dlaczego tak się dzieje? – pyta O'Mackey.

Nie podoba mi się, jak na mnie patrzą, jakby już zdecydowali, że coś przed nimi ukrywam. A ja po raz kolejny wzdycham w duchu, że bardzo bym chciała.

Agentka wyciąga z kieszeni notatnik i otwiera go.

– Rozumiemy, że łączą panią interesy z Avettem i Belle Thompsonami? – pyta. – Przez ostatnie pięć lat zamówili u pani przedmioty za sumę stu pięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

– Nie pamiętam, czy to dokładnie taka suma. Ale tak, są moimi klientami.

– Czy rozmawiała pani z Belle od wczorajszego aresztowania Avetta?

Przypominam sobie, ile wiadomości zostawiłam w jej skrzynce. Sześć. Nie oddzwoniła ani razu. Kręcę głową.

– Nie dzwoniła do pani?

– Nie.

Agentka przechyla głowę w zamyśleniu.

– Na pewno?

– Tak, wiem na pewno, z kim rozmawiałam, a z kim nie.

Wychyla się w moją stronę, jakby była moją przyjaciółką.

– Chcemy po prostu mieć pewność, czy mówi nam pani wszystko. W przeciwieństwie do pani przyjaciółki Belle.

– Co ma pani na myśli?



– Powiedzmy, że nie potwierdza jej zapewnień o niewinności fakt, że wcześniej kupiła cztery bilety na lot do Sydney z różnych lotnisk w północnej Kalifornii, by niepostrzeżenie wymknąć się z kraju. To nie brzmi jak „Nic mi nie wiadomo”, prawda?

Bardzo się staram nie zareagować. Jak do tego doszło? Jak doszło do tego, że Avett jest w areszcie, a Belle usiłuje uciec do dawnej ojczyzny? A jeszcze Owen zniknął? Owen, który jest bystry i często dostrzega to, co innym umyka.

– Czy Belle rozmawiała z panią o firmie The Shop? – pyta agentka.

– Nigdy nie wypowiedziała do mnie ani jednego słowa na temat pracy Avetta. Nie interesowała się nią.

– Mniej więcej to samo powiedziała nam.

– Gdzie ona teraz jest?

– W swoim domu w St. Helena. Paszport złożyła u adwokata. Powtarza, że jest wstrząśnięta na samą myśl, że jej mąż mógłby popełnić jakiegokolwiek przestępstwo. – Urywa na chwilę. – Ale z naszych doświadczeń wynika, że żony zwykle wiedzą.

– Nie tym razem – odpowiadam.

Agentka mówi dalej, jakbym się nie odezwała.

– Skoro jest pani pewna... Ktoś powinien pomyśleć o córce Owena.

– Myślę.

– To dobrze, to dobrze.

Brzmi to jak groźba. Słyszę tę aluzję. Tę insynuację, że mogą mi zabrać Bailey. Czy Grady nie zapewniał mnie, że nie mogą?

– Będziemy musieli porozmawiać też z Bailey – dodaje O’Mackey. – Jak wróci dziś ze szkoły.

– Nie będziecie z nią rozmawiać – odpowiadam. – Ona nie wie nic o miejscu pobytu ojca. Musicie ją zostawić w spokoju.

Na niego mój ton działa jak płachta na byka.

– To chyba nie zależy od pani – mówi. – Możemy się umówić albo dziś wieczorem po prostu przyjść do was do domu.

– Jeśli chcecie z nią rozmawiać, musicie się najpierw skonsultować z naszym adwokatem.

– A kto jest pani adwokatem? – pyta agentka.

Nie zastanawiam się nad implikacjami tej decyzji, tylko mówię:

– Jake Anderson. Z Nowego Jorku.

– Dobrze, niech się z nami skontaktuje.

Kiwam głową, starając się wymyślić, jak załagodzić spięcie. Nie chcę zniweczyć tego, co Grady mi rano obiecał – że Bailey zostanie ze mną. To jest najważniejsze.

– Słuchajcie, wiem, że wykonujecie swoje obowiązki – mówię – ale ja jestem zmęczona i jak już mówiłam dziś rano szeryfowi federalnemu, nie mam za dużo do powiedzenia.

– Zaraz, zaraz, co takiego?! – pyta O’Mackey.

Patrzę na niego i na Naomi, która już się nie uśmiecha.

– Szeryfowi federalnemu, który przyszedł do mnie dziś rano – wyjaśniam. – Już to omawialiśmy.

Patrzą po sobie.

– Jak się nazywał? – pyta O’Mackey.

– Jak się nazywał ten szeryf?

– Tak, jak się nazywał ten szeryf?

Naomi patrzy na mnie z zaciśniętymi ustami, jakby zupełnie się nie spodziewała takiego obrotu sprawy, którą uważała za wygraną. Dlatego decyduje, że nie powiem prawdy.

– Nie pamiętam – mówię.

– Nie pamięta pani, jak się nazywał?

Nic już nie mówię.

– Nie pamięta pani, jak się nazywał szeryf federalny, który był u pani dziś rano? To chce mi pani powiedzieć?

– Ostatniej nocy nie spałam najlepiej, więc słabo kontaktuję.

– A pamięta pani, czy ten szeryf pokazał pani odznakę? – dołącza O’Mackey.

– Pokazał.

– A wie pani, jak wygląda odznaka szeryfa? – pyta Naomi.

– A powinnam? – pytam. – Nie wiem też, jak wygląda odznaka agenta FBI, skoro już mowa o mojej niewiedzy. Pewnie lepiej, gdybym potwierdziła, że jesteście tymi, za których się podajecie. Potem możemy kontynuować naszą rozmowę.

– Po prostu się zdziwiliśmy, ponieważ to nie jest sprawa podlegająca jurysdykcji urzędu szeryfa – mówi. – Musimy się więc upewnić, kto właściwie dziś rano z panią rozmawiał. Nie powinni się tu pojawiać bez naszego zezwolenia. Czy grozili w jakiś sposób pani mężowi? Bo dobrze, żeby pani wiedziała, że jeśli jego udział jest minimalny, może poprawić swoją sytuację, zeznając przeciwko Avettowi.

- To prawda – dodaje O’Mackey. – Nie jest nawet jeszcze podejrzany.
  - Jeszcze? – pytam.
  - Kolega nie miał na myśli „jeszcze” sensu stricto – mówi Naomi.
  - Nie miałem na myśli „jeszcze” sensu stricto. Chodziło mi o to, że nie ma pani powodu rozmawiać z szeryfem.
  - To ciekawe, agencie O’Mackey, bo on to samo powiedział o was.
  - Tak?
- Naomi prostuje się, uśmiecha.
- Może zaczniemy od początku? – proponuje. – Gramy w jednej drużynie. Ale w przyszłości może by pani zadbała o obecność adwokata, zanim pani porozmawia z kimś, kto zapuka do pani drzwi.
- Odwzajemniam uśmiech.
- Wspaniały pomysł, pani Wu. Wdrożę go natychmiast. Wskazuję im furtkę i czekam, aż wyjdą.

# Nie wykorzystuj tego przeciwko mnie

Upewniam się, że agenci FBI odeszli i opuszczam warsztat.

Idę z powrotem do doków, mocno przyciskając do piersi komputer Owena. Mijam szkołę, z której właśnie wysypują się uczniowie.

Podnoszę wzrok, czując, że ktoś mi się przygląda. W moją stronę patrzy kilka matek (i kilku ojców). Może nie z gniewem – jak Carl czy Patty – raczej z troską, ze współczuciem. W końcu ci ludzie uwielbiają Owena. Zawsze go uwielbiali. Przyjęli go do siebie. Żeby w niego zwątpili, nie wystarczy nazwa jego firmy w wiadomościach. To jest właśnie zaleta niewielkich miejscowości – ludzie bronią swoich. Dużo im trzeba, żeby się zwrócili przeciwko komuś, kogo kochają.

Dużo im też trzeba, by dopuścić do siebie kogoś nowego. Tak jak mnie. Nadal nie są pewni, czy powinni byli mnie wpuścić. A gdy się przeprowadziłam do Sausalito, było gorzej. Zadawali pytania tak głośno, że Bailey słyszała je w drodze do domu i przekazywała nam. Chcieli wiedzieć, kim jest ta nietutejsza, którą Owen postanowił poślubić. Nie rozumieli, jakim cudem najbardziej atrakcyjna partia Sausalito znika z rynku z powodu jakiejś rzemieślniczki, choć tak mnie nie nazywali. Mówili, że jestem stolarką – stolarką, która nie nosi makijażu ani modnych butów. Dziwili się, że Owen wybrał taką kobietę – choć młodzieńczą, to dobiegającą czterdziestki, taką, która prawdopodobnie nie urodzi już dzieci. Kobietę, która tak się zajmowała drewnem, że nie ogarnęła założenia rodziny.

Najwyraźniej nie rozumieli we mnie tego, co Owen rozumiał od samego początku. Nie miałam problemu z singielstwem. Dziadek wychował mnie tak, bym polegała na sobie. Moje problemy pojawiały się, gdy próbowałam się wpasować w życie innej osoby, zwłaszcza kiedy to oznaczało zrezygnowanie z części siebie. Więc czekałam, aż trafi się ktoś, przy kim nie będę musiała tego robić – ktoś, kto wpasował się bez wysiłku. A może upraszcam. Może należałoby powiedzieć, że aby być z Owenem, nie musiałam podejmować wysiłku. To była kwestia drobiazgów.

Po powrocie do domu zamykam za sobą drzwi, wyjmuję telefon i wyszukuję go w kontaktach. Jake. To ostatnia rozmowa, jaką chcę przeprowadzić w tej chwili, no ale nie mam wyjścia. Dzwonię do drugiego znanego mi adwokata.

– Anderson, słucham.

Na dźwięk jego głosu wracam na Greene Street, do zupy cebulowej i Krwawych Mary w The Mercer Kitchen w niedzielę, do innego życia. Wracam tam, bo mój były narzeczony tak właśnie zawsze odbierał telefon. Jake Bradley Anderson, doktor praw Uniwersytetu Michigan, magister zarządzania tegoż, triathlonista, wspaniały kucharz.

Nie rozmawialiśmy od dwóch lat, a on ciągle wita się absolutnie tak samo, choć brzmi to triumfująco. Jemu właśnie dlatego to się podoba. Dlatego tak się wita. Uważa, że taka prezentacja jest dobra przy jego zawodzie. Jest prawnikiem procesowym w kancelarii prawniczej na Wall Street, a ma zostać jednym z najmłodszych starszych wspólników tamże. Nie zajmuje się sprawami karnymi, ale jest świetnym adwokatem, co pierwszy chętnie powie. Mam nadzieję, że nieposkromiona pycha Jake'a teraz mi się przyda.

– Cześć – mówię.

Nie pyta, kto dzwoni. Wie kto, choć minęło tyle czasu. Wie też, że musi być u mnie bardzo źle, skoro się z nim kontaktuję.

– Skąd dzwonisz? – pyta. – Jesteś w Nowym Jorku?

Kiedy do niego zatelefonowałam powiedzieć, że wychodzę za mąż, odrzekł, że pewnego dnia wrócę, żeby znów być z nim. Wierzył w to. I najwyraźniej uważa, że ten dzień właśnie nadszedł.

– Z Sausalito. – Przerywam na chwilę, bojąc się wyartykułować słowa, których nie chcę powiedzieć. – Chciałabym skorzystać z twojej pomocy... Chyba potrzebuję adwokata...

– Czyli... czyli się rozwodzisz?

Jedyne, co mogę zrobić, to nie rozłączyć się. Jake już taki jest, nic na to nie poradzi. Chociaż poczuł ulgę, gdy odwołałam nasz ślub, chociaż cztery miesiące później ożenił się z inną (a niedługo później się z nią rozwiódł), lubił odgrywać ofiarę w naszej relacji. Trzymał się narracji, że ze względu na taką, a nie inną przeszłość za bardzo się bałam, żeby go dopuścić – że uważałam, że on mnie porzuci jak moi rodzice. Nigdy nie pojął, że wcale się nie bałam, że ktoś mnie zostawi. Bałam się, że zostanie przy mnie niewłaściwa osoba.

– Jake, dzwonię właśnie z powodu mojego męża. Ma kłopoty.

– Co zrobił?

Ponieważ na nic lepszego z jego strony nie mogę liczyć, opowiadam mu całą historię, zaczynając od ogólnych informacji o pracy mojego męża, o śledztwie w sprawie The Shop i dziwnym zniknięciu Owena, do tego dołączam dwie wizyty, Grady’ego Bradforda i FBI, zaznaczając, że FBI nie wiedziało o Grady. I mówię, że chyba nikt nie wie, gdzie Owen jest ani co planuje – a na pewno nie wiem ja ani Bailey.

– A jego córka... jest z tobą?

– Bailey, tak. Jest ze mną. I to zapewne ostatnie miejsce, w którym chciałyby być.

– Więc ją też zostawił?

Nie odpowiadam.

– Jak ona się nazywa? – pyta.

Słyszę, jak stuka na klawiaturze, robiąc notatki, w tabelce – takie tabelki zawsze leżały na podłodze w naszym salonie. Teraz na celowniku był Owen.

– Przede wszystkim nie przejmuj się za bardzo, że FBI nie wiedziało o tym człowieku z urzędu szeryfa, który przyszedł z tobą pogadać. Mogli cię wszyscy okłamywać. A poza tym poszczególne agencje ochrony porządku publicznego zawsze prowadzą ze sobą wojny terytorialne, zwłaszcza jeśli jest jeszcze nieustalony zakres śledztwa. Odzywał się do ciebie już ktoś z Komisji Papierów Wartościowych?

– Nie.

– No to się odezwą. Powinnaś wszystkich przedstawicieli organów odsyłać do mnie, przynajmniej dopóki się nie dowiemy, w jakim kierunku to zmierza. Ty nic nie mów, niech wszyscy dzwonią bezpośrednio do mnie.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie wspominasz o tym... ale muszę zapytać... jak głęboko ty w tym siedzisz?

– No cóż... Owen jest moim mężem, więc chyba dotyczy to mnie osobiście.

– Pojawią się służby z nakazem rewizji – ciągnie Jake. – Dziwne, że jeszcze się nie pojawili. Więc jeśli masz w domu cokolwiek, co dowodzi, że jesteś w to zamieszana, musisz się tego pozbyć.

– Nie mogę być w to zamieszana – mówię. – Nie mam z tym nic wspólnego.

Czuję, że się jeżę. I czuję niepokój na myśl, że ktoś pojawi się w moim domu z nakazem rewizji. Myślę o torbie, którą by znalazł, torbie, która w nienaruszonym stanie leży pod zlewem w kuchni.

– Jake, ja próbuję rozgryźć, gdzie jest Owen. Dlaczego uznał, że musi zniknąć, że nie ma innego wyjścia.

– Przede wszystkim zapewne nie chce iść do więzienia.

– Nie, to nie o to chodzi. Nie uciekłby z tego powodu.

– A jaką masz teorię?

– Stara się chronić swoją córkę.

– Przed czym?

– Nie wiem. Może uważa, że fałszywe oskarżenie ojca zniszczy jej życie? Może zniknął, bo chce dowieść swojej niewinności?

– Mało prawdopodobne. Ale... niewykluczone, że chodzi o coś innego.

– Na przykład?

– Coś gorszego niż to, co zrobił.

– Jake, nie pomagasz.

– Słuchaj, nie będę owijał w bawełnę. Jeśli Owen nie ucieka przed sprawą The Shop, to pewnie ucieka przed tym, co sprawa The Shop może ujawnić na temat jego osoby. Pytanie, co to może być... – Urywa. – Mam prywatnego detektywa. Dobrego. Poproszę, żeby trochę poszperał. Ale musisz mi wysłać mejlem całą historię Owena. Wszystko, co wiesz. Gdzie chodził do szkoły, gdzie spędził dzieciństwo. I daty. Wszystkie. Gdzie i kiedy się urodziła jego córka.

Słyszę, że zaczyna obgryzać długopis. Nikt inny na świecie by nie rozszyfrował, co robi, to jego tajny nawyk. Jedyne zachowanie Jake'a świadczące o braku pewności siebie. Ale widzę to, jakbym tam siedziała, wpatrując się w zmaltretowaną skuwkę. To straszne, jeśli tyle wiesz o drugiej osobie, choć od dawna tego nie chcesz.

– I zrób coś dla mnie. Miej telefon pod ręką, na wypadek gdybym musiał się z tobą skontaktować. Ale nie odbieraj połączeń z żadnego numeru, którego nie znasz.

Przypominam sobie, jak Grady mówił, że Owen wyrzucił swój telefon. Że wyrzucił telefon z jedynym jego numerem, który bym rozpoznała.

– A jeśli to będzie Owen?

– Owen teraz nie dzwoni. Wiesz przecież.

– Nie wiem.

– Myślę, że wiesz.

Milczę. Choć podejrzewam, że Jake ma rację, nie powiem mu tego. Nie zamierzam w ten sposób zdradzać Owena. Ani Bailey.

– I musisz rozgryźć, dlaczego on uciekł. Potrzebny mi jakiś konkret, inny niż to, że chciał chronić swoje dziecko... I lepiej zrób to szybko. FBI nie będzie długo grzecznie stawiać pytań.

W głowie zaczyna mi się kręcić. Myślę o tym, jak niemiło FBI już stawiało pytania.

– Jesteś tam jeszcze? – pyta.

– Tak.

– Staraj się... staraj się zachować spokój. Wiesz więcej, niż sądzisz. Wiesz, jak się z tego wykaraskać.

No i tym mnie rozczuła. Wystarczy, że przechodzi w tryb dobroci i życzliwości i mówi tak ciepło, pokrzepiająco.

– Ale w przyszłości – dodaje – nie mów, że ktoś jest niewinny, dobra? Jeśli już coś musisz mówić, powiedz, że nie jest winny. Mówiąc „niewinny”, wychodzisz na idiotkę. Zwłaszcza że większość ludzi jest winna, że ja pierdołę.

I to jest właśnie to.



## Sześć tygodni wcześniej

– Powinniśmy zrobić sobie wolne – powiedział Owen. – Już dawno powinniśmy.

Był środek nocy. Leżeliśmy w łóżku, on tulił moją dłoń w swojej. Położył ją sobie na piersi, na sercu.

– Powinieneś pojechać ze mną do Austin – powiedziałam. – To by się chyba liczyło?

– Austin?

– Mam tam sympozjum tokarzy, mówiłam ci. Moglibyśmy sobie z tego zrobić wypad. Spędzilibyśmy kilka dni w Texas Hill Country...

– To w Austin? Nie mówiłaś mi, że to w Austin...

Potem kiwnął głową, jakby się nad tym zastanawiał, jakby rozważał, żeby do mnie dołączyć – ale poczułam, że coś się zmieniło. Coś się zamknęło.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Nic.

Ale puścił moją rękę i zaczął się bawić obrączką, obracać ją na palcu. To ja mu ją zrobiłam – bliźniaczą do mojej: dwa wąskie paski, które z daleka wyglądały jak każda błyszcząca platynowa obrączka. Ale zrobiłam je ze szcztokowanej stali i grubego białego dębu. Były rustykalne i eleganckie jednocześnie. Użyłam swojej najmniejszej tokarki. A kiedy pracowałam, Owen siedział na podłodze koło mnie.

– Bailey niedługo jedzie na wycieczkę szkolną do Sacramento – powiedział. – Moglibyśmy skoczyć do Nowego Meksyku, sami, we dwójkę, zatracić się w białych skałach.

– Z rozkoszą – odparłam. – Dawno nie byłam w Nowym Meksyku.

– Ja też nie. Od czasów college'u. Wtedy pojechaliśmy do Taos, spędziliśmy tydzień w górach.

– Jechaliście aż z New Jersey?

Ciągle obracał obrączkę, zamyślony.

– Słucham?

– Jechaliście do Nowego Meksyku aż z New Jersey? To musiała być strasznie długa wyprawa.

Ocknął się, puścił obrączkę.

– To nie było w czasach college’u.

– Owen! Dopiero co powiedziałaś, że pojechaliście do Taos w czasach college’u.

– Nie wiem. Gdzieś była jakaś góra. Może to było w Vermoncie. Pamiętam tylko, że powietrze było rozrzedzone.

Roześmiałam się.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. Tylko...

Spojrzałam na niego, próbując nadażyć.

– Po prostu przypomniałem sobie dziwną część życia.

– College?

– College, czasy po college’u. – Pokręcił głową. – Jak utknałem na jakiejś górze, której nie pamiętam.

– Słuchaj... to chyba najdziwniejsza rzecz, jaka padła z twoich ust.

– Wiem.

Usiadł i włączył światło.

– Cholera – zaklął. – Naprawdę potrzebuję urlopu.

– No to weźmy urlop.

– Dobra, weźmy.

Położył się z powrotem, z ręką na moim brzuchu. Czułam, jak się odpręża. Czułam, że do mnie wraca. Więc nie chciałam naciskać. Nie chciałam w tamtym momencie nalegać, by wyznał to, czym o mały włos się nie podzielił.

– I nie musimy tego teraz drażnić, ale tak między nami... – powiedziałam. – Ja większość czasu w college’u spędziłam, grając na gitarze w kapeli coverowej Joni Mitchell, uczestnicząc w słamach poetyckich i umawiając się ze studentem filozofii, który pracował nad manifestem na temat tego, jak to rząd próbuje kontrolować rewolucję.

– Nie jestem pewien, czy się mylił.

– Może nie, ale chcę powiedzieć, że niewiele jest takich rzeczy, które mógłbyś mi wyznać, a one by coś zmieniły, przynajmniej między nami.

– I chwała Bogu – wyszeptał.

# Niezbyt dobry, bardzo zły dzień Bailey

Bailey wraca ze szkoły w żalonym stanie.

Siedzę na ławce, popijając czerwone wino, nogi mam przykryte kocem. Staram się przeanalizować wydarzenia dnia – dnia, który zaczął się bez Owena i tak się skończy, choć wydaje się to niemożliwe. Choć na samą myśl robię się wściekła, smutna, zdenerwowana i samotna.

Widzę ją z daleka, jak idzie pomostami ze zwieszoną głową. Wreszcie staje przede mną, przed samą ławką i stoi. Oczy jej płoną.

– Nie wracam tam jutro – mówi. – Nie wracam do szkoły.

Widzę te oczy, ten strach. No i proszę, wyglądamy identycznie, mimo że zupełnie tego nie chciałam.

– Udają, że o tym nie rozmawiają – mówi. – O tacie. O mnie. A efekt jest gorszy, niż gdyby mówili mi to w twarz. Jakbym ich nie słyszała, jak o tym szepczą cały dzień.

– I co mówią?

– A którą część chcesz usłyszeć? Jak Brian Padura pytał Bobby’ego po chemii, czy mój ojciec jest przestępcą? Albo jak Bobby walnął go pięścią w usta?

– Bobby tak zrobił?

– Ehe...

Kiwam głową, jestem pod wrażeniem.

– Potem było tylko gorzej.

Przesuwam się odrobinę na ławce, robię jej miejsce. Siada, ale na skraju, żeby w każdej chwili mogła zmienić zdanie i wstać.

– No to może jutro zrobisz sobie wolne?

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Naprawdę? Nie zamierzasz się ze mną o to kłócić?

– A to by coś zmieniło?

– Nie.

– Jeśli o mnie chodzi, masz jutro spokój ze szkołą. Jeśli miałaś dzień jak ja, to zdecydowanie na to zasługujesz.

Kiwa głową i zaczyna obgryzać paznokcie.

– Dziękuję – mówi.

Mam ochotę odsunąć jej rękę od ust, potrzymać ją. Chcę jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że będzie tylko łatwiej – tak czy inaczej. Ale nawet gdyby takie słowa były w stanie ją pocieszyć, to na pewno musiałyby paść z ust innych niż moje.

– Nie mam siły nic gotować, więc dziś substancje odżywcze zapewnią nam dwie pizze z pieczarkami, cebulą i podwójnym serem. Dojadą za jakieś pół godziny.

Prawie się uśmiecha, więc ośmielam się zadać pytanie, które muszę jej zadać, bo mam nadzieję, że tą drogą rozgryzę zagadkę, która nie daje mi spokoju od rozmowy z Jakiem.

– Bailey... pamiętasz, jak spytałaś wczoraj, co twój ojciec miał na myśli w liściku do ciebie. Jak napisał „Wiesz, co dla mnie ważne”.

Wzdycha, najwyraźniej zbyt wykończona, żeby zwyczajowo wznosić oczy do nieba.

– Wiem, ojciec mnie kocha, już mi to wyjaśniłaś – mówi.

– Może się myliłam. Z tym że o to mu chodziło. Może miał na myśli coś innego.

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Co ty mówisz?

– Może tak napisał, bo coś wiesz. Wiesz o nim coś, co masz sobie przypomnieć.

– A co ja bym miała wiedzieć?

– No właśnie nie mam pojęcia.

– No to dobrze, że sobie to wyjaśniłyśmy – mówi. I po chwili dodaje: – Ale wszyscy w szkole chyba się z tobą zgadzają.

– To znaczy?

– Wszyscy uważają, że ja wiem, dlaczego mój ojciec robi to, co robi. Że przy śniadaniu powiedział mi, że zamierza ukraść pół miliarda dolarów i zniknąć.

– Nie wiemy, czy twój ojciec miał z tym cokolwiek wspólnego.

– Nie. Wiemy tylko, że go tu nie ma.

Ma rację. Owena nie ma. Może być gdziekolwiek. Przypomina mi się coś, co rano przekazał mi Grady Bradford – informacja, którą podał, gdy próbował mnie przekonać, że powinnam z nim rozmawiać, bo jest po mojej stronie. Numer telefonu. Numer telefonu biura oddziału Grady’ego. Z kierunkowym, którego nie rozpoznałam. 512. Sięgnęłam do tylnej

kieszoni po serwetkę. A na niej dwa numery, oba zaczynające się od 512. Bez adresu.

Sięgnęłam po swoją leżącą na stoliku komórkę i wybrałam numer biura. Serce mi waliło, gdy zaczęło łączyć, gdy automatyczna sekretarka poinformowała mnie, że dodzwoniłam się do Biura Urzędu Szeryfa Federalnego.

Do oddziału zachodnioteksańskiego. Z siedzibą w Austin.

Grady Bradford pracuje w biurze w Austin. Co robił u mnie w domu szeryf z Teksasu? Zwłaszcza że – jeśli wierzyć słowom O'Mackeya i Wu – nie miał uprawnień do prowadzenia tego śledztwa? A jeśli miał, to dlaczego? Co zrobił Owen takiego, by Bradford włączył się do śledztwa? Co z tym wszystkim ma wspólnego Teksas?

– Bailey... Czy twój ojciec był kiedykolwiek dłużej w Austin?

– W Teksasie? Nie.

– Zastanów się chwilę. Może przejeżdżaliście przez Austin po drodze? Może jeszcze przed przeprowadzką do Sausalito? Kiedy jeszcze mieszkaliście w Seattle?

– Czyli... kiedy miałam cztery lata?

– Strzelałam w ciemno.

Podnosi wzrok, szukając w głowie dnia czy momentu, który dawno zapomniała, a tu nagle ktoś jej mówi, że to ważne, że musi pamiętać. Najwyraźniej denerwuje się, że nie może tego znaleźć. A ja na pewno nie chcę jej denerwować.

– A w ogóle to dlaczego mnie pytasz?

– Dzisiaj był tu szeryf federalny z Austin. Przyszło mi do głowy, że może dlatego, że twój ojciec ma jakieś powiązania z tym miastem.

– Z Austin?

– Tak.

Zastanawia się chwilę.

– Może... – mówi. – Może dawno temu... Możliwe, że byłam tam na jakimś ślubie. Jak byłam bardzo mała. Wręcz jestem pewna, że niosłam kwiatki, bo kazali mi pozować do zdjęć. I chyba ktoś mi mówił, że jesteśmy w Austin.

– Na ile jesteś pewna?

– Ani trochę.

– No a co pamiętasz w związku z tym ślubem? – pytam, próbując z innej strony.

– Nie wiem... pamiętam tylko, że tam byliśmy.

– Więc twoja mama też?

– Chyba tak, tak. Ale nie wiem, czy była w tej części, którą pamiętam najlepiej. Wyszłam z tatą z kościoła i poszliśmy na spacer, i zaprowadził mnie na stadion. I trwał mecz. Nigdy nic takiego nie widziałam. Ten gigantyczny stadion. Cały oświetlony. Wszystko było pomarańczowe.

– Pomarańczowe?

– Pomarańczowe światła, pomarańczowe stroje. Uwielbiałam pomarańczowy, miałam fioła na punkcie Garfielda, więc wiesz... tak to właśnie pamiętam. Ojciec pokazywał na te pomarańczowe rzeczy, mówił, że są w kolorze Garfielda.

– I wydaje ci się, że byłeś w kościele?

– Tak, w kościele. Albo w Teksasie, albo zupełnie gdzie indziej.

– Ale nigdy później nie pytałaś ojca, gdzie był ten ślub? Nigdy go nie pytałaś o żadne szczegóły?

– Nie. Po co miałabym to robić?

– Słusznie.

– Poza tym jak ja coś wyciągałam z przeszłości, to on się denerwował. To nowość.

– A jak myślisz: dlaczego?

– Denerwował się, że tak słabo pamiętam mamę.

Milczę. Ale Owen też mówił mi coś podobnego. Zabrał Bailey do terapeuty, jak była bardzo mała. Wyglądało na to, że nie ma żadnych wspomnień związanych z mamą. Terapeuta powiedział Owenowi, że to normalne. To mechanizm obronny, który ma złagodzić poczucie porzucenia, gdy się traci rodzica w tak młodym wieku. Ale zdaniem Owena chodziło o coś więcej i nie wiedzieć czemu obwiniał o to siebie.

Bailey zamyka oczy, jakby myślenie o mamie ją przerastało, jakby teraz przerastało ją również myślenie o tacie. Wyciera oczy, ale widzę łzę. A ona się orientuje, że ją zdążyłam zobaczyć. Nawet nie stara się ukryć, jak samotna się czuje. I gdy widzę ten jej ból, wiem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jej pomóc, chociaż trochę. Żeby znowu poczuła się dobrze.

– Możemy porozmawiać o czymś innym? – pyta. I nagle podnosi rękę. – Nie, cofam to. Możemy porozmawiać o niczym? Chciałabym pogadać absolutnie o niczym.

– Bailey...

– Nie. Możesz mi po prostu dać spokój?

Opada na oparcie, czekając na pizzę albo na moje odejście, w dowolnej kolejności.

## Czego nie chcesz pamiętać?

Wchodzę do środka, skoro Bailey chce zostać sama. Nie będę na nią naciskać, nie czuję takiej potrzeby. I nie mam potrzeby domagać się, żeby weszła do środka. Jest skołowana i wściekła, zastanawia się, czy jej ojciec jest tym, za kogo go uważa – czy może ciągle wierzyć w istnienie tej osoby, za którą zawsze go uważała. Zrównoważonej, szczodrej, należącej do niej. Jest wściekła, że musi to kwestionować – wściekła na niego, na siebie. Doskonale to rozumiem.

„Chroń ją”.

Ale przed czym? Przed tym, w co Owen się wpakował w The Shop? Do czego tam dopuścił? Czy chciał, żebym ją chroniła przed czymś innym? Czymś, czego jeszcze nie dostrzegam? Czymś, czego wolałabym nie dostrzec?

Krażę po swoim pokoju. Nie chcę zrażać do siebie Bailey, ale muszę zbadać każdy najmniejszy trop. Tylko to mi przychodzi do głowy – przeanalizowanie naszych mglistych wspomnień o Owenie. Muszę ją prosić, żeby to zrobiła. I trzeba te wspomnienia zestawić z tym, co się działo przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Gdzie się to wszystko łączy?

Nagle mi się coś przypomina. Austin. Jeszcze jedno wspomnienie o Owenie i Austin. Krótko przed przeprowadzką do Sausalito dostałam propozycję pracy w tamtym mieście. Mieszkająca tam gwiazda filmowa chciała wyremontować dom, duży parterowy budynek na Westlake Drive, nad jeziorem Austin.

Chciała, żeby ktoś jej pomógł pozbyć się aury byłego męża, który uwielbiał nowoczesność, a nie znosił stylu rustykalnego. Jej dekoratorka wewnątrz zaproponowała moje meble. Aktorka chciała jednak uczestniczyć w pracach, co oznaczało, że muszę pojechać do Austin na dwa tygodnie.

Poprosiłam Owena, żeby wybrał się tam ze mną, ale on stanowczo odmówił. Denerwował się, że w ogóle chcę gdzieś jechać, bo to opóźni moją przeprowadzkę do Sausalito – co z kolei opóźni rozpoczęcie naszego wspólnego życia w pełnym wymiarze.



Ja też się nie mogłam doczekać przenosin do Kalifornii – wcale natomiast mi się nie paliło do pracy pod okiem wymagającej klientki. Więc nie przyjął tej propozycji. Nie umknęło mi jednak dziwne zachowanie Owena. Zupełnie do niego nie pasowało, żeby reagował w ten sposób – żeby był taki kontrolujący, roszczeniowy. Kiedy podniosłam ten temat, przeproszał za swoją reakcję. Powiedział, że od tej przeprowadzki robi się nerwowy. Martwi się, jak Bailey przyjmie moją obecność w domu. Dla Owena wszystko zawsze sprowadzało się do Bailey. Wszelkie zmiany, które wpływały na nią, wpływały też na niego. Zdenerwowanie było dla mnie zrozumiałe. Dałam spokój.

I zaraz przyszedł mi do głowy jeszcze jeden moment związany z Austin. Kiedy poprosiłam Owena, żeby pojechał ze mną do stolicy Teksasu na moje sympozjum stolarzy, na chwilę spochmurniał. Nie odrzucił tej sugestii, ale zrobił unik. Po prostu unik. Więc może nie chodziło tylko o Bailey. Może to było związane z samym Austin. Może nie chciał, żebym się tam na coś natknęła. Na coś, przed czym on uciekał.

Biorę do ręki telefon i dzwonię do Jake'a, zagorzałego fana futbolu: liga studencka, NFL, rozgrywki na YouTube o ósmej rano.

– U mnie jest późno – mówi zamiast powitania.

– Co mi możesz powiedzieć o stadionie futbolowym w Austin? – pytam.

– Mogę ci powiedzieć, że to się tak nie nazywa.

– Wiesz coś o ich drużynie futbolowej?

– Longhornach? A co cię interesuje?

– Jakie mają barwy?

– Czemu pytasz?

Czekam.

Wzdycha.

– Pomarańczowy i biały.

– Na pewno?

– Tak, ciemny pomarańcz i biel. Stroje, maskotki. Bramki. Pole punktowe. Cały stadion. Jest północ, po północy. Śpię. Dlaczego pytasz?

Nie wyobrażam sobie, że powiem mu prawdę, która brzmi wariacko. Że stamtąd był szeryf federalny, który dzisiaj przyszedł do mojego domu. Że Bailey pamięta, że tam była. Chyba. A Owen dwukrotnie ześwirował na hasło, żeby tam jechać. W każdym razie teraz pamiętam dwa takie razy.

Nie chcę mu mówić, że poza Austin nie mam nic.

Myślę o moim dziadku. Gdyby żył i siedziałabym tu z nim, powiedziałabym mu. On by nie pomyślał, że zwariowałam. Siedziałby ze mną, dopóki wymyśliłabym, co mam robić. Dlatego był w tym dobry – pomagał mi rozumieć, na czym polega moja praca. Na początek nauczył mnie, że w tokarstwie nie chodzi tylko o nadanie kawałkowi drewna pożądanego kształtu. Nie. Chodzi też o skrawanie, przyglądanie się drewnu, badanie, czym było wcześniej. To pierwszy krok do stworzenia czegoś pięknego. Pierwszy krok, jeśli chcesz zrobić coś z niczego.

Gdyby Owen tu był, też by to zrozumiał. Jemu również mogłabym to powiedzieć. Spojrzałby na mnie i wzruszył ramionami. „Co masz do stracenia?” Od razu by zrozumiał – że ja już zdecydowałam.

„Chroń ją”.

– Jake? Oddzwonię do ciebie – mówię.

– Jutro! Oddzwoń jutro!

Rozłączam się i wychodzę przed dom. Bailey siedzi tam, gdzie ją zostawiłam, wpatruje się w wody zatoki, popija moje wino jak swoje.

– Co robisz?

Kieliszek jest prawie pusty. A jak odchodziłam, był pełen. Widzę wino w kącikach jej ust.

– Możesz odpuścić? – pyta. – Trochę tylko spróbowałam.

– Nie chodzi mi o wino.

– To dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Spakuj się.

– Dlaczego?

– Myślałam o tym, co mówiłaś, o tym ślubie. O Austin. I uważam, że powinniśmy tam pojechać.

– Do Austin? – upewnia się.

Kiwam głową.

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– To szaleństwo. Co miałyby nam dać wyjazd do Austin?

Chcę jej odpowiedzieć szczerze. Jeśli spróbuję zacytować dziadka i powiem o tym skrawaniu, czy ona będzie w stanie to przyjąć? Wątpię. A jeśli jej powiem, co do tej pory odtworzyłam – mglistą koncepcję w najlepszym wypadku – zbuntuje się i nie będzie chciała jechać.

Więc mówię jej coś na miarę jej sił, a co też jest prawdą. Coś, co mógłby powiedzieć jej ojciec.

– Lepiej tak niż siedzieć tutaj.

- A co ze szkołą? Nie będę chodzić do szkoły?
  - Mówiłaś, że jutro i tak nie idziesz do szkoły – przypominam jej. – Czy nie mówiłaś tak dopiero co?
  - Owszem, chyba mówiłam.
- Wchodzę już do środka. Już ruszam w drogę.
- Więc się pakuj.

## CZEŚĆ DRUGA

Każdy gatunek drewna ma swój charakterystyczny rysunek i kolor, który się ukazuje w trakcie wytaczania misy.

Philip Moulthrop

## Cudaczne Austin zawsze na propsie

O 6.55 mamy lot z San Jose.

Minęło czterdzieści sześć godzin, odkąd Owen wyszedł do pracy. Od czterdziestu sześciu godzin nie miałam od niego wiadomości.

Oddaję Bailey miejsce przy oknie, a sama siadam przy przejściu, pasażerowie trącają mnie w drodze do łazienki w ogonie samolotu.

Bailey opiera się o okno, jak najdalej ode mnie, ręce ciasno spłotła na piersi. Ma na sobie koszulkę Fleetwood Mac, bez rękawów, nie wzięła bluzy, na rękach ma gęsią skórę.

Nie wiem, czy to z zimna, czy ze zdenerwowania. Może jedno i drugie. Jeszcze nigdy nie leciałyśmy razem, więc nie ostrzegłam jej, że powinna mieć pod ręką bluzę. Zresztą i tak pewnie by mnie nie posłuchała.

Nagle sobie uświadamiam, że to największa przewina Owena. Dlaczego przed zniknięciem nie zapewnił mi punktu odniesienia? Dlaczego nie zostawił mi kompletu zasad, jak mam się z nią obchodzić? Zasada numer jeden: powiedz jej, żeby przygotowała sobie bluzę, zanim wsiądzie do samolotu. Powiedz jej, żeby nie miała gołych ramion.

Bailey nie odrywa spojrzenia od okna, unika kontaktu wzrokowego ze mną. Całe szczęście, że nie ma potrzeby rozmawiać. Wyciągam notes i zabieram się do pracy. Układam strategię działania. Wylądujemy o dwunastej trzydzieści czasu lokalnego, co oznacza, że pewnie koło drugiej dotrzemy do centrum Austin i do hotelu.

Szkoda, że nie znam tego miasta lepiej, niestety, byłam tu raptem raz, na ostatnim roku studiów. To był pierwszy zawodowy przydział Jules – płacili jej całe osiemdziesiąt pięć dolarów i za pokój w hotelu – poprosiła, żebym pojechała z nią. Robiła zdjęcia na Dorocznym Festiwalu Pikantnych Sosów organizowanym przez „Austin Chronicle” dla bostońskiego bloga kulinarnego. Większość czasu spędziłyśmy na tym festiwalu, parząc sobie usta setkami różnych wersji smakowych żeberek, smażonymi ziemniakami, grillowanymi warzywami i sosami jalapeno. Jules zrobiła sześćset zdjęć.

Dopiero krótko przed wyjazdem udało nam się wyjść z ogrodów we Wschodnim Austin, gdzie odbywał się festiwal. Znalazłyśmy wzgórze, z którego roztaczał się niewiarygodny widok na miasto. Było w nim tyle samo drzew, co wieżowców, i więcej jasnego nieba niż chmur. A dzięki kameralności jeziora sprawiało wrażenie miasteczka, nie wielkiego miasta.

Postanowiłyśmy wtedy, że po dyplomie się tu przeniesiemy. Austin było tańsze od Nowego Jorku, o wiele bardziej przyjazne od Los Angeles. Nie ustaliłyśmy dokładnie, kiedy nadejdzie ten moment, ale wtedy tak czułyśmy, spoglądając z góry na miasto. Miałyśmy wrażenie, że patrzymy w swoją przyszłość.

Na pewno nie taką przyszłość sobie wyobrażałam.

Zamykam oczy, staram się, żeby mnie nie pochłoneły pytania, które tłuką mi się po głowie w strasznej pętli, pytania, na które muszę odpowiedzieć: Gdzie jest Owen? Dlaczego zdecydował się na ucieczkę? I co takiego mi w nim umknęło, o czym bał mi się powiedzieć?

Po części z tego powodu siedzę w tym samolocie. Wymyśliłam sobie, że wyjeżdżając z domu, uruchomiłam we wszechświecie coś, co sprawi, że Owen wróci i sam wszystko wyjaśni. Czyż czajnik nie zaczyna gwizdać, jak przestajesz się na niego gapić?

Gdy tylko wylądujemy w Austin, znajdę wiadomość od Owena, z pytaniem, gdzie jesteśmy, bo on siedzi w naszej pustej kuchni i czeka na nas, a nie na odwrót.

– Czym mogę paniom służyć?

Podnoszę wzrok na stojącą w przejściu stewardesę ze srebrną kartą drinków w ręku.

Bailey nie odwraca głowy od okna, widać tylko jej fioletowy kucyk.

– Colę zwykłą – rzuca. – I dużo lodu.

Wzruszam ramionami, w geście przeprosin za jej oschłość.

– Ja poproszę dietetyczną – mówię.

Stewardesa tylko śmieje się serdecznie.

– Szesnastolatka? – szepcze.

Kiwam głową.

– Sama mam szesnastolatkę. A nawet bliźniaczki. Proszę mi wierzyć, rozumiem.

Wtedy Bailey się odwraca.

– To nie jest moja matka – mówi.

To prawda. I Bailey mogłaby taką poprawkę zgłosić dowolnego dnia, ale w tej chwili to brzmi inaczej i boli tak, że nie jestem w stanie tego ukryć. Nie chodzi o to, jak się czuję – ona właśnie sobie uświadamia, że teraz, gdy tylko ja jej zostałam, ani nienawiść do mnie, ani wypieranie się mnie nie jest już takie fajne.

Twarz się jej ściąga, kiedy to do niej dociera. Ja milczę, wpatruję się w ekran telewizora przed sobą, gdzie lecą bez głosu Przyjaciele, Rachel całuje się z Joeyem w hotelu.

Udaję, że nie zauważam rozpaczy Bailey, ale też nie zakładam słuchawek. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy oprócz tego, żeby jej dać chwilę, a jednocześnie zasygnalizować, że jestem obok, gdyby mnie potrzebowała.

Rozciera gęsią skórę na ramionach, nic nie mówiąc przez dłuższą chwilę. Wreszcie pije łyk coli. I raptem się krzywi.

– Chyba pomyliła nasze napoje – mówi.

Odwracam się do niej.

– Tak?

Podnosi kubek z lodem, wypełniony po brzegi.

– Dietetyczna – mówi. – Stewardesa musiała mi dać twoją...

Staram się nie okazywać zaskoczenia, kiedy podaje mi napój. I się nie spieram. Podaję jej swój i czekam, aż spróbuje.

Kiwa głową, jakby doznała ulgi, że ma właściwy napój. Tylko że obie wiemy, że stewardesa się nie pomyliła. I dopiero teraz – dopiero kiedy Bailey podjęła próbę rozładowania napięcia – mamy zamówienie na odwrót.

Jeśli ona w ten sposób próbuje do mnie dotrzeć, to ja jej w tym pomogę.

Piję colę.

– Dziękuję – mówię. – Tak właśnie mi się wydawało, że moja dziwnie smakuje.

– Nie ma problemu – twierdzi i odwraca się znowu do okna. – Drobiazg.

Na lotnisku wsiadamy do ubera, a ja przeglądam wiadomości w telefonie.

Na głównej stronie CNN, „New York Times”, „Wall Street Journal” ciągle artykuły o The Shop. Wiele najnowszych tytułów odnosi się do konferencji prasowej Komisji Papierów Wartościowych, dając clickbaity w rodzaju „Masakra w The Shop”.

Klikam na najświeższy artykuł w „New York Timesie”, omawiający oświadczenie KPW, że stawiają Avettowi Thompsonowi zarzuty oszustwa. Cytują źródło z FBI: kadry i zarząd „najpewniej” też usłyszą zarzuty.

Nazwisko Owena nie pada. Przynajmniej na razie.

Uber wjeżdża na Presidential Boulevard i rusza w stronę hotelu, który znajduje się nad Lady Bird Lake nieopodal Congress Avenue Bridge. To daleko od zgiełku najludniejszej części miasta, po drugiej stronie mostu od centrum Austin.

Sięgam do torebki i wyciągam wydruk naszej rezerwacji hotelowej, przelatuję szczegóły. Widnieje na niej pełne imię i nazwisko Jules: Julia Alexandra Nichols. Moja przyjaciółka zasugerowała, by w ramach środków ostrożności zrobić rezerwację na jej kartę kredytową. Mam ją też w portfelu, podobnie jak dokument tożsamości Jules, kolejne środki ostrożności, gdyby ktoś nas śledził.

Oczywiście w systemie jest nasz lot do Austin. Jules zapłaciła swoją kartą, ale nasze prawdziwe dane są na biletach. W ten sposób łatwo nas wyśledzić, gdyby komuś zależało. Ale nawet jeśli wyśledzą, że jesteśmy w Austin, nie będą wiedzieli gdzie dokładnie. Nie przyłożę ręki do tego, by następny Grady czy Naomi pojawili się bez zapowiedzi na progu mojego domu.

Kierowca – młody człowiek z bandaną – zerka na Bailey w lusterku wstecznym. Nie jest dużo starszy od niej i stara się z nią nawiązać kontakt wzrokowy. Zwrócić jej uwagę.

– Pierwszy raz w Austin? – pyta ją.

– Tak.

– I jak?

– W sensie, co myślę po tych czternastu minutach, odkąd wyszliśmy z terminalu?

On się śmieje, jakby żartowała z nim, jakby go zachęcała do dalszej rozmowy.

– Ja się tu wychowałem – mówi. – Możesz mnie spytać o dowolny kawałek miasta, a ja powiem więcej, niżbyś chciała wiedzieć.

– Dzięki za ostrzeżenie – odpowiada Bailey.

Widzę, że jest myślami gdzie indziej, więc staram się sama zaangażować w rozmowę, zwłaszcza że może się okazać pożyteczna.

– Tu się pan wychował? – pytam.



– Tu się urodziłem i tu wychowałem. Mieszkałem tu, jak to było jeszcze małe miasto. Pod wieloma względami dalej to miejscina, ale jest dużo więcej ludzi i mnóstwo większych budynków.

Zjeżdża z drogi szybkiego ruchu i naszym oczom ukazuje się widok na centrum Austin. Czuję ucisk w klatce piersiowej. Wiem, że taki był plan, ale gdy patrzę na to obce miasto, wszystko wydaje mi się o wiele bardziej szalone.

Kierowca wskazuje wysokościowce.

– To Frost Bank Tower – mówi. – Kiedyś najwyższy budynek w Austin. Teraz chyba nie należy nawet do piątki najwyższych. Słyszała pani o nim?

– Nie jestem pewna.

– O, to jest szalona historia – dodaje. – Jeśli spojrzeć na niego pod odpowiednim kątem, wygląda jak sowa. Dokładnie jak sowa. Stąd to nie, ale jak się uda...

Otwieram okno i przyglądam się budynkowi – jego szczyty przywodzą na myśl uszy, a dwa okna oczy. Zdecydowanie przypomina sowę.

– To miasto Uniwersytetu Teksasńskiego, ale wszyscy architekci uczęszczali na Uniwersytet Rice, a jego maskotką jest sowa. Więc to jest jakby „wal się” dla naszej maskotki i dla Longhornów w ogóle. To znaczy, no, niektórzy mówią, że to teoria konspiracyjna, ale niech no pani patrzy. Wygląda jak sowa! To nie może być przypadek!

Skreca na South Congress Bridge, w oddali widać nasz hotel.

– Przyjechałyście się rozejrzeć na UT? – pyta. Zwraca się do Bailey, znowu usiłuje nawiązać z nią w lusterku kontakt wzrokowy.

– Niezupełnie – odpowiada.

– No to... no to co tu robicie?

Ona milczy. Otwiera okno, żeby go zniechęcić do dalszych pytań. Wcale się jej nie dziwię. Wcale się nie dziwię, że się nie pali do wyjaśniania nieznanemu, po co tu przyjechała – do miasta, w którym chyba już kiedyś była, a teraz próbuje sobie to przypomnieć, bo szuka informacji o zaginionym ojcu.

– Po prostu podoba nam się Austin – mówię.

– W porządku. Mały urlopik. Popieram.

Podjeżdża pod hotel, Bailey otwiera drzwi, gdy samochód jest jeszcze w ruchu.

– Chwila! Zaczekaj! Dam ci swój numer. Gdybyście chciały, żebym wam coś w mieście pokazał. Może coś byście chciały zobaczyć.

– Nie chciałybyśmy.

Zarzuca torbę na ramię i rusza do wejścia do hotelu.

Ja wyciągam walizkę z bagażnika i idę za nią. Dołączam do niej w drzwiach obrotowych.

– Ale ten koleś był wkurzający – mówi.

Już mam powiedzieć, że starał się być miły, ale jej nie interesują takie rzeczy. A ponieważ muszę unikać spięć, uznaję, że tym razem sobie odpuszczę.

Rozglądam się po lobby: wysokie atrium, bar, Starbucks. Setki pokoi. Właśnie na taki nijaki hotel miałam nadzieję, taki, w którym się łatwo zgubić. Tylko że chyba za długo się rozglądam, bo zwraca na mnie uwagę jakaś pracownica.

Ma przypinkę z imieniem – Amy – i włosy ułożone w krótkiego boba.

Stajemy w kolejce do recepcji, ale za późno. Amy podchodzi z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Witam – mówi. – Jestem Amy, konsjerżka. Witajcie w Austin! Czy mogę wam w czymś pomóc, zanim zostaniecie zameldowane?

– Dziękujemy. Chyba że macie może plan kampusu?

– Kampusu UT? Oczywiście. Mogę też wam umówić oprowadzanie. I polecić wyjątkową kawiarnię, skoro się udajecie do tej części miasta. Jesteście kawoszkami?

Bailey gromi mnie wzrokiem, jakby to była moja wina, że Amy wisi nad nami i trajkuje. I może ma rację. Poprosiłam o plan, a mogłam po prostu powiedzieć gadatliwej Amy, żeby sobie poszła. Ale chcę plan. Chcę mieć coś w ręku, żeby wyglądać na osobę, która wie, co robi.

– Zamówić wam transport?

Jesteśmy już na początku kolejki, gdzie niejaki Steve podaje nam dwie szklanki lemoniady.

– Cześć, Amy.

– Steve! Właśnie miałam wyposażyć te dwie panie w mapki college'u i namiary na znakomitą flat white.

– Wspaniale – mówi Steve. – Zaraz przydzielę paniom pokoje. Co was sprowadza w nasz zakątek świata? I co mogę zrobić, żeby się stał waszym ulubionym zakątkiem?

Dla Bailey to za dużo. Kapituluje i odchodzi – Steve to ostatni gwóźdź do trumny nachalnego zaprzyjaźniania się. Bailey idzie do wind, na odchodnym przeszywając mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu za te rozmowy, których nie jest w stanie prowadzić, za to, że jest daleko od domu, że w ogóle jest w Austin. Jeśli w samolocie zarobiłam na odrobinę życzliwości, nie pozostał już po tym ślad.

– Pani Nichols, wasz pokój jest na siódmym piętrze z pięknym widokiem na Lady Bird Lake – mówi Steve. – Mamy w hotelu wspaniałe spa, jeśli chcą się panie odświeżyć po podróży. Czy zamówić może późny lunch dla pań?

Podnoszę rękę na znak kapitulacji.

– Poproszę klucz, Steve. Po prostu klucz do pokoju. Najszybciej jak się da.

Na górze tylko rzucamy walizki. Nie czekamy na żadne jedzenie.

O drugiej trzydzieści wychodzimy z hotelu i ruszamy na Congress Avenue Bridge. Nalegam, żebyśmy przemierzały się na piechotę. Długi spacer może pobudzić wspomnienia Bailey, zakładając, że jest co pobudzać. Przez samo centrum miasta pójdziemy w stronę kampusu i Darrell K Royal Stadium, jedyne stadiony futbolowe w mieście.

Po drugiej stronie mostu wchodzimy do centrum – tętniące życiem i energią, nawet teraz, po południu. Mam wrażenie, że to raczej wieczór: gra muzyka, bary są otwarte, ogródki restauracyjne pełne ludzi.

Bailey idzie ze zwieszoną głową, ze słuchawkami w uszach. Jak ma cokolwiek rozpoznać, skoro na nic nie patrzy? Ale gdy stajemy na przejściu dla pieszych na Piątej Ulicy i miga przed nami czerwone, Bailey podnosi wzrok.

Widzę, że się zastanawia.

– Co jest? – pytam.

– Nic.

Kręci głową. Ale dalej się rozgląda.

Podążam za jej wzrokiem na niebieski neon klubu Antone's. Pod spodem widnieje napis: „Dom bluesa”. Przed wejściem tuli się jakaś para, robiąc sobie selfie.

Bailey wskazuje na klub.

– Jestem niemal pewna, że ojciec ma stąd nagranie Johna Lee Hookera – mówi.

To prawda. Mam przed oczami okładkę albumu: logo klubu, eleganckie litery. I Hooker śpiewający do mikrofonu, w kapeluszu i ciemnych okularach, z gitarą w ręku. Przypominam sobie wieczór w zeszłym tygodniu – jak to możliwe, że to był zeszły tydzień? – kiedy Bailey poszła na trening, a my byliśmy sami w domu. Owen grał na gitarze. Nie pamiętam teraz słów piosenki, ale pamiętam jego twarz, gdy śpiewał, o tak, to pamiętam.

– Ma, rzeczywiście.

– To co prawda bez znaczenia – dodaje.

– Chyba jeszcze nie wiemy, co jest bez znaczenia, a co nie – oponuję.

– To ma mnie podnieść na duchu czy coś?

Podnieść na duchu? Trzy dni temu byliśmy razem w naszej kuchni, całą galaktykę od tej rzeczywistości. Bailey jadła płatki, rozmawiała z ojcem o weekendzie. Chciała, żeby ją puścił z Bobbym na półwysep, skąd mieli udać się na długą wycieczkę rowerową po Monterey. „Może wszyscy pojedziemy” – zaproponował Owen. Bailey wzniosła oczy do nieba, ale widziałam, że się nad tym zastanawia, zwłaszcza gdy Owen powiedział, że w drodze do domu moglibyśmy się zatrzymać w Carmelu. Chciał zajechać na clam chowder do knajpki przy plaży, Bailey ją uwielbiała. Ojciec zabierał ją tam, odkąd się przenieśli do Sausalito.

To było trzy dni temu. Teraz my dwie jesteśmy w nowej rzeczywistości, Owen zniknął, a my próbujemy rozgryźć, gdzie on jest. I dlaczego. Nowej rzeczywistości, w której ciągle się zastanawiam, czy mam rację, uparcie wierząc, że ewentualne odpowiedzi na pytania nie zburzą mojego obrazu Owena.

Nie chodziło mi o podniesienie na duchu. Chciałam powiedzieć coś neutralnego, żeby nie widziała, jaka jestem wściekła.

Światła się zmieniają, szybko przechodzę przez ulicę, skręcam w Congress Avenue i przyspieszam kroku.

– Nie ociągaj się – mówię.

– Dokąd idziemy?

– Przed siebie.

Jakąś godzinę później wychodzimy z centrum i skręcamy w San Jacinto Boulevard. Widać stadion. Jest gigantyczny, imponujący – nawet z odległości kilku przecznic.

Po drodze mijamy Caven-Clark Sports Center. To studencki ośrodek sportowy z podobnymi do siebie pomarańczowymi budynkami, Clark

Field i dużym torem. Studenci grają tu w futbol flagowy, biegają po schodach i przesiadują na ławach, przez co ta część kampusu jest jednocześnie odosobniona i zintegrowana z miastem.

Zerkam na swoją mapkę kampusu i ruszam ku najbliższemu wejściu na stadion.

Ale Bailey nagle staje w miejscu.

– Nie chcę tego robić – mówi.

Patrzę jej w oczy.

– Nawet jeśli byłam na tym stadionie, to co? Czego się niby dowiemy?

– Bailey...

– No serio... co my tu robimy?

Nie zareaguje dobrze, jeśli jej powiem, że do późnej nocy czytałam o dziecięcych wspomnieniach – w jaki sposób je tracimy i jak odzyskujemy. Często dzięki temu, że wracamy w jakieś miejsce i doświadczamy czegoś podobnego jak za pierwszym razem. Po to tu jesteśmy. Podążamy za jej instynktem. Wpisujemy jej do pamięci fakt, że już tu była. I za moim instynktem, który od chwili, gdy się okazało, że właśnie z Austin jest Grady Bradford, mówi, że tak trzeba.

– Ojciec nie powiedział nam o pewnych sprawach, o co chodzi z The Shop. Próbuję rozgryźć, co to jest.

– To dość mało konkretne.

– Im więcej sobie przypomnisz, tym bardziej się zrobi konkretnie.

– A więc... teraz na mnie spoczywa odpowiedzialność?

– Nie, na mnie. Jeśli się pomyliłam, ściągając cię tutaj, pierwsza to przyznam.

Milczy.

– Słuchaj, możemy wejść do środka? – pytam. – Dasz radę? Tak daleko już doszliśmy.

– A mam wybór?

– Tak, zawsze. Przy mnie zawsze masz wybór.

Widzę to na jej twarzy – zaskoczenie, że mówię poważnie. A naprawdę mówię poważnie. Mamy trzydzieści metrów do najbliższego wejścia, ale decyzja należy od Bailey. Jeśli chce zrobić w tył zwrot, nie zatrzymam jej. I ta świadomość chyba jej pomaga, bo idzie dalej.

Podchodzi do wejścia, więc mamy małe zwycięstwo. I zaraz drugie: zbiera się grupa zwiedzających stadion i możemy się do niej załapać,

dzięki czemu przechodzimy przez kontrolę tylko pod zdawkowym spojrzeniem studenta w recepcji.

– Witamy na stadionie Darrell K Royal-Texas Memorial – mówi przewodnik. – Mam na imię Elliot i będę was dzisiaj oprowadzał. Proszę za mną!

Prowadzi grupę do strefy punktowej i daje każdemu chwilę na ogarnięcie ogromu stadionu. Są tu miejsca dla ponad stu tysięcy widzów, na jednym końcu wielkie litery tworzą napis TEXAS, na drugim LONGHORN. Stadion jest taki wielki – tak imponujący – że zwłaszcza dziecko powinno go zapamiętać na zawsze.

Elliot zaczyna opowiadać, co się dzieje w dniu rozgrywek – jak po każdym przyłożeniu odpalane jest działo, o maskotce Bevo, która jest wołem, o teksańskich kowbojach, którzy oprowadzają Bevo po boisku i zajmują się nim.

Na koniec opowieści prowadzi wszystkich do łoży prasowej, a ja daję Bailey znak, żebyśmy zostały w tyle i przeszły na trybuny.

Siadam w rzędzie z przodu, Bailey podąża za moim przykładem. Wpatruję się w boisko, kątem oka obserwując ją, gdy się sadowi. I nagle się prostuje.

– Nie mam pewności, czy to było tutaj – odzywa się. – Nie wiem. Ale pamiętam, jak ojciec mówił, że pewnego dnia pokocham futbol tak jak on. I pamiętam, że mówił, że mam się nie bać maskotki.

To brzmi dziwnie – nie słowa o maskotce, bo to totalnie pasuje do Owena, ale zdanie o miłości do futbolu. Bo Owena futbol w ogóle nie obchodzi. W każdym razie odkąd jesteśmy razem, nie wiem, czy kiedykolwiek widziałam, żeby oglądał mecz od początku do końca. Żadnych rozgrywek kradnących nam weekendy. Żadnych poniedziałkowych podsumowań. Jedna z wielu różnic na plus w zestawieniu z Jakiem.

– Ale coś mi się myli, prawda? – mówi dalej Bailey. – Ojciec nie lubi futbolu. No wiesz... nigdy nie widziałam, żeby oglądał mecz.

– Właśnie o tym myślę. Ale może wtedy go kochał. Kiedy jeszcze sądził, że robi z ciebie fankę.

– Jak byłam malutka?

Wzruszam ramionami.

– Może sądził, że wyrośniesz na longhornkę?

Bailey odwraca się do boiska. Chyba nic więcej sobie nie przypomina.

– Chyba właśnie o to chodziło. Nie o futbol, tylko drużynę. On kochał swoją drużynę. – Milknie na chwilę. – Albo cokolwiek to była za drużyna, ta w pomarańczowych strojach...

– Podsumujmy, co wiesz, zakładając, że to tutaj – mówię. – Przyszliście tu po ślubie? To był wieczór?

– Nie, to było po południu. A ja byłam w sukience. W sukience dziewczynki od kwiatów. To wiem na pewno. Może przyszliśmy tu ze ślubu. Z uroczystości.

Urywa.

– No chyba że sobie to wszystko wyobrażam. Co się wydaje równie możliwe.

Czuję, że jej frustracja rośnie. Najpewniej przypomniała sobie wszystko, co mogła, jeszcze w Sausalito, i tam powinnyśmy były zostać. W naszym domu na wodzie, pustym bez Owena. My dwie egzystujące w strasznej opuszczonej przez niego przestrzeni.

– Nie wiem, co myśleć – mówi. – Przy każdym stadionie mogę czuć coś podobnego.

– Ale ten wygląda znajomo?

– Tak, trochę tak.

Nagle coś mi przychodzi do głowy. I od razu ewentualny dalszy ciąg.

– Przyszłaś tu na piechotę?

Spogląda na mnie dziwnie.

– No tak, z tobą.

– Nie, nie teraz, tylko wtedy, z tego ślubu. Wtedy z ojcem. O ile to się działo tutaj...

Kręci głową, jakby to było szalone pytanie, ale nagle szeroko otwiera oczy.

– Tak, chyba tak. Ja byłam w sukience, pewnie przyszliśmy tu prosto z kościoła.

Nie wiem, czy ta rozmowa tworzy jej wspomnienie, może nie, ale nagle Bailey nabiera pewności.

– Na pewno – mówi. – Pamiętam, że przyszliśmy na mecz tylko na chwilę, po uroczystości. I przyszliśmy pieszo. Tego jestem wręcz pewna.

– Więc to musiało być gdzieś w pobliżu.

– Co takiego?

Sprawdzam na mapce, co mamy do wyboru: niedaleko stąd jest kościół katolicki, dwie świątynie episkopalne, a jeszcze bliżej synagoga.

Wszystkie w zasięgu spaceru. Z każdego z tych miejsc Bailey mogła przyjść z ojcem na stadion.

– Nie pamiętasz może, co to była za uroczystość? Wyznaniowo?

– Żartujesz sobie?

Nie żartuję.

– Oczywiście – zapewniam.



## Po co komu przewodnik?

Zaznaczam świątynie na mapce i innym wyjściem opuszczamy stadion. Schodzimy po schodach, mijamy pomnik Orkiestry Longhornów, zaraz za nim jest Ośrodek Absolwentów Uniwersytetu Teksasa Etter-Harbin.

– Czekaj – mówi Bailey. – Zwolnij na chwilę...

Odwracam się.

– Co takiego?

Patrzy na budynek i napis na froncie: „Siedziba Texas-Exes”.

Odwraca się w stronę stadionu.

– To wygląda znajomo – mówi.

– Moim zdaniem wygląda trochę jak kolejna brama wejściowa...

– Nie, to wszystko wygląda znajomo. Ta część kampusu wygląda znajomo. Jakbym tu była wielokrotnie czy coś. Nie czuję się tu obco.

Rozgląda się.

– Daj mi się rozeznać – mówi. – Muszę rozgryźć, dlaczego to miejsce wydaje mi się znajome. Czy nie o to chodzi? Że coś tu ma mi się wydać znajome?

– Jasne. Nie spiesz się.

Zachęcam ją, chociaż wcale nie chcę się tu zatrzymywać. Chcę zdążyć do świątyni, zanim się zamkną. Chcę znaleźć kogoś, kto z nami porozmawia.

Milczę i patrzę w telefon. Skupiam się na wyliczeniach. Jeśli Bailey na coś wpadła, o ile ten trop nie jest całkowicie niewłaściwy, to musiała tu być w dwa tysiące ósmym roku – kiedy mieszkali z Owenem jeszcze w Seattle i przed śmiercią Olivii. W dwa tysiące dziewiątym roku przeprowadzili się do Sausalito. A wcześniej byłaby za mała, żeby dużo zapamiętać, jeśli w ogóle cokolwiek.

Więc dwa tysiące ósmy to taki idealny punkt. Jeśli Bailey się nie myli, była tu w dwa tysiące ósmym. Szukam kalendarza rozgrywek. Szukam terminarza meczów domowych sprzed dwunastu lat.

I właśnie mam go wyświetlić, gdy odzywa się moja komórka. Nieznany numer. Trzymam aparat w rękę i nie wiem, co zrobić. To może być Owen.

Ale Jake mówił, że mam nie odbierać żadnych obcych numerów, więc trochę się boję. Kto to może być? Jakie problemy mogą z tego wyniknąć?

Bailey wskazuje telefon.

– Odbierzesz? Czy będziesz tak tylko patrzeć?

– Jeszcze nie wiem.

A jeśli to jednak Owen? Jeśli? Odbieram. Ale nic nie mówię, czekam, aż się odezwie ta druga osoba.

– Halo? Hannah?

Kobieta z drugiej strony ma wysoki głos, sepleniący, irytujący. I ja ten głos znam.

– Belle – mówię.

– Och, co za bajzel. Co za skandal! Co u ciebie? I jak córka Owena?

Belle najwyraźniej stara się być miła, ale zauważam, że nie mówi „Bailey”. Powiedziała „córka”, bo nigdy nie pamięta jej imienia. Nigdy nie było to dla niej na tyle ważne, żeby je poznać i zapamiętać.

– Oni tego nie zrobili, wiesz...

ONI.

– Belle, próbowałam się z tobą skontaktować.

– Wiem, wiem, musisz dostawać szau. Ja dostaję. Ukrywam się w St. Helena jak jakiś pospolity bandzior. Przed drzwiami koczują dziennikarze. Nie mogę wyjść z domu! Moja asystentka musiała mi przywieźć piezzonego kurczaka i suflet czekoladowy z Bouchon, żebym miała coś do jedzenia. Gdzie jesteś?

Już mam zrobić unik, ale nie muszę. Belle wcale nie czeka na moją odpowiedź. Chce tylko mówić i mówić.

– To wszystko to jakiś absurd – kontynuuje. – Avett jest biznesmenem, nie przestępcą. A Owen jest geniuszem, ale tego akurat nie muszę ci mówić. No na miłość boską, dlaczego Avett miałby musieć robić coś takiego?! Okradać własną firmę?! To jest jego... bodajże ósmy start-up! Na tym etapie kariery miałby zawyżać wartość, kłamać i kraść? Czy co tam oni mu zarzucają... No ludzie. My już mamy tyle pieniędzy, że nie wiemy, co z nimi robić.

Walczy twardo. Ale jej argumenty na nic się zdają w obliczu tego, o czym Belle nie mówi, czego nie chce przyjąć do wiadomości. Wcześniejsze sukcesy Avetta, nieposkromiona pycha, która się z nich zrodziła, właśnie tłumaczą, dlaczego teraz nie był w stanie zaakceptować fiaska.

– Wrobili go – mówi.

– Ale kto?

– A skąd ja mam wiedzieć?! Władze? Konkurencja? Może jakiś haker, który chce pierwszy zdobyć rynek? Tak uważa Avett. Rzecz w tym, że my się nie damy. Avett za długo i za ciężko pracował, żeby teraz go pokonała jakaś wpadka księgową.

I wtedy słyszę to, co ludzie – Patty, Carl, Naomi – muszą odbierać w rozmowie ze mną. Słyszę szaleństwo. Ona mówi jak wariatka. Może takie rzeczy dzieją się z człowiekiem, kiedy świat się wali, tracisz zdolność modulacji. Nie umiesz mówić tak, by przekonać resztę świata.

– Więc uważasz, że Avett został wrobiony albo to pomyłka księgową? – pytam. – Czy mówisz po prostu, że wszyscy są tu winni, tylko nie Avett?

– Słucham?!

Jest wściekła. Mam to gdzieś. Nie mam na nią czasu, skoro już wiem, że ta rozmowa zmierza do tego, że ona czegoś ode mnie chce. A ja nie mam już nic, co mogłabym jej dać.

Spoglądam na Bailey, która patrzy na mnie pytającym wzrokiem: dlaczego robię się coraz bardziej wściekła? Co to oznacza dla jej ojca?

– Muszę kończyć – mówię do Belle.

– Zaczekaj. – Czyli teraz przejdzie do rzeczy. Powie, czego chce. – Prawnicy Avetta nie mogą się skontaktować z Owenem. I chcielibyśmy się upewnić... chcemy wiedzieć... on nie rozmawia ze śledczymi, prawda? Bo to nie byłoby rozsądne. Dla nikogo z nas.

– Skoro Avett nie zrobił nic złego, jakie ma znaczenie, co mówi Owen?

– Nie bądź naiwna. To tak nie działa.

Niemal widzę Belle, jak siedzi przy wyspie kuchennej, na stołku, który ja dla niej zrobiłam, kręcąc głową z niedowierzaniem, a złote kółka, z którymi się nie rozstaje, uderzają o jej policzki.

– A jak to działa?

– Och... prowokacja policyjna, wymuszanie zeznań. Czy Owen jest taki głupi? – Robi pauzę. – Rozmawia z policją?

Mam ochotę powiedzieć „Wiem tylko, że nie rozmawia ze mną”. Ale nie podsuwam Belle tej myśli. Nic jej nie podsuwam. Ona jest w innej sytuacji niż ja. Nie martwi się o bezpieczeństwo Avetta. Nie kwestionuje tak naprawdę, czy władze działają w złej wierze albo czy Avett jest winny. Belle wie, że jej mąż jest winny. Po prostu próbuje wciskać jakieś bajeczki, robić to, co musi, żeby on uniknął odpowiedzialności.

Ja natomiast muszę dopilnować, żeby nie płaciła za to Bailey.

– Prawnicy Avetta powinni jak najszybciej przepytac Owena, tak żeby ich wersje brzmiały spójnie – mówi Belle. – Moglibyśmy to zrobić za twoim pośrednictwem. Musimy się trzymać razem.

Nie odpowiadam.

– Hannah? Jesteś tam?

– Nie – mówię. – Nie ma mnie.

I się rozłączam. A potem wracam do przeglądania terminarza rozgrywek.

– Kto to był? – pyta Bailey.

– Pomyłka.

– Tak teraz mówisz na Belle?

Podnoszę na nią wzrok.

– Po co udajesz? – pyta.

Jest wściekła i przerażona. A ja najwyraźniej wszystko pogarszam, zamiast pomagać.

– Staram się ciebie chronić – mówię.

– Ale nie możesz. W tym właśnie rzecz. Nikt mnie nie może uchronić. Może więc wolisz zostać osobą, która mnie nie okłamuje?

Nagle sprawia wrażenie nad wiek dorosłej. Patrzy pewnie, ściąga usta. „Chroń ją”. Owen miał do mnie tylko jedną prośbę. Niemożliwą do spełnienia.

Kiwam głową. Chce, żebym mówiła prawdę, jakby to było takie proste. A może to jest prostsze, niż mi się zdaje...

– To była Belle. Zasadniczo potwierdziła w tej rozmowie, że Avett jest winny albo że przynajmniej ma coś do ukrycia. I najwyraźniej jest zaskoczona, że Owen zniknął, zamiast pomóc Avettowi w ukrywaniu tego czegoś. I teraz ja się zastanawiam, co ukrywa twój ojciec. I dlaczego. – Urywam na chwilę. – Więc chciałabym znaleźć te kościoły i sprawdzić, czy kryją jakąś wskazówkę, bo chcę wiedzieć, dlaczego on doszedł do wniosku, że musi nas zostawić. Chciałabym się dowiedzieć, czy chodzi tu tylko o The Shop, czy też prawdą jest coś, co podejrzewam.

– Czyli?

– To, przed czym ucieka, sięga dalej. I dotyczy jego. I ciebie.

Nic nie mówi. Stoi przede mną z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Po czym nagle je opuszcza. Opuszcza i przysuwa się trochę w moją stronę.

– Eee... jak cię poprosiłam, żebyś mi mówiła prawdę, chodziło mi o to, kto dzwonił.

– A ja poszłam za daleko?

– W dobrą stronę.

To chyba najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niej usłyszałam.

– No cóż, starałam się słuchać.

– Dzięki za to.

Wyciąga mi mapkę z ręki i sama się jej przygląda.

– Idziemy – mówi.

## Trzy miesiące wcześniej

Dochodziła trzecia nad ranem, Owen siedział w barze hotelowym i pił bourbona z wysokiej szklanki. Bez dodatków.

Poczuł na sobie mój wzrok i spojrzał na mnie.

– Co tu robisz? – spytał.

Uśmiechnęłam się.

– Dałabym się pokroić, że to moje pytanie – odparłam.

Nocowaliśmy w San Francisco, w hotelu butikowym naprzeciwko Ferry Building. Był straszny sztorm. Taki sztorm, jaki nie zdarza się za często w Sausalito, i dlatego ewakuowaliśmy się z naszego domu na wodzie, ze względu na ryzyko podtopień. Musieliśmy szukać schronienia po drugiej stronie mostu Golden Gate – hotel wypełnił się innymi wygnańcami z domów na wodzie. Choć najwyraźniej Owen nie czuł się bezpiecznie.

Wzruszył ramionami.

– Miałem ochotę zejść na drinka – powiedział. – Popracować...

– Nad czym?

Rozejrzałam się. Nie miał laptopa. Nie miał żadnych dokumentów. Na barze w ogóle niczego nie było, tylko bourbon. I jeszcze coś.

– Może spocznieś? – spytał.

Usiadłam na stołku obok, mocniej objęłam się rękami. Było zimno, taki nocny chłód. A koszulka bez rękawów i spodnie niewiele mi dawały.

– Marzniesz – zauważył.

– Jest okej.

Ściągnął z siebie bluzę i włożył mi ją przez głowę.

– Teraz już tak – powiedział.

Patrzyłam na niego. I czekałam. Czekałam, aż mi powie, co naprawdę robi tu na dole, co go martwi tak bardzo, że wyszedł z pokoju. Że zostawił mnie w łóżku, a córkę na rozkładanej kanapie.

– Praca jest trochę stresująca. I tyle. Ale nic groźnego. Nic, z czym sobie nie poradzę.

Kiwnął głową, jakby sam siebie przekonywał. Ale wydawał się zdenerwowany. Spięty jak nigdy. Kiedy pakowaliśmy się przed

ewakuacją, znalazłam go w pokoju Bailey, jak wkładał do swojej torby swinkę skarbonkę córki. Wyglądał na zakłopotanego, że go na tym przyłapałam, wyjaśnił, że to był jeden z pierwszych jego prezentów dla córki. Nie chciał, żeby się z nią coś stało. To nie było akurat dziwne – Owen pakował wszelkiego rodzaju przedmioty o wartości sentymentalnej (pierwsza szczotka do włosów Bailey, album ze zdjęciami). Dziwne było to, że ta właśnie skarbonka stała teraz na barze.

– Więc skoro panujesz nad sytuacją, to dlaczego siedzisz tu sam i gapisz się na skarbonkę swojej córki?

– Myślę, czy się do niej nie włamać. Na wypadek gdybyśmy potrzebowali pieniędzy.

– Owen... co się dzieje?

– Wiesz, co Bailey mi dziś powiedziała? Gdy jej przekazałem, że musimy się ewakuować? Powiedziała, że chce jechać z rodziną Bobby'ego. Że oni jadą do Ritza, a ona chce być z nim. Zrobiła się z tego wielka afera.

– A gdzie ja wtedy byłam?

– Zamykałaś warsztat.

Wzruszyłam ramionami, starając się być delikatna.

– Dorasta.

– Wiem, to jest absolutnie normalne, rozumiem to, ale... Najdziwniejsze się stało, jak jej odmówiłem... Patrzyłem, jak idzie wściekła do samochodu, i myślałem tylko: „Ona mnie opuści”. Może to kwestia tylu lat samotnego rodzicielstwa, że z trudem nad wszystkim panowałem, ale chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem... albo sobie na to nie pozwoliłem.

– Więc dlatego siedzisz na dole i w środku nocy patrzysz na skarbonkę?

– Może. A może to kwestia obcego łóżka – odrzekł. – Nie mogę spać.

Podniósł szklanekę do ust.

– Jak była mała, kiedy przyjechaliśmy do Sausalito, bała się chodzić po pomostach. Pewnie dlatego, że zaraz po naszym przyjeździe widziała, jak pani Hahn się pośliznęła, przewróciła i mało nie wpadła do wody.

– To straszne!

– Tak, właśnie, przez pierwsze kilka miesięcy musiałem ją trzymać za rękę całą drogę po pomostach. Od naszego domu aż na parking. I po drodze pytała: „Tatusiu, ty mnie uratujesz, prawda? Tatusiu, nie dasz mi spać?”. Od domu do samochodu szliśmy z sześć i pół godziny.

Roześmiałam się.

– Doprowadzało mnie to do szału. Kiedy musiałem to robić po raz setny, czułem, że niedługo zwariuję. – Urwał. – A wiesz, co było od tego gorsze? Że pewnego dnia przestała.

Kładę dłoń na jego łokciu. Serce mi eksploduje od jego miłości do Bailey.

– Nadejdzie taki dzień – powiedział – że nie będę już w stanie jej chronić. Przed niczym. Nie będę już nawet w stanie mówić jej „nie”.

– O, to akurat doskonale rozumiem. Ja nie mogę jej mówić „nie” już teraz.

Spojrzał na mnie, trzymając bourbona, i się roześmiał. Naprawdę się roześmiał – mój żart wybił go ze smutku.

Odstawił drinka i odwrócił się do mnie.

– Jak dziwne jest, że tu siedzę, tak w skali od jednego do dziesięciu?

– Bez świnki? Bez świnki byłoby dwa, może trzy.

– A ze świnką? Więcej niż sześć?

– No niestety.

Postawił skarbonkę na wolnym stołku i przywołał barmana.

– Zechciałby pan podać drinka mojej pięknej żonie? A ja poproszę kawę.

Pochylił się i oparł swoim czołem o moje.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie ma za co. To trudne, rozumiem, ale to się nie wydarzy jutro. Ona nie odejdzie jutro. I bardzo cię kocha. Nigdy do końca cię nie zostawi.

– Nie mam pewności.

– Ja mam.

Dalej stykał się ze mną czołem.

– Mam nadzieję, że się nie obudzi i nie zobaczy, że nas nie ma – powiedział. – Kiedy się wyjrzy za okno, widać Ritza.



## Kościelnym szlakiem

Elenor H. McGovern zerka na Bailey znad okularów.

– Może zapytam wprost... – mówi. – Jakich informacji szukacie?

Siedzimy w jej biurze w kościele episkopalnym. To duża świątynia, jedna z najstarszych katedr w Austin, ma ponad sto lat. I znajduje się niecały kilometr od stadionu. A co najważniejsze: kiedy tu weszliśmy, Bailey powiedziała, że wydaje się jej znajoma. W pięciu wcześniejszych nic takiego się nie wydarzyło.

– Chciałybyśmy zerknąć do ewidencji ślubów, których udzielono tu w sezonie futbolowym w dwa tysiące ósmym roku – mówi Bailey.

Elenor, kobieta dobiegająca siedemdziesiątki, mierząca prawie metr osiemdziesiąt, patrzy na nas oszołomiona.

– To tylko z pozoru jest skomplikowane – wyjaśniam. – Potrzebna nam lista ślubów, których tutejszy pastor udzielił w okresie, gdy rozgrywano mecze domowe w sezonie dwa tysiące osiem. I chodzi nam wyłącznie o śluby w weekendy. Tylko te, które miały miejsce dokładnie w tym samym czasie, co mecze domowe Longhornów. I tylko tyle.

– Ach, w czasie meczów domowych dwanaście lat temu?! I tylko tyle?

Puszczam mimo uszu jej ton i brnę dalej, w nadziei że ją przekonam.

– Czarną robotę już wykonałam – dodaję.

Przesuwam listę w jej stronę. Wypisałam mecze Longhornów sprzed dwunastu lat. Poprosiłam Jules, żeby to zweryfikowała w redakcji „San Francisco Chronicle”, za pomocą ich narzędzi, chciałam mieć pewność, że nie umknął nam żaden mecz i wszystko zostało sprawdzone.

W grę wchodzi tylko osiem dat. Tylko wtedy mała Bailey mogła wejść z tatą na stadion, a wcześniej uczestniczyć w ceremonii. Elenor wpatruje się w listę. Ale nie sięga po nią.

Rozglądam się w poszukiwaniu jakichś pomocy – czegoś, co by ją mogło przekonać. Na biurku gęsto jest od kartek świątecznych i naklejek zderzakowych, na dużej tablicy ogłoszeń od zdjęć i kartek od parafian. Widać czterdzieści lat budowania więzi w tym pokoju, w tym kościele.

Ona wie o tym miejscu wszystko. A my musimy poznać tylko niewielki fragment tej wiedzy.

– Wiem, że to się wydaje dużo – mówię dalej. – Ale proszę spojrzeć, ściągnęliśmy program rozgrywek z sezonu dwa tysiące osiem. I w grę wchodzi tylko kilka weekendów. Mamy je wszystkie wypisane. Nawet jeśli tutejszy pastor udziela dwóch ślubów w każdy weekend, to byłoby niespełna dwadzieścia par.

– Proszę posłuchać – mówi Elenor. – Bardzo mi przykro, ale ja nie mam prawa udzielić wam tych informacji.

– Rozumiem, że takie są zasady, i rozumiem, z czego wynikają – nie poddaję się. – Ale musi pani przyznać, że okoliczności są wyjątkowe.

– Tak, oczywiście. To straszne, że pani mąż zaginął. I rozumiem, że jego nieobecność sprawia pani wiele kłopotu. Ale to nie ma wpływu na nasze zasady.

– Nie może pani zrobić wyjątku od tych zasad? – pyta Bailey, zdecydowanie zbyt ostrym tonem. – Przecież nie jesteśmy żadnymi zbrodniarkami ani nic. Zupełnie nas nie obchodzi, kim są ci ludzie.

Kładę dłoń na jej udzie w uspokajającym geście.

– Możemy te nazwiska przeczytać tutaj, w tym pokoju – mówię. – Żadne wydruki, żadne adresy nie muszą wyjść za ten próg.

Elenor patrzy to na jedną z nas, to na drugą, jakby nie mogła się zdecydować, czy nam pomóc, czy nas stąd wyrzucić. I chyba przychyła się do wyrzucenia. Nie mogę do tego dopuścić, nie teraz, gdy mamy szansę się czegoś dowiedzieć. Jeśli się dowiemy, na czym ślubie byli Owen i Bailey, zrozumiemy ich powiązanie z Austin. I może tą drogą wyjaśnimy, co robił u mnie Grady i dlaczego Owen jest gdzieś tam daleko.

– Naprawdę myślę, że Bailey mogła być w tym kościele – mówię. – Bardzo by jej pomogło, obu nam by pomogło, gdybyśmy się upewniły, że tak było. Gdyby pani wiedziała, przez co przeszliśmy w ostatnich dniach, odkąd jej ojciec zniknął... Naprawdę, to byłby akt czystego miłosierdzia.

Widzę po oczach Elenor, że do głosu dochodzi współczucie, a moja błagalna prośba przekonała ją, że powinna nam pomóc.

– Chciałabym wam pomóc, naprawdę. Ale ja tego po prostu nie mogę zrobić. Jeśli zostawicie mi swój numer, porozmawiam z pastorem, aczkolwiek nie sądzę, żeby on chciał ujawniać dane naszych parafian.

– Jezu, kobieto, mogłaby pani już nam odpuścić – mówi Bailey.

Przyznaję, że to nie jest najlepsze słownictwo w tym miejscu.

Elenor wstaje, mam wrażenie, że uderzy głową w sufit.

– Muszę panie przeprosić – mówi. – Dziś odbywa się spotkanie grupy biblijnej, powinnam na nie przygotować salę konferencyjną. Więc jeśli pozwolicie, odprowadzę was do wyjścia.

– Proszę posłuchać – nie poddaję się. – Bailey nie chciała być niegrzeczna, ale jej ojciec zaginał i my po prostu chcemy się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Nasza rodzina żyje w straszliwym stresie. A rodzina jest dla nas wszystkim, kto jak kto, ale pani na pewno to rozumie.

Wskazuję fotografie na kominku – zdjęcia jej dzieci, wnuków, męża, psów i farmy. Kilka ujęć z Elenor i może najulubieńszym wnukiem, który ma jakieś szalone pasemka. W odcieniu zieleni.

– Wiem, że pani sama pierwsza zrobiłaby wszystko dla rodziny – ciągnę. – To po prostu widać. Proszę tylko, żeby pani chwilę to przemyślała. Gdybym ja była na pani miejscu, a pani na moim, czego by pani pragnęła? Bo ja bym się postarała to zrobić.

Milczy i wygładza sukienkę. Po czym jak za dotknięciem różdżki siada i podsuwa okulary wyżej.

– Zobaczę, co da się zrobić – mówi.

Bailey uśmiecha się z ulgą.

– Żadne nazwiska nie opuszczą tego pokoju.

– W ogóle nie opuszczą pani biurka – zapewniam. – Sprawdzimy tylko, czy to ktoś, kto ewentualnie pomógłby naszej rodzinie. Nic poza tym.

Elenor kiwa głową i przyciąga do siebie moją listę. Bierze ją do ręki. Patrzy na nią, jakby nie mogła uwierzyć, że to robi. Wzdycha, żebyśmy nie miały wątpliwości, że nie może uwierzyć, że to robi.

Odwraca się do komputera i coś pisze.

– Dziękuję – mówi Bailey. – Bardzo pani dziękuję.

– Podziękuj swojej macosze.

I wtedy wydarza się cud. Bailey nie protestuje, że ktoś mnie tak nazwał. Nie dziękuje mi. Nawet na mnie nie patrzy. Ale nie protestuje, co trochę na to samo wychodzi.

Nie mam czasu się tym rozkoszować, bo wibruje mój telefon. Zerkam na niego i widzę esemes od Carla.

„Jestem pod twoim domem, możesz mnie wpuścić? Pukałem...”

Spoglądam na Bailey, dotykam jej dłoni.

– To Carl – mówię. – Sprawdzę, czego chce.

Ona kiwa głową, jakby mnie nie słyszała, nie odrywa wzroku od Elenor. Idąc do wyjścia, piszę mu, że już dzwonię.

– Cześć – odbiera. – Mogę wejść? Jestem z Sarą. Wyszedłem z nią na spacer.

Wyobrażam sobie, jak stoi przed wejściem, mała w markowym nosidełku, na pewno ma na głowie wielką kokardę, bo Patty uwielbia jej to robić, a Carl używa spaceru z córką jako wymówki dla Patty – wymówki, żeby przyjść do mnie i porozmawiać, za jej plecami.

– Nie ma nas w domu, Carl. Co się dzieje?

– To raczej nie jest rozmowa na telefon. Mogę wrócić później, jeśli wolisz. Wyprowadzam Sarę o piątej piętnaście, żeby się przewietrzyła po obiedzie.

– Woleę, żebyś mi teraz powiedział, o co chodzi.

Milczy chwilę, najwyraźniej nie wie, co robić. Wyobrażam sobie, jak się zastanawia, czy nalegać, żebyśmy odbyli tę rozmowę osobiście później, gdy łatwiej mu będzie nakłamać, co tam ma do nakłamania. Bo nie mam wątpliwości – nie mam ich od wczoraj, odkąd widziałam jego twarz – że on coś wie i boi się o tym powiedzieć.

– Słuchaj, jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się wczoraj stało w naszym domu – mówi. – Zaskoczyłaś mnie po prostu, a Patty była już taka wściekła. Ale jestem ci winien przeprosiny. Nie miałem racji, zwłaszcza...

Milknie, jakby jeszcze myślał, co powiedzieć.

– Hmm, może powinienem wyjaśnić... bo rozumiesz... Nie wiem, co dokładnie Owen ci powiedział, ale on miał w pracy poważne problemy. Z Avettem.

– Tak ci powiedział?

– Tak. Nie wdawał się w szczegóły, ale mówił, że jest pod straszną presją, żeby uruchomić ten software. Tyle mi zdradził. I że nie idzie tak gładko, jak twierdzi Avett. Ale że jest pod ścianą...

Zaskakuje mnie.

– Co to znaczy, że jest pod ścianą?

– Mówił, że nie może po prostu odejść. Poszukać innej pracy. Że musi naprawiać to, co się dzieje.

– Mówił dlaczego?

– W to się nie zagłębiał. Przysięgam. Próbowałem mu tłumaczyć. Żadna praca nie jest warta takiego stresu...

Oglądam się na gabinet Elenor, która ciągle wpatruje się w komputer. Bailey krąży po pomieszczeniu.

– Dzięki, że mi to mówisz.

– Zaczekaj... to nie wszystko.

Słyszę, że się męczy. Słyszę, jak walczy, by dobrać słowa.

– Jeszcze coś muszę ci powiedzieć.

– No to powiedz to po prostu.

– Myśmy nie zainwestowali w The Shop. Patty i ja.

Myślę o tym, co Patty mi powiedziała – jak nazwała Owena oszustem, zarzuciła, że ukradł ich pieniądze.

– Nie rozumiem.

– Potrzebowałem tych pieniędzy na coś innego. Nie mogę o tym powiedzieć Patty, to coś związanego z Carą.

Carą. Współpracownicą, z którą Carl sypia regularnie, odkąd się urodziła Sarah.

– Co dokładnie?

– Wolałbym się nie wdawać w szczegóły, ale po prostu uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć...

Wyobrażam sobie mnóstwo scenariuszy, które by kosztowały dziesiątki tysięcy dolarów – wygrywa pomysł, w którym główną rolę gra inne dziecko, również Carla i również w markowym nosidełku. Dziecko Cary.

Ale to tylko domysły, a ja nie mam czasu na domysły. Zresztą niespecjalnie mnie to obchodzi. Obchodzi mnie, że Owen nie zrobił tego, co zarzucała mu Patty. To dla mnie dowód, że Owen jest tą samą osobą co zawsze.

– I w obecnej sytuacji, wobec tego wszystkiego, co się dzieje, pozwoliłeś, żeby twoja żona myślała, że Owen wziął od was pieniądze? Że cię namówił do zainwestowania waszych oszczędności w oszukańczą firmę?

– Mam świadomość, że to nie w porządku.

– Doprawdy?

– A mogę dostać kilka punktów za to, że powiedziałem prawdę? – pyta.

– Wierz mi, to ostatnia rozmowa, na którą mam ochotę.

Myślę o Patty, zadufanej w sobie Patty, która opowiada w swoim klubie książkowym, w klubie win, w klubie tenisowym – opowiada absolutnie każdej z koleżanek, która zechce słuchać – że Owen jest łajdakiem. Powtarza wszystkim nieprawdę, którą usłyszała od męża.

– Nie, Carl. Ostatnia rozmowa, na którą masz ochotę, dopiero przed tobą. To rozmowa z twoją żoną. I albo ty jej powiesz prawdę, albo ja to zrobię.

I rozłączam się z łomoczącym sercem. Nie daję sobie czasu na przeanalizowanie skutków moich słów, bo Bailey macha, że mam przyjść.

Biorę się w garść i wracam do gabinetu Elenor.

– Przepraszam bardzo – mówię.

– Nic się nie stało – zapewnia Elenor. – Właśnie wszystko znalazłam.

Bailey chce się do niej przysunąć, ale kobieta ją powstrzymuje ruchem ręki.

– Tylko to wydrukuję – mówi. – I wtedy możecie spojrzeć. Ale naprawdę muszę iść na to spotkanie, więc się pospieszcie.

– Tak zrobimy – zapewniam.

Nagle Elenor nieruchomieje, przestaje pisać. Patrzy w monitor nierozumiejącym wzrokiem.

– Chodzi wam o sezon dwa tysiące osiem? – pyta.

Potwierdzam ruchem głowy.

– Tak, pierwszy mecz domowy rozegrano w pierwszy weekend września.

– Tak, oczywiście, to widzę. Ale pytam, czy na pewno o ten rok.

– Tak, na pewno, a co się stało?

– Dwa tysiące ósmy?

Bailey bardzo się stara nie dać się ponieść irytacji.

– Tak, dwa tysiące ósmy!

– Jesienią mieliśmy remont, kościół był zamknięty – mówi Elenor. – To był duży remont. Mieliśmy pożar. Pierwszego września się zamknęliśmy i nie otwieraliśmy na żadne uroczystości, aż do marca. Nie było żadnych ślubów.

Elenor obraca monitor, żebyśmy mogły same obejrzeć kalendarz – puste kwadraciki. Serce mi zamiera.

– Może pomyliłaś rok? – Elenor zwraca się do Bailey. – Sprawdzę może dwa tysiące dziewiąty.

Powstrzymuję ją ruchem ręki. Nie ma co sprawdzać dwa tysiące dziewiątego. Owen i Bailey przeprowadzili się w tamtym roku do Sausalito. A w dwa tysiące siódmym Bailey była za mała, żeby cokolwiek zapamiętać. Nie ma wspomnień z Seattle z tego okresu, a co dopiero mówić o weekendowym wypadzie do Austin. Szczerze mówiąc, nawet

dwa tysiące ósmy był wątpliwy. Jeśli jednak na tym ślubie była jej matka – a Bailey sądzi, że była – to w grę wchodzi wyłącznie rok dwa tysiące ósmy.

– Niestety, to musiał być dwa tysiące ósmy – mówi.

Głos jej drży, gdy patrzy na pusty ekran.

– Byłam tu. I to mogło być wyłącznie w tamtym roku. Już to przeanalizowałyśmy. To była tamta jesień. Musiałaby być, skoro była z nami moja mama.

– A może dwa tysiące siódmy? – podsuwa Elenor.

– Wtedy byłam za mała, żeby cokolwiek zapamiętać.

– A więc to nie tutaj – decyduje kobieta.

– Ale to nie ma sensu. No bo wie pani, rozpoznaję apsydę. Pamiętam ją.

Podchodzę do Bailey, ale ona się odsuwa. Nie interesuje jej uspokojenie. Interesuje ją poznanie prawdy.

– Proszę pani – mówię – czy w zasięgu spaceru od stadionu są jakieś świątynie, które by wyglądały jak ta? Coś, co mogło nam umknąć, jakiś szczegół, który mógł się Bailey skojarzyć z waszym kościołem?

Elenor kręci głową.

– Nie, nie ma żadnej katedry, która by się kojarzyła z naszą.

– Może jakąś świątynię od tego czasu zamknięto?

– Nie sądzę. Ale może zostawicie numer telefonu? Porozmawiam z pastorem, popytam parafian. I zadzwonię, jeśli sobie coś przypomnę. Obiecuję.

– Co by miała sobie pani przypominać? – pyta Bailey. – Czemu nam pani wprost nie powie, że nam pani nie pomoże?

– Bailey, daj spokój...

– Spokój? Przecież to ty mówiłaś, że jeśli sobie coś przypomnę, to musimy pójść tym tropem. I teraz mówisz, że mam dać spokój?! Nieważne, mam kurde na maksa tego dość.

Zrywa się i wybiega z biura.

Patrzemy za nią w milczeniu. Elenor posyła mi porozumiewawcze spojrzenie.

– W porządku – mówi. – Wiem, że to nie na mnie jest zła.

– Może jest. Ale to niewłaściwy adres. Musi być wściekła na ojca, a jego tu nie ma. Więc kieruje tę złość przeciwko wszystkim.

– Rozumiem.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani tyle czasu. Jeśli rzeczywiście przyjdzie pani coś do głowy, choćby jakiś drobiazg, proszę zadzwonić.

Zapisuję jej numer swojej komórki.

– Oczywiście.

Kiwa głową, wsuwa kartkę do kieszeni, a ja ruszam do drzwi.

– Kto tak skrzywdził tę rodzinę? – pyta.

Odwracam się, patrzę jej w oczy.

– Słucham?

– Kto tak skrzywdził tę rodzinę?

„Najlepszy ojciec, jakiego znam” – chcę powiedzieć.

– Ktoś, kto nie miał wyboru. Taka jest prawda.

– Zawsze mamy jakiś wybór.

Zawsze mamy jakiś wybór. To samo powiedział Grady. Co to w ogóle znaczy? Że zawsze możemy się zachować właściwie i niewłaściwie. Proste. Osądzające. A jeśli ktoś cię o to pyta, to znaczy, że dokonałeś złego wyboru – jakby ludzie dzielili się na tych, którzy nigdy nie popełnili poważniejszego błędu, i na tych, którzy popełnili.

Myślę o tym, co mówił Carl – że Owen miał problemy. I wyobrażam sobie, ile problemów ma teraz, gdziekolwiek jest.

Czuję, jak i we mnie wzbiera gniew.

– Zapamiętam to – mówię tonem Bailey.

I wychodzę, by do niej dołączyć.



## Nie każdy jest dobry w pomaganiu

Po powrocie do hotelu zamawiamy do pokoju obsmażane kanapki z serem i frytki z batatów. Włączam telewizor. W kablówce leci stara komedia romantyczna – Tom Hanks i Meg Ryan na przekór wszystkiemu odnajdują się we wszechświecie – jej swojskość jest kojąca. Bailey zasypia w łóżku.

Ja się nie kładę, oglądam film do końca, czekając na dobrze sobie znany moment – gdy Tom Hanks obiecuje Meg Ryan, że należy do niej, że będzie ją kochał. Do końca życia. Ich wspólnego życia. I potem lecą napisy. A ja wracam myślami do ciemnego pokoju hotelowego w tym obcym mieście, z porażającą refleksją: Owena nie ma. Zniknął bez wyjaśnienia. Odszedł.

To jest straszne w tragedii – nie pamiętasz o niej w każdej minucie. Zapominasz o niej, a potem sobie przypominasz. I czeka na ciebie brutalna prawda: masz sobie z tym poradzić, tego się od ciebie oczekuje.

Jestem tak wściekła, że nie mogę zasnąć, więc przeglądam swoje notatki z całego dnia, zastanawiając się, jak inaczej pobudzić pamięć Bailey, wykorzystując informację o ślubie. Co robili w Austin poza tym ślubem? Może przyjechali na dłużej? Może Bailey ma rację? Może dlatego kampus wydawał się jej znajomy? Czy spędziła tu więcej czasu niż ten jeden weekend? I dlaczego?

Odczuwam ulgę, gdy dzwonek telefonu wyrzywa mnie z rozmyślań. Na moje pytania nie ma żadnej dobrej odpowiedzi.

Biorę aparat do ręki. To Jake.

– Od kilku godzin próbuję się do ciebie dodzwonić – mówi.

– Przepraszam – szepczę. – To był trudny dzień.

– Gdzie jesteś?

– W Austin.

– W Teksasie?

Wychodzę na korytarz, delikatnie zamykając za sobą drzwi, tak żeby nie obudzić Bailey.

– Nie umiem ci tego dokładnie wyjaśnić, ale zasadniczo chodzi o to, że Bailey sobie przypomniała, że jako małe dziecko była w Austin. Nie wiem, może sama jej wmówiłam, że przywoła wspomnienia, jak tu będzie. Ale ze względu na to... no i ten Grady Bradford... no, uznałam, że powinniśmy przyjechać.

– Więc... badasz tropy?

– Najwyraźniej bez powodzenia. Jutro wsiadamy w samolot i wracamy do domu.

Okropnie brzmią w moich uszach te słowa. Sama myśl o powrocie do domu bez Owena jest okropna. Tutaj przynajmniej łudzę się, że pomogę odnaleźć Owena, że zrobimy to razem z Bailey.

– No dobrze. Słuchaj, muszę pogadać – mówi Jake. – I to ci się nie spodoba.

– Będziesz musiał zacząć od czegoś, co mi się spodoba. Bo inaczej się rozłączę.

– Twój nowy znajomy Grady Bradford to prawdziwy agent. Ma świetną opinię w służbach. W biurze w Teksasie jest polecaną osobą, FBI często go ściga, jak znika im jakiś podejrzany. I jeśli on chce znaleźć Owena, to moim zdaniem go znajdzie.

– I to ma być dobra wiadomość?

– W odniesieniu do innych osób nie mam tej pewności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Owen Michaels nie istnieje.

Mam ochotę parsknąć śmiechem, bo tak zabawnie to zabrzmiało. Zabawnie i absurdalnie oczywiście.

– Nie powiem, że nie wiesz, o czym mówisz, Jake, ale mogę cię zapewnić, że istnieje. Jego córka śpi pięć metrów ode mnie.

– Może ujmę to inaczej. Twój Owen Michaels nie istnieje. Zgadza się akt urodzenia i numer ubezpieczenia, zarówno Owena, jak i jego córki, ale na tym koniec zgodności.

– Co ty wygadujesz?

– Detektyw, o którym ci wspomniałem, a on się zna na rzeczy, mówi, że nie istnieje żaden Owen Michaels, który by pasował do biogramu twojego męża. Jest kilku Owenów Michaelsów pochodzących z Newton w Massachusetts, z tego kilku kończyło Princeton. Ale jedyny Owen Michaels, który pochodzi z tej samej miejscowości co twój i kończył

Princeton, ma siedemdziesiąt lat i wraz ze swoim partnerem Theo Silversteinem mieszka w Provincetown na Cape Cod.

Mam problem z oddychaniem. Siadam na podłodze, oparta plecami o ścianę. Ta jedna informacja dobija się do mojej głowy, wali mi w sercu: Żaden z tych Owenów Michaelsów nie jest twoim Owenem Michaelsem. Te słowa poruszają się we mnie, szukając sobie miejsca.

– Mam mówić dalej? – pyta Jake.

– Nie, dziękuję.

– Żaden Owen Michaels nie kupił ani nie posiadał domu w Seattle w stanie Waszyngton w dwa tysiące szóstym roku, nie zapisał córki Bailey do szkoły w tym roku ani nie płacił podatków aż do roku dwa tysiące dziewiątego...

Chwila.

– Wtedy właśnie przeprowadził się z Bailey do Sausalito.

– Dokładnie tak. Od tego momentu twój Owen Michaels pojawia się w urzędowych rejestrach. I od tego momentu wszystko zgadza się mniej więcej z tym, co mi mówiłaś. Ich dom, szkoła Bailey. Praca Owena. I oczywiście bardzo sprytnie, że kupił dom na wodzie, a nie zwyczajną nieruchomości, o wiele mniej śladów. Nie posiada gruntu, to raczej przypomina wynajem. Trudniej to wyśledzić.

Zasłaniam rękami oczy, żeby przestało mi się kręcić w głowie, żebym złapała równowagę.

– Zanim przyjechali do Sausalito, nie znalazłem ani jednego skrawka danych zgodnego z wersją, którą opowiedział ci o swoim życiu twój mąż. Występował pod innym imieniem i nazwiskiem albo pod tym i skłamał na temat całej reszty. Tak czy owak, okłamał cię co do swojej tożsamości.

Z początku nie jestem w stanie nic powiedzieć. A potem jednak wyduszam pytanie.

– Dlaczego?

– Dlaczego Owen miałby zmienić nazwisko? Szczegóły swojego życiorysu?

Kiwam głową, jakby Jake mógł mnie zobaczyć.

– To samo pytanie zadałem detektywowi. Mówi, że ludzie zwykle zmieniają tożsamość z jednego z dwóch powodów. I tobie żaden z nich się nie spodoba.

– Doprawdy?

– Najpopularniejszy powód, nie uwierzysz, to posiadanie drugiej rodziny. Drugiej żony, drugiego dziecka czy dzieci. Taki człowiek pilnuje, by jego dwa równoległe życiorysy się nie zetknęły.

– To nie wchodzi w grę.

– Powiedz to klientowi, którego teraz mamy. To miliarder, potentat naftowy, ma żonę w Północnej Dakocie na rodzinnym ranczu, a drugą w San Francisco w posiadłości w Pacific Heights. Zaraz koło Danielle Steel. Dwadzieścia dziewięć lat z dwiema kobietami. Pięcioro dzieci z jedną, pięcioro z drugą. A one nie mają o niczym pojęcia. Myślą, że on dużo podróżuje w interesach. Uważają go za świetnego męża. My wiemy o tych dwóch rodzinach, bo przygotowaliśmy dla niego testament... to niezła lektura.

– A drugi powód?

– Zakładając, że nie ma gdzie drugiej żony?

– Tak, tak właśnie zakładając.

– Drugi powód, dla którego ludzie tworzą fałszywą tożsamość, i takie można tu przyjąć założenie, to działalność przestępcza. Taki człowiek ucieka, żeby uniknąć problemów, chce zacząć nowe życie, chronić rodzinę. Ale niemal zawsze były przestępca znowu wpada w kłopoty i to go gubi.

– To by znaczyło, że Owen już kiedyś miał problemy z prawem? Że ma na koncie nie tylko to, co się stało w The Shop, ale jeszcze coś?

– Na pewno tak dałoby się wyjaśnić jego ucieczkę. Wiedział, że kiedy The Shop się sypnie, jego tożsamość wyjdzie na jaw. Najbardziej się martwił, że dopadnie go przeszłość.

– Ale zgodnie z tym tropem: czy nie można wykluczyć, że jednak nie jest przestępcą? Że zmienił nazwisko, żeby przed kimś uciec? Kimś, kto chciał skrzywdzić jego i może nawet Bailey?

„Chroń ją”.

– Jasne, tego nie można wykluczyć. Ale w takim razie dlaczego tobie nic o tym nie powiedział?

– Nie wiem. Ale potrzebna mi jakaś alternatywa – inne wyjaśnienie, dlaczego Owena nie da się wyszukać w systemie.

– Nie wiem. Może jest objęty programem ochrony świadków? – mówię.

– To by wyjaśniało pojawienie się Grady’ego Bradforda.

– Myślałem o tym. Ale pamiętasz mojego kumpla Alexa? On ma kumpla, który jest wysoko w Urzędzie Szeryfa Federalnego, więc

sprawdził to dla mnie. Owen nie jest objęty programem ochrony świadków.

– On ci to powiedział?

– Tak.

– Więc co to za program ochrony?

– Nie najlepszy. Tak czy owak, Owen nie pasuje do profilu żadnej osoby objętej programem. Nie ta praca, za dobrze płatna, nie Sausalito. Ludzie z programu sprzedają opony w Idaho. I to ci, którzy mają szczęście. To nie wygląda tak jak w filmach. Większość z nich trafia na jakieś totalne zadupie z odrobiną kasy, nowymi dokumentami i dobrym słowem.

– A więc o co chodzi?

– Moim zdaniem? To druga ewentualność. Ma coś na sumieniu i od dawna przed tym ucieka. I może właśnie przez to został przyłapany w The Shop. A może te sprawy nie są powiązane. Trudno powiedzieć. Ale gdyby został aresztowany, wszystko wyszłoby na jaw, więc uciekł, żeby się ratować. A może to jest tak, jak powiedziałaś, i uciekł, ponieważ uznał, że to najlepszy sposób, żeby chronić Bailey. Żeby ona się nie uwikłała w to coś, co on zrobił.

– Jake, nawet jeśli masz rację, nawet jeśli nie wiem wszystkiego o człowieku, za którego wysłałam... Wiem, że on zostawiłby Bailey tylko i wyłącznie wtedy, gdyby absolutnie nie miał innego wyjścia. Abstrahując na chwilę ode mnie, gdyby uciekał, a nie miał zamiaru wrócić, zabrałby ją ze sobą. Ona jest dla niego wszystkim. Owen by jej nie zostawił. Nie mógłby tak po prostu zniknąć.

– A czy dwa dni temu pomyślałabyś, że on jest w stanie wymyślić historię całego swojego życia? Bo to właśnie zrobił.

Wpatruję się w brzydką wykładzinę na hotelowym korytarzu, szukając w fuksjowych różach jakiegoś pocieszenia.

To niemożliwe. Każdy element z osobna jest niemożliwy. Jak się pogodzić z myślą, że twój mąż ucieka przed osobą, którą kiedyś był, osobą, której tożsamości nawet nie znasz? Chcesz krzyknąć, że to pomyłka. Bo wiesz na pewno, że to nie ma sensu. Ani początek tej całej historii, ani jej rozwinięcie i na pewno nie jej straszny koniec.

– Jake... jak ja mam wrócić do pokoju i przekazać Bailey, że wszystko, co wie na temat swojego ojca, jest nieprawdą? Nie mam pojęcia, jak jej to powiedzieć.

Milknie, co zupełnie do niego nie pasuje.

– Może powiedz jej coś innego – mówi w końcu.

– Na przykład?

– Na przykład, że masz plan, jak się z tego wszystkiego wykaraskać. Przyjedź do Nowego Jorku, wprowadź się do mnie. Obie przyjedźcie, aż to wszystko się nie wyjaśni. Mam przyjaciół w zarządzie Dalton. Bailey może tu dokończyć rok szkolny.

Zamykam oczy. Jakim cudem znalazłam się w takiej sytuacji? Rozmawiam przez telefon z Jakiem? Jakim cudem to on akurat mi pomaga? Gdy zerwaliśmy ze sobą, Jake powiedział, że zawsze byłam przy nim nieobecna. Nie spierałam się z nim – nie mogłam. Bo byłam trochę nieobecna. Można było odnieść wrażenie, że Jake'owi czegoś brakuje. A dokładnie to znalazłam w Owenie. Ale jeśli Jake ma rację co do Owena, to nie łączyło mnie z mężem to, co mi się wydawało. Może w ogóle nie łączyło nas nic.

– Dziękuję ci za tę propozycję. W tej chwili brzmi nieźle.

– Ale...

– Z tego, co mi mówisz, wnioskuję, że jesteśmy w tej sytuacji, bo Owen uciekł. Ja nie mogę uciec, w każdym razie dopóki tego wszystkiego nie rozgryzę.

– Hannah, musisz myśleć o Bailey.

Otwieram drzwi pokoju i zaglądam do środka. Bailey śpi w swoim łóżku, głębokim snem. Zwinięta w pozycji embrionalnej, fioletowe włosy na poduszce przyciągają wzrok jak kula dyskotekowa. Zamykam drzwi i wychodzę na korytarz.

– O niczym innym nie myślę – mówię do Jake'a.

– W tej chwili tego nie widzę. Bo nie szukałabyś osoby, od której moim zdaniem powinnaś ją trzymać z daleka.

– Jake, to jej ojciec.

– Może ktoś jemu powinien o tym przypomnieć.

Nic nie mówię. Przez szklane ściany patrzę na atrium w dole. Pracownicy jakiejś firmy (opatrzeni laminowanymi identyfikatorami) siedzą w barze, pary ręka w rękę wychodzą z restauracji, dwójka wyczerpanych rodziców taszczy śpiące dzieci i tyle sprzętu z Legolandu, że mogliby otworzyć sklep. Z tej odległości wyglądają na szczęśliwych, ale oczywiście tak naprawdę tego nie wiem. Przez jedną chwilę wolałabym być którąkolwiek z tych osób. Byle nie być mną – ukrywającą

się na korytarzu hotelowym siedem pięter nad ziemią. Próbującą przyswoić, że jej małżeństwo, jej życie jest kłamstwem.

Czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Odkąd odeszła moja matka, jestem dumna ze swojej dbałości o szczegóły, z tego, że dostrzegam u ludzi najmniejsze drobiazgi. I gdyby mnie trzy dni temu ktoś o to spytał, powiedziałabym, że wiem o Owenie absolutnie wszystko. Wszystko, co ważne, w każdym razie. Ale może nie wiem nic. Bo proszę, siedzę właśnie i usiłuję wymyślić najbardziej podstawowe szczegóły na jego temat.

– Przepraszam – mówi Jake. – To było trochę brutalne.

– Brutalne? To?

– Słuchaj, chcę tylko podkreślić, że tu jest dla ciebie miejsce, jeśli uznasz, że takie rozwiązanie ci odpowiada. Wam obu. Ale jeśli postanowisz nie przyjmować tej propozycji, przygotuj przynajmniej inny plan. Zanim rozbijesz życie tej dziewczyny na kawałki, przekonaj ją, że wiesz, co robisz.

– Czy ktoś wie, co robić w takich sytuacjach? – pytam. – Ktoś się odnajduje w takich sytuacjach?

– Najwyraźniej ty.

– Nie pomagasz.

– Przyjedź do Nowego Jorku. To na pewno pomoże.

## Osiem miesięcy wcześniej

– Nie pisałam się na to – powiedziała Bailey.

Staliśmy przed wejściem na pchli targ w Berkeley. Owen i Bailey jak nigdy utknęli w impasie. On chciał wejść, a Bailey chciała wyłącznie do domu.

– Pisałaś się – mówił. – Jak się zgodziłaś na wyjazd do San Francisco. Więc może weźmiemy to na klatę?

– Ja się pisałam na dim sumy – przypomniała.

– I dim sumy były dobre, prawda? Dałem ci swój ostatni z wieprzowiną. Zresztą Hannah też ci dała. To oznacza dwa ponadplanowe dim sumy z wieprzowiną.

– Do czego zmierzasz? – spytała.

– Może będziesz dobrą koleżanką i wejdiesz z nami na jakieś pół godziny?

Zrobiła w tył zwrot i weszła na pchli targ, przed nami – obowiązkowe trzy metry przed nami, tak by nikomu nie przyszło do głowy, że jesteśmy razem.

Skończyła negocjacje z ojcem. I najwyraźniej skończyła z obchodzeniem moich urodzin.

Owen spojrzał na mnie, bezradnie wzruszając ramionami.

– Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestych urodzin – powiedział.

– Ależ ja nie mam czterdziestu lat. Mam dwadzieścia jeden.

– Ach, no przecież! – Uśmiechnął się. – Cudownie. W takim razie mam jeszcze dziewiętnaście szans zrobić to jak należy.

Wzięłam go za rękę, spleśliśmy palce.

– Może pojedziemy do domu? – zaproponowałam. – Brunch był taki fajny. Jeśli ona chce jechać...

– Nic jej nie będzie.

– Owen, próbuję powiedzieć, że to nic wielkiego.

– Nie, to nic wielkiego. I dla niej to żaden wysiłek pójść na ten pchli targ. Nic jej nie będzie, jak tu pochodzi pół godziny.



Nachylił się, żeby mnie pocałować, i ruszyliśmy do środka. Poszukać Bailey. Byliśmy przy głównym wejściu, gdy jakiś wielki mężczyzna zmierzający w przeciwnym kierunku zatrzymał się i zawołał za Owenem.

– No być nie może!

Miał bejsbolówkę i koszulkę rozciągniętą na brzuchu. I niósł abażur. Żółty aksamitny abażur jeszcze z ceną.

Wyciągnął ręce, żeby uściskać Owena, i abażurem niezręcznie uderzył go w plecy.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty – powiedział. – Ile to lat?

Owen się odsunął, ostrożnie, tak żeby nie uszkodzić abażuru.

– Dwadzieścia? – mówił mężczyzna. – Dwadzieścia pięć? Dlaczego król balu maturalnego nie przyjechał na żadne spotkanie klasowe?

– Bardzo niechętnie to mówię – odezwał się w końcu Owen – ale z kimś mnie pan myli. Nigdy nie byłem królem niczego, proszę spytać moją żonę.

I wskazał mnie.

A ten obcy mężczyzna uśmiechnął się do mnie.

– Miło mi poznać – rzekł. – Jestem Waylon.

– Hannah – odparłam.

Odwrócił się znowu do Owena.

– Zaraz. To chcesz mi powiedzieć, że nie chodziłeś do Roosevelta? Rocznik dziewięć cztery?

– Nie. Chodziłem do Liceum Newton w Massachusetts – powiedział Owen. – Ale rocznik się zgadza.

– Człowieku, jesteś sobowtórem gościa, z którym chodziłem do szkoły. No, włosy miał inne i był bardziej napakowany. Bez urazy. Ja też byłem wtedy bardziej napakowany.

Owen wzruszył ramionami.

– Jak my wszyscy.

– No ale poza tym identyko. Ale to dobrze, że nie jesteś nim, to był jednak dupek.

– Spoko – powiedział Owen ze śmiechem.

– Nawzajem – odparł Waylon.

I ruszył w stronę parkingu. Nagle się jednak odwrócił.

– A znasz kogoś, kto chodził do Liceum Roosevelta w Teksasie? Kuzyna czy coś? Może jesteście chociaż spokrewnieni?

– Przykro mi – odrzekł Owen z grzecznym uśmiechem. – Naprawdę mi przykro, ale nic mnie z nim nie łączy.

## Przykro nam, zapraszamy

Słowa Jake'a tłuką mi się po głowie. Owen Michaels nie istnieje. Owen to nie Owen. Oszukał mnie w kwestii najistotniejszych szczegółów swojego życia. Oszukał swoją córkę w kwestii najistotniejszych szczegółów jej życia. Jak to możliwe? Nie mogę w to uwierzyć w odniesieniu do człowieka, którego znam. A w każdym razie tak mi się wydawało. Znam go. Ciągle w to wierzę, choć dowody świadczą przeciwko temu. I ta wiara w niego (w nas) zrobi ze mnie wierną partnerkę albo kompletną idiotkę. Oby się nie okazało, że to jedno i to samo.

Oto fakty, które znałam, tak mi się wydawało. Dwadzieścia osiem miesięcy temu do mojej pracowni w Nowym Jorku wszedł mężczyzna w sportowej marynarce i converse'ach. Wieczorem przed teatrem zabrał mnie na kolację do małej knajpki z tapas na Dziesiątej Alei i opowiedział mi historię swojego życia. Zaczęła się w Newton w Massachusetts, objęła cztery lata tamtejszego liceum i cztery lata studiów w Princeton, przeprowadzkę do Seattle z młodzieńczą miłością, a potem do Sausalito z córką. Do spotkania ze mną miał trzy posady, dwa fakultety i jedną żonę, która zginęła w wypadku samochodowym. O tym wypadku prawie nic nie mówił, choć minęło dziesięć lat, zawsze twarz mu pochmurniała. No i była jego córka – najważniejszy element jego życia – jego nieustępliwa, nieustraszona córka. Przeprowadził się z nią do niedużego miasta w północnej Kalifornii, bo wskazała je na mapie. I powiedziała: „Może tu?”. I tyle on mógł jej dać.

A oto fakty, które znała jego córka, tak jej się wydawało. Większość życia spędziła w Sausalito w domu na wodzie z ojcem, który przychodził na każdy jej mecz i występ w szkolnym przedstawieniu. W niedziele jadali kolacje w restauracjach, które ona wybierała, i co tydzień szli do kina. Często chadzali do muzeów San Francisco, na imprezy sąsiedzkie, na doroczne barbecue. Nie pamiętała nic z życia sprzed Sausalito, tylko jakieś niekonkretne migawki jak przyjęcie urodzinowe z magikiem, wyprawę do cyrku, gdzie płakała na widok klauna, jakiś ślub w Austin

w Teksasie. Puste miejsca Bailey wypełniła tym, co mówił jej ojciec. Bo czemu miałyby robić inaczej? Tak się wypełnia puste miejsca – historiami i wspomnieniami, które podają ci bliscy.

Jeśli cię okłamują, tak jak on, to kim jesteś? Kim jest on? Osoba, za którą go uważałeś, twoja ulubiona osoba, zaczyna znikać, jest mirażem, chyba że sobie wmówisz, że te części, które nadal są dla ciebie ważne, są prawdą. Miłość była prawdą. Jego miłość jest prawdą. Bo jeśli nie, to zostaje tylko taka możliwość, że to wszystko było kłamstwem. A kim wtedy jesteś? Co masz z tym wszystkim zrobić? Jak masz poskładać w całość elementy, tak żeby on nie zniknął do końca?

Tak żeby jego córka nie miała poczucia, że też całkowicie zniknie?

Bailey budzi się zaraz po północy.

Przeciera oczy. Rozgląda się i widzi mnie – siedzę na niewygodnym hotelowym krześle i przyglądam się jej.

– Zasnęłam? – pyta.

– Owszem.

– Która godzina?

– Późno. Wracaj do spania.

Siada.

– To trudne, jak się tak na mnie gapisz.

– Bailey... byłeś kiedyś w domu rodzinnym twojego ojca w Bostonie? Zabrał cię tam kiedyś?

Patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Chodzi ci o dom, w którym spędził dzieciństwo?

Kiwam głową.

– Nie. Nigdy nie zabrał mnie do Bostonu, raczej sam tam nie jeździł.

– I nigdy nie poznałaś dziadków? Nie spędzałaś z nimi czasu?

– Umarli, zanim się urodziłam. Wiesz przecież. Co się dzieje?

Kto jej wypełni te puste miejsca? Taką dziurę? Nie wiem, od czego zacząć.

– Jesteś głodna? – pytam. – Na pewno jesteś. Kolacji prawie nie tknęłaś. Bo ja umieram z głodu.

– Jak to? Sama zjadłaś obie nasze porcje.

– Ubierz się, dobrze? Mogłabyś się ubrać?

Patrzy na wyświetlacz hotelowego zegara.

– Jest północ – zauważa.

Wkładam sweter, rzucam jej bluzę. Patrzy na nią rozłożoną na jej nogach, spod kaptura wyglądają czubki converse'ów.

Wkłada bluzę przez głowę, ciągnie za kaptur, aż pojawiają się fioletowe włosy.

– A dostanę chociaż piwo? – pyta.

– Wykluczone.

– Mam fejkowy dowód, mogłabym dostać.

– Ubierz się, proszę.

Magnolia Cafe to słynny lokal w Austin, który który serwuje jedzenie całą dobę, co zapewne wyjaśnia, dlaczego zawsze tętni życiem – muzyka gra, wszystkie boksy zajęte i to o 0.45.

Zamawiamy dwie duże kawy i pankejki imbirowe. Bailey jest zachwycona słodkimi, aromatycznymi plackami tonącymi w maśle i cukrze kokosowym. Z dodatkiem bananów. Siedzimy przy drzwiach, nad naszymi głowami świeci czerwony neon „Przykro nam, zapraszamy”. Mrużę oczy przed tym światłem, szukając jednocześnie słów, żeby przekazać Bailey to, co usłyszałam od Jake'a.

– Wygląda na to, że twój ojciec nie zawsze nazywał się Owen Michaels – wyrzucam w końcu.

Podnosi na mnie wzrok.

– Co ty mówisz?

Opowiadam łagodnie, ale nie przeprasza ją, wprowadzając ją. Że ojciec zmienił nie tylko imię i nazwisko. Że najwyraźniej zmienił także szczegóły swojego życiorysu – historię swojego życia. Nie pochodził z Massachusetts, nie kończył Princeton i nie przeprowadził się do Seattle w wieku dwudziestu dwóch lat. W każdym razie nie zrobił tego wszystkiego w taki sposób, że da się tego dowieść.

– Skąd to wiesz?

– Od przyjaciela z Nowego Jorku. Pracuje z detektywem, który się specjalizuje w tego rodzaju sprawach. Ten detektyw uważa, że twój ojciec zmienił tożsamość krótko przed przeprowadzką do Sausalito. Jest tego pewien.

Patrzy w swój talerz skołowana, jakby się przesłyszała – bo to wszystko wydaje się niemożliwe do przetworzenia.

– Dlaczego miały to robić? – pyta, nie patrząc mi w oczy.

– Moim zdaniem starał się przed czymś cię uchronić.

– Na przykład przed czym? Coś zrobił? Bo ojciec pierwszy zawsze mówił, że jeśli człowiek przed czymś ucieka, to zwykle przed sobą samym.

– Tego nie wiemy.

– Właśnie. Wiemy tylko to, że nas okłamał.

I widzę, jak wzbiera w niej ten gniew, ten słuszny gniew, że została wykluczona z elementarnych szczegółów swojego życia. Nawet jeśli robił to dla jej dobra. Nawet jeśli zrobił to, bo nie miał wyboru. Tak czy inaczej Bailey będzie musiała zdecydować, czy to jest wybaczone. Obie musimy zdecydować.

– Mnie też okłamał – dodaję. Podnosi wzrok. – Mówię tylko, że mnie też okłamał.

Przechyla głowę, jakby usiłowała zdecydować, czy w to wierzyć. Bo niby dlaczego? Dlaczego w tym momencie miałyby komukolwiek uwierzyć? Wydaje mi się jednak ważne choćby spróbować ją przekonać, że ja jej nie oszukałam, że mnie może zaufać. Mam wrażenie, że to jest teraz najważniejsze, że wszystko od tego zależy.

Patrzy na mnie tak bezbrinnie, że nie jestem w stanie nic mówić. Nawet nie jestem w stanie wytrzymać jej spojrzenia.

I teraz do mnie dociera, w jednym momencie, gdzie popełniałam błąd w relacji z Bailey – dlaczego nie udało mi się do niej dotrzeć. Myślałam, że jeśli będę miła, urocza, ona zrozumie, że może na mnie liczyć. Ale to nie tak się upewniasz, że możesz na kogoś liczyć, tylko w chwilach, gdy ten ktoś nie ma siły się starać. Wtedy, gdy widzisz, ile ten ktoś jest w stanie dla ciebie zrobić, wtedy czujesz, że możesz na niego liczyć.

A ja dla niej w tej chwili zamierzam zrobić to, co mój dziadek zrobił dla mnie. Uczynię wszystko, żeby się czuła bezpiecznie.

– W takim razie... nie tylko on, prawda? – mówi. – Jeśli on, to ja też jestem kimś innym, co nie? Imię, nazwisko... w pewnym momencie to wszystko zmienił.

– Tak. Jeśli Jake ma rację, to tak, ty też zmieniłaś tożsamość.

– I te wszystkie szczegóły też są inne, tak? – Urywa na chwilę. – Na przykład... moje urodziny?

Zatyka mnie. Ten zawód w jej głosie, gdy zadaje to pytanie.

– Mam urodziny w jakiś inny dzień?

– Pewnie tak.

Spuszcza wzrok. Nie patrzy mi w oczy.

– Można by pomyśleć, że to takie coś, co człowiek powinien o sobie wiedzieć – mówi.

Staram się nie rozpłakać, wpijam palce w stolik, mały stolik w radosnej knajpie w Austin: z malowidłami na ścianach, jaskrawymi kolorami, a wszystko w takiej całkowitej sprzeczności z moimi obecnymi uczuciami. Mrugam powiekami, żeby zatrzymać łzy. Nie mogę się rozpłakać przed tą szesnastolatką, która chyba nie ma na świecie nikogo poza mną. Ona mnie potrzebuje. Więc biorę się w garść, ustępując jej miejsca – to ona ma prawo się załamać.

Składa ręce na stole, oczy ma pełne łez. Widok Bailey pogrążonej w takim bólu mnie przerasta.

– Bailey... wiem, że to jest straszne – mówię – ale jesteś, kim jesteś. Bez względu na szczegóły, bez względu na to, czego tata ci nie powiedział, nadal jesteś tą samą osobą.

– Ale jak mogę nie pamiętać, że miałam inaczej na imię? Albo gdzie indziej mieszkałam? Powinnam chyba to pamiętać, prawda?

– Właśnie sama to powiedziałaś: byłaś mała. Kiedy zostałaś Bailey Michaels, dopiero zaczynał się czas twojej świadomości. To wszystko w ogóle nie jest twoja wina.

– Tylko jego?

Przypominam sobie znowu tego mężczyznę na pchlim targu w Berkeley, tego, który nazwał Owena królem balu. Owen tak spokojnie zareagował. Był absolutnie niewzruszony. Czy mógłby tak dobrze udawać? A jeśli tak, to jak to o nim świadczy?

– Nie pamiętasz, żeby kiedykolwiek ktoś nazywał twojego ojca inaczej? Przed Sausalito?

– Jakimś przezwiskiem?

– Nie, raczej mam na myśli imię lub nazwisko.

– Chyba nie. Nie mam pojęcia. – Odsuwa kubek z kawą. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

– Wiem.

Bawi się włosami w zamyśleniu, fiolet miesza się z ciemnym lakierem do paznokci, oczy miotają błyskawice.

– Nie mam pojęcia, jak ludzie do niego mówili... Nigdy nie zwracałam na to uwagi. Powinnam?

Opada na oparcie, ma dość tej zgadywanki o ojcu, o swojej przeszłości. Wykańcza ją poczucie, że powinna to robić. Trudno jej się dziwić. Kto by

chciał siedzieć w dziwnej knajpie w Austin i zgadywać, kogo mogła udawać najważniejsza dla ciebie osoba na świecie? I jakim cudem tego nie zauważyłeś. Kim tak naprawdę jest.

– Wiesz co – mówię. – Chodźmy już. Jest późno. Wracajmy do hotelu i spróbujmy się przespać.

Wstaję, ale Bailey mnie zatrzymuje.

– Zaczekaj...

Siadam z powrotem.

– Bobby powiedział mi coś kilka miesięcy temu. Wysłał papiery do college'u i chciał, żeby ojciec załatwił mu rekomendację absolwenta Princeton. Ale sprawdził listę absolwentów i nie znalazł żadnego Owena Michaela. Nie studiował ani w college'u, ani na politechnice. Powiedziałam, że musiał źle sprawdzić, a potem on się jednak zdecydował na Chicago i z tamtego zrezygnował. W ogóle zapomniałam, żeby o to spytać tatę, bo po prostu zakładałam, że Bobby nie umiał się posłużyć bazą absolwentów czy coś. – Urywa. – Może powinnam była go spytać.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałabyś go pytać? Dlaczego miałabyś zakładać, że on cię okłamuje?

– Myślisz, że on zamierzał mi kiedykolwiek o tym powiedzieć? Miał taki plan, że któregoś dnia zabierze mnie na spacer i powie, kim naprawdę jestem? No serio, czy miał zamiar powiedzieć, że wszystko, co wiem o swoim życiu, jest kłamstwem?

Patrzę na nią w przyćmionym świetle. Myślę o swojej rozmowie z Owenem, rozmowie o wypadzie do Nowego Meksyku. Czy wtedy naprawdę chciał uchylić przede mną rąbka tajemnicy? Gdybym nalegała trochę mocniej, zrobiłby to?

– Nie wiem – przyznaję.

Spodziewam się, że powie, że to jest bardzo nie w porządku. I że znowu się zdenerwuje. Ale ona jest spokojna.

– Czego on się tak boi? – pyta.

Och. No właśnie. To jest chyba sedno wszystkiego. Owen ucieka przed czymś, czego się boi. Całe życie przed tym ucieka. A co ważniejsze, całe życie starał się uchronić przed tym Bailey.

– Myślę, że jak znajdziemy odpowiedź na to pytanie, to dowiemy się, gdzie on jest.

– Ach, no jasne, to łatwizna.



Śmieje się. Szybko jednak z tego śmiechu jej oczy wypełniają się łzami. Czekam, aż powie, że chce stąd pójść – że chce wracać do hotelu, wracać do Sausalito – ale ona bierze się w garść. Jakby poczuła determinację.

– No to co teraz zrobimy? – pyta.

My. Co my teraz zrobimy. To nasz wspólny problem najwyraźniej, co dodaje mi otuchy, choć przez to wszystko trafiłyśmy do całodobowego dinera w Południowym Austin, daleko od domu. Choć żadna z nas tego wszystkiego nie chciała. Oddałabym wszystko, żeby Bailey nie musiała tu być. Jesteśmy tu razem i obie chcemy, żeby tak zostało. Obie chcemy znaleźć Owena, gdziekolwiek się ukrywa. Gdziekolwiek jest.

– Cóż... – mówię – naprawimy to.

## Każdy kij ma dwa końce

Czekam do rana i wtedy do niego dzwonię. Muszę czuć spokój i pewność, że osiągnę cel.

Zbieram wszystkie swoje notatki i wkładam letnią sukienkę. Cichutko zamykam drzwi do pokoju, żeby nie obudzić Bailey. Potem zjeżdżam na dół, mijam gwarne lobby i wychodzę na dwór, na ulicę, gdzie mam szansę kontrolować, co on usłyszy w tle.

Pomimo porannego ruchu i tłumy ludzi zdążających do pracy Congress Street Bridge, do swoich biur, do szkół swoich dzieci, w drodze do rozpoczęcia cudownie normalnego dnia, panuje absolutny spokój.

Wyciągam z kieszeni serwetkę od Freda, na której Grady podwójną linią podkreślił swój numer telefonu.

Włączam komórkę i zanim wybiorę numer, wciskam \*67 – mam nadzieję, że to na odrobinę dłużej uniemożliwi rozpoznanie mojego numeru – jeśli on ma aż taką ochotę, żeby go poznać. Jeśli ma aż taką ochotę dowiedzieć się, gdzie jestem.

– Mówi Grady – słyszę w słuchawce.

Mobilizuję siły, nim skłamię. W końcu tylko to mi pozostało.

– Z tej strony Hannah. Owen się odezwał.

To zamiast powitania.

– Kiedy?

– W nocy, o drugiej. Powiedział, że nie powinien rozmawiać, bo ktoś może podsłuchiwać. Namierzać go. Dzwonił z telefonu na kartę czy coś. Wyświetlił mi się numer nieznany, Owen mówił szybko. Pytał, czy wszystko w porządku z Bailey, i stanowczo twierdził, że nie ma absolutnie nic wspólnego z tym, co się dzieje w The Shop. Mówił, że miał poczucie, że Avett coś kombinuje, ale nie zdawał sobie sprawy ze skali problemu.

Słyszę Grady'ego po drugiej stronie, jak czymś szeleści. Może szuka notesu, jakiejś kartki, na której mógłby zapisać wskazówki, na które liczy.

– Proszę powtórzyć, co dokładnie powiedział...

– Że to niebezpieczne, żeby dłużej mówić, ale że mam zadzwonić do pana. I że pan ma mi powiedzieć prawdę.

Szelest ustaje.

– Prawdę? O czym?

– Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że pan będzie wiedział, co z tym zrobić.

Milczy chwilę.

– W Kalifornii jest jeszcze wczesnie. Co pani robi o tej porze?

– A pan by mógł zasnąć, gdyby pański mąż dzwonił o drugiej w nocy i mówił, że ma kłopoty?

– Nie mam problemów ze snem, więc...

– Muszę wiedzieć, co jest grane, Grady. Co tu się naprawdę dzieje. Dlaczego szeryf federalny z Austin w Teksasie jedzie aż do San Francisco szukać kogoś, kto nie jest podejrzanym?

– A ja muszę wiedzieć, dlaczego pani kłamie, że Owen dzwonił, skoro nie dzwonił.

– Dlaczego w systemie nie ma żadnych danych o Owenie Michaelisie sprzed przeprowadzki do Sausalito?

– Kto pani to powiedział?

– Przyjaciel.

– Przyjaciel? W takim razie przyjaciel wprowadził panią w błąd.

– Nie sądzę.

– No dobrze, może tak: czy zwróciła pani przyjacielowi uwagę, że najważniejszą funkcją nowego oprogramowania The Shop było zmienianie danych online? Że pomagał wymazywać niepożądane ślady? Jeśli ktoś chce ukryć tożsamość, może usunąć z sieci wszystkie dane na temat swojej osoby. To dotyczy również bazy danych uczelni, nieruchomości...

– Wiem, jak działa software.

– Więc dlaczego nie przyszło pani do głowy, że jeśli ktoś wymazał dane o Owenie, to mógł to być ten człowiek, który miał możliwość to zrobić?

Owen. Grady mówi, że to Owen wymazał swoje powiązania z przeszłością.

– Dlaczego miałby to robić?

– Może testował swoje oprogramowanie? Nie wiem. Mówię tylko, że tworzy pani dość skomplikowaną teorię, podczas gdy brak informacji o przeszłości Owena można wyjaśnić na różne sposoby.

Próbuje mnie zbić z tropu. Nie pozwolę na to. Nie będzie kontrolować tej historii według własnego planu, który jest coraz bardziej podejrzany.

– Grady, co on zrobił? Przed laty? Przed The Shop? Dlaczego zmienił tożsamość? Dlaczego zmienił nazwisko?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Myślę, że pan wie. Myślę, że to wyjaśnia, dlaczego pojechał pan aż do San Francisco w sprawie śledztwa, które nie podlega pańskiej jurysdykcji.

Śmieje się.

– Ależ ono podlega mojej jurysdykcji. Myślę, że bardziej powinna się pani martwić o inne rzeczy.

– Jakie na przykład?

– Na przykład o to, że pani koleżanka agentka specjalna Naomi Wu z FBI grozi, że wskaże Owena jako głównego podejrzanego.

Milknę. Nie podałam mu jej nazwiska. On je znał. Najwyraźniej wie wszystko.

– Nie mamy za dużo czasu, zanim jej ekipa pojawi się przed pani domem z nakazem rewizji. Bardzo się staram chwilowo ją powstrzymać, ale nie gwarantuję, że to potrwa.

Wyobrażam sobie, że Bailey wraca do domu i widzi swój pokój wywrócony do góry nogami. Swój świat wywrócony do góry nogami.

– Dlaczego? – pytam.

– Słucham?

– Dlaczego bardzo się pan stara, żeby ją powstrzymać?

– To moje zadanie.

Mówi to z pewnością w głosie, ale jakoś mnie nie przekonuje. Bo coś mi właśnie zaświtało. Grady nie chce żadnej z tych rzeczy dla Owena bardziej niż ja. Grady chce chronić Owena tak samo jak ja. Z jakiego powodu? Gdyby prowadził śledztwo w jego sprawie, gdyby starał się go ściągnąć, gdyby się starał to zakończyć, nie przejmowałby się tak bardzo. Tu chodzi o coś innego – coś groźniejszego niż ewentualny udział Owena w oszustwie. I nagle dopada mnie przerażenie, że to coś jest tak straszne, że przerasta moją wyobraźnię. Owca

„Chron ją”.

– Owen zostawił nam torbę z pieniędzmi – mówię.

– Słucham?

– Naprawdę. Zostawił ją Bailey. To mnóstwo pieniędzy i jeśli ktoś przyjdzie z tym nakazem rewizji, którym mi pan grozi, nie chcę, żeby ją

znalazł. Nie chcę, żeby to wykorzystano przeciwko mnie. Albo jako pretekst, żeby zabrać mi Bailey.

– To tak nie działa.

– Ciągle nie jestem obeznana, jak to działa, więc tymczasem mówię panu o tych pieniądzach. Są pod zlewem w kuchni. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Milczy chwilę.

– Cóż, dziękuję. I lepiej, żebym ja je wzięła, niż żeby je znaleziono. Mogę poprosić kogoś z naszego biura w San Francisco, żeby po nie przyszedł.

Patrzę na widok nad Lady Bird Lake, na śródmieście Austin, jego przyjazne budynki, drzewa filtrujące poranne światło. W którymś z tych budynków Grady już pewnie zaczyna nowy dzień. Nagle czuję, że nie chcę, żeby był tak blisko mnie.

– To nie jest dobry moment.

– Dlaczego?

Każda komórka mojego ciała krzyczy, żebym mu powiedziała prawdę: jesteśmy w Austin. Ale ciągle nie mam pewności, czy to mój przyjaciel, czy wróg. Może jedno i drugie. Może każdy jest po trochu jednym i drugim, Owen też.

– Muszę wykonać jedną pracę, zanim Bailey wstanie – mówię. – I tak sobie myślałam... Może powinnam gdzieś zabrać Bailey, zanim to wszystko się uspokoi.

– Na przykład?

Myślę o propozycji Jake'a. O Nowym Jorku.

– No właśnie nie wiem – odpowiadam. – Ale przecież nie musimy siedzieć w Sausalito, prawda? W sensie prawa, nie musimy tam siedzieć?

– Oficjalnie nie, ale nie będzie to dobrze wyglądać... – Nagle Grady milknie. Jakby czegoś nasłuchiwał. – Chwileczkę. Dlaczego powiedziała pani „tam”?

– Słucham?

– Powiedziała pani „nie musimy tam siedzieć”. Mówiąc o swoim domu, o Sausalito. Gdyby była pani tam na miejscu, powiedziałaaby pani „tu”.

Milczę.

– Hannah, wyślę jednego z kolegów, żeby do pani zajrzał.

– Nastawię kawę.

– Ja nie żartuję.

– Wcale tak nie myślę.

– Więc gdzie pani jest?

Gdyby Grady chciał namierzyć mój telefon, na pewno byłby w stanie. Możliwe, że już się stara to zrobić. Oglądam się na jego miasto, zastanawiając się, czym było dla mojego męża.

– A jaka odpowiedź by pana zmartwiła?

I rozłączam się, zanim ją usłyszę.

## Rok wcześniej

– Myślisz, że możesz tu sobie wpadać, kiedy ci się żywnie podoba? – spytałam.

Żartowałam. Ale się zdziwiłam, gdy Owen znienacka pojawił się w moim warsztacie bez zapowiedzi. Zwykle tak nie robił. Całe dni spędzał w biurze w Palo Alto, czasami jeździł na spotkania do centrum San Francisco. W dni powszednie rzadko bywał w domu, chyba że Bailey go do czegoś potrzebowała.

– Gdybym wpadał, kiedy mi się żywnie podoba, siedziałbym tu bez przerwy – odrzekł. – Co robisz?

Zacierał ręce, zadowolony, że jest ze mną w warsztacie. Uwielbiał moją pracę, uwielbiał brać w niej udział. A ilekroć to widziałam, przypominałam sobie, jakie to szczęście, że go mam i mogę go kochać.

– Co robisz w domu tak wcześnie? – spytałam. – Wszystko w porządku?

– To zależy.

Uniósł moją przyłbicę, by mnie pocałować na powitanie. Byłam w roboczych ciuchach – czyli w kurtce po szyję i w tej przyłbicy – dzięki takiemu połączeniu wyglądałam, jakbym należała do przeszłości i przyszłości jednocześnie.

– Moje krzesło skończone?

Też go pocałowałam i objęłam.

– Jeszcze niezupełnie. I to nie jest twoje krzesło.

Rozmawialiśmy o krzesle Windsor, które robiłam na zamówienie klientki z Santa Barbara, do jej salonu wystroju wnętrz. Gdy tylko Owen je zobaczył – ciemny dłutowany wiąz; wysokie łukowate oparcie – uznał, że nie możemy go oddać. Że powinno być dla niego.

– Jeszcze zobaczymy – odparł.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Owen spojrzał, kto dzwoni, twarz mu pociemniała. Odrzucił połączenie.

– Kto to był? – spytałam.

– Avett. Później do niego oddzwonię.

Wyraźnie nie chciał z nim rozmawiać, ale nie mogłam tego tak zostawić. Widziałam przecież, że jest wściekły. I że to skutek telefonu, którego nie odebrał.

– O co chodzi?

– Zachowuje się trochę nierozsądnie. Nic poza tym.

– W związku z czym?

– Z IPO. To nic wielkiego.

Ale widziałam w jego oczach wściekłość i irytację. Jedno i drugie pojawiało się rzadko. Jedno i drugie ostatnio coraz częściej. No i oczywiście stał w mojej pracowni, a nie w swoim biurze.

Staralam się uważnie dobierać słowa, chciałam pomóc, ale nie zamierzałam mu dokładać. Nie musiałam pracować w biurze, nie miałam szefa, któremu bym podlegała – kogoś jak Avett Thompson, z kim na przykład bym się nie zgadzała. A jednak pragnęłam mu zakomunikować, że widzę, jak rośnie poziom jego stresu. Tymczasem to była tylko praca. Z mojego punktu widzenia zawsze mógł sobie znaleźć nową.

Zanim się odezwałam, telefon znowu zadzwonił, a na wyświetlaczu i tym razem pojawiło się „Avett”. Owen popatrzył, jakby zamierzał odebrać, zawiesił nad klawiszami palce. Ale jednak odrzucił po raz kolejny, po czym wsunął telefon do kieszeni.

Pokręcił głową.

– W kółko powtarzam to samo, ale nieważne. Avett nie chce tego słuchać. Musimy to wszystko uruchomić.

– Mój dziadek mawiał, że większość ludzi nie chce słyszeć rzeczy, dzięki którym będą lepiej pracować. Chcą słyszeć rzeczy, dzięki którym będzie im się pracowało łatwiej.

– I co radził robić w takich sytuacjach?

– Znaleźć innych ludzi. Na początek.

Przechylił głowę, przyglądając mi się.

– Zawsze wiesz, co mi powiedzieć. Jak ty to robisz?

– No, ekhm, to powiedzonko mojego dziadka, ale jasne...

Wziął mnie za rękę z szerokim uśmiechem. Jakby nic się nie stało albo jakby to jednak nie było tak ważne, jak wcześniej sądził.

– Dość już o tym – powiedział. – Chodźmy obejrzeć moje krzesło.

Zaczął ciągnąć mnie do drzwi, na podwórko i na taras, gdzie schło krzesło – świeżo polakierowane po szlifowaniu.



- Wiesz, że nie możesz mieć tego krzesła – przypomniałam. – Ktoś je zamówił. I zapłacił za nie mnóstwo pieniędzy.
- Powodzenia – odrzekł. – Prawo na pewno stoi po mojej stronie.
- A co ty wiesz o prawie? – spytałam z uśmiechem.
- Wiem na przykład, że dopóki siedzę na tym krześle, to nikt go nie zabierze.

## Skasuj całą historię

O dziesiątej rano w hotelowej kawiarni jest pełno ludzi, światła są przygaszone.

Siedzę przy barze, piję sok pomarańczowy, podczas gdy większość ludzi dookoła zaczyna poranne koktajle – mimozy, Krwawe Mary, szampana, Białych Rosjan.

Wpatruję się w rząd monitorów telewizyjnych, każdy jest nastawiony na inną stację z wiadomościami. Dzięki napisom dla niesłyszących wiem, że większość donosi o The Shop. PBS pokazuje ujęcia Avetta Thompsona prowadzonego w kajdankach. MSNBC zapowiedź numeru „Today” z wywiadem z Belle, w którym nazywa ona aresztowanie Avetta parodią sprawiedliwości. W CNN ciągle wieszczą zarzuty dla kolejnych osób, raz za razem. Wygląda to, jakby spełniały się słowa Grady’ego, że Owen wkrótce będzie miał więcej kłopotów. Że to coś, przed czym ucieka, go dopadnie.

To właśnie mnie dręczy, ilekroć myślę o moim mężu – że coś go dopadnie, dopadnie nas wszystkich, on tego nie powstrzyma. Zostawił mnie, żebym to powstrzymała.

Wyciągam notes i jeszcze raz analizuję, co Grady powiedział w czasie rozmowy telefonicznej – próbuję odtworzyć każdy szczegół, żeby wyłuskać to, co się gdzieś tam może kryje. Ciągle wracam do tego, jak powiedział, że Owen sam mógł usunąć swoje dane z systemów. I chociaż czuję się z tą myślą fatalnie, przymierzam się do tej hipotezy, szukam w niej informacji.

I wtedy coś sobie uświadamiam. Że są takie rzeczy, których nie jesteśmy w stanie wymazać, pewne rzeczy, które ujawniamy najbliższym, choćby mimowolnie.

To są rzeczy, które Owen niezamierzenie powiedział tylko mnie.

Więc robię kolejną listę. Listę wszystkiego, co wiem o jego przeszłości. Nie tamte nieprawdziwe fakty – Newton, Princeton, Seattle. Te inne, te niefakty: rzeczy, o których się dowiedziałam przypadkowo w trakcie wspólnych chwil, rzeczy, które wydawały się dziwne. Jak ten facet

z Roosevelt High School. Wyszukuję liceum Roosevelta i znajduję ich w całych Stanach Zjednoczonych osiemdziesiąt siedem. Żadne nie mieści się w pobliżu Massachusetts. Ale osiem jest w Teksasie, w San Antonio czy Dallas.

Daję temu spokój i wyteżam pamięć, skupiam się na tej nocy z Owenem w hotelu, ze świnką skarbonką na barze. I wtedy sobie coś uświadamiam w związku z tą świnką – coś, co wcześniej mi umknęło. Czy dobrze to zapamiętałam, czy z desperacji coś zmyślam? Wysyłam Jules esemesa z prośbą, by to dla mnie sprawdziła, i dalej myślę.

Przedzieram się przez to, co poznałam: anegdoty i historie, które Owen opowiadał mi późną nocą. Gdy byliśmy tylko we dwoje. Takich opowieści słucha tylko twoja druga połowa, świadek twojego życia.

Te historie, te, którymi się dzielił, gdy nawet nie był świadom, że się dzieli, nie mogą być nieprawdziwe. Przynajmniej nie wszystkie. W życiu w to nie uwierzę. W życiu nie uwierzę, chyba że zobaczę czarno na białym dowód swojej pomyłki.

Zaczynam je przywoływać i analizować, największe przeboje Owena: czas wyprawy z ojcem łódką wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, gdy miał dziesięć lat, jedyny raz, gdy był sam na sam ze swoim tatą przez kilka dni. Jak w ostatniej klasie liceum wyprowadzał psa swojej dziewczyny i pies uciekł, a on wyleciał z pierwszej pracy za to, że całe popołudnie szukał psa, zamiast przyjść na swoją zmianę. I jak się wymknął z kumplami na nocny seans Gwiazdnych wojen, a gdy w końcu wrócił do domu o trzeciej nad ranem, rodzice nie spali.

I to, co mi opowiadał o college'u, dlaczego tak bardzo pokochał inżynierię i technologię. Pierwszy rok studiów, Owen miał dziewiętnaście lat, wybrał kurs matematyki z wykładowcą, którego uwielbiał, kimś, kto jego zdaniem zdecydował o całej jego karierze. Chociaż wykładowca powiedział Owenowi, że w życiu nie miał gorszego studenta. Czy zdradził mi, jak się nazywał ten człowiek? Jakiś Tobias. Newton? Czy może profesor Newhouse? I czy nie używali jakiegoś przydomka?

Biegnę na górę, wpadam do pokoju i budzę Bailey – jedyną osobę, która może słyszała historię o tym wykładowcy więcej razy niż ja.

Ściągam z niej kołdrę i siadam na skraju łóżka.

– Śpię – mówi.

– Już nie śpisz.

Siada niechętnie.

– Co jest?

– Pamiętasz nazwisko wykładowcy taty? Tego ukochanego, z pierwszego roku?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Walczę z niecierpliwością, myśląc o tych wszystkich razach, gdy Bailey przewracała oczami, słuchając opowieści, która miała zdaniem Owena posłużyć dla niej za naukę. Przekonywał ją tym przykładem, że nie powinna rezygnować z czegoś, co jest dla niej ważne, że należy trzymać się planu.

– Znasz tę historię – naciskałam. – Ten wykładowca uczył jakiegoś cechowania i analizy globalnej. Twój tata uwielbiał o nim rozmawiać. A on mu powiedział, że w życiu nie miał gorszego studenta. Dzięki temu tata zaczął się bardziej starać. I wziął się za siebie.

Bailey zaczyna powoli kiwać głową, przypominając sobie.

– Ten facet, co wywiesił jego pracę semestralną, tak? Żeby zapamiętał, jak bardzo się poprawił?

– Tak!

– Czasami twoja pasja wymaga pracy i nie powinnaś się poddawać tylko dlatego, że napotykasz jakieś trudności. – Mówi to głosem Owena. – Czasami, dziecko, musisz ciężiej pracować, żeby zdobyć więcej.

– Tak, właśnie tak, ten! Chyba miał na imię Tobias, ale potrzebne mi też nazwisko. Błagam, powiedz, że je pamiętasz.

– Dlaczego?

– Proszę, przypomnij je sobie po prostu.

– Czasami mówił o nim po nazwisku. Przydomku od nazwiska. Ale zaczynało się na j... prawda?

– Może, nie wiem.

– Nie, nie... Cook... to było Cook. Więc może się nazywał Cooker? Albo Cookman?

Uśmiecham się, a mam ochotę roześmiać się w głos. Tak, ma rację. Już pamiętam. Dobrze wiedzieć, że błędziłam po manowcach.

– Co cię tak bawi? – pyta. – Przerażasz mnie.

– Nic, jest super. Tyle musiałam wiedzieć. Wracaj do spania.

– Nie chcę. Powiedz, do czego doszłaś.

Budzę telefon i wpisuję nazwisko do wyszukiwarki. Ilu Tobiasów Cookmanów może uczyć matematyki w jakimś college'u? A konkretniej cechowania i analizy globalnej?

I znajduję. Znajduję wykładowcę, który uczy matematyki teoretycznej. Ma dziesiątki akolitów i nagród za nauczanie. Sądząc po setkach zdjęć, jego wygląd zgadza się z opisem Owena. Zmarszczone czoło, głęboka bruzda między brwiami. I nie wiedzieć czemu na wielu fotografiach ma na sobie czerwone kowbojki.

Profesor Tobias Cook Cookman.

Nigdy nie wykładał na Princeton.

Ale od dwudziestu dziewięciu lat pracuje na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin.

# To przecież nauka

Tym razem bierzemy taksówkę.

Bailey wpatruje się w swoje dłonie nieruchomym wzrokiem. Wygląda na zszokowaną, delikatnie mówiąc. Ja też jestem oszołomiona, ledwie trzymam się w garści. Co innego, gdy prywatny detektyw insynuuje, że twój mąż zmienił nazwisko, że zmienił szczegóły swojego biogramu. Ale jeśli się okaże, że jesteśmy na dobrym tropie – jeśli Owen uczył się u profesora Cookmana – to będzie nasz pierwszy dowód, twardy dowód, że Owen skłamał na temat szczegółów swojego życia. Pierwszy dowód, że nie zawiódł mnie instynkt, że jego historia, ta prawdziwa, być może zaczyna się i kończy w Austin. Można by uznać, że to zwycięstwo: oto zbliżamy się do prawdy. Ale jeśli ta prawda oznacza coś, czego nie chcesz wiedzieć, to nie masz już pewności, czy zależy ci na tym zwycięstwie.

Taksówka zajeżdża pod Wydział Nauk Przyrodniczych – to kompleks budynków większy i bardziej rozległy niż cała moja szkoła sztuk pięknych, kampus i akademiki.

Mimo okoliczności jesteśmy pod wrażeniem, zwłaszcza gdy wysiadamy z auta i idziemy po trawniku do mostka prowadzącego do Instytutu Matematyki.

W budynku znajdują się instytuty matematyki, fizyki i astronomii UT. Ściana chwały dumnie obwieszcza, że z tego gmachu co roku wychodzą setki najlepszych studentów Ameryki. Należą do nich laureaci Nagród Nobla, Wolfa, Abela, Turinga i Medalu Fieldsa.

Do tej ostatniej grupy należy profesor Cookman.

Jedziemy schodami ruchomymi do gabinetu Cookmana, po drodze mijając wielkie plakaty z jego wizerunkiem. Na jednych ma ściągnięte brwi, na innych zmarszczone czoło.

Na plakacie widzimy napis „Teksascy naukowcy zmieniają świat”. I listę niektórych osiągnięć naukowego profesora Cookmana, niektóre z jego nagród. Zdobywca Medalu Fieldsa. Finalista Wolfa.

Stajemy pod jego gabinetem i Bailey szuka w telefonie zdjęcia ojca, najstarszego, jakie mamy przy sobie – z nadzieją, że profesor Cookman

zechce na nie spojrzeć.

To zdjęcie sprzed dziesięciu lat. Owen ściska Bailey po jej pierwszym przedstawieniu w szkole. Ona ma na sobie jeszcze kostium, tata dumnie ją obejmuje. Twarzy Bailey prawie nie widać spod bukietu kwiatów od ojca, gerber, goździków i lilii. Bukiet był większy od niej. Bailey wygląda zza niego z wielkim uśmiechem na buzi. Owen patrzy w obiektyw, szczęśliwy, roześmiany.

Ta fotografia teraz powoduje ból. Owen ma jasne i żywe oczy. Zupełnie jakby tu był. Zupełnie jakby mógł tu być.

Próbuję uśmiechnąć się pokrzepiająco do Bailey, gdy wchodzimy do środka. W sekretariacie siedzi za biurkiem studentka. Ma na sobie okulary w czarnych oprawkach i zajmuje się ocenianiem grubego stosu studenckich prac.

Nie podnosi wzroku, nie odkłada czerwonego długopisu. Ale odchrząkuje.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta, jakby to była ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

– Chciałybyśmy się zobaczyć z profesorem Cookmanem.

– To akurat oczywiste. A w jakiej sprawie?

– Mój ojciec był jego studentem – mówi Bailey.

– Profesor ma zajęcia – odpowiada kobieta. – Poza tym trzeba się umówić.

– Oczywiście, ale Bailey chce powiedzieć, że też pragnie zostać studentką. Uniwersytetu Tekszańskiego. Jak jej ojciec. A Nielon Simonson z rekrutacji sugerował, żeby weszła na dzisiejsze zajęcia profesora Cooka.

Podnosi wzrok.

– Kto z rekrutacji?

– Nielon? – twardo powtarzam imię, które właśnie wymyśliłam. – Powiedział, że jeśli Cook nie przekona Bailey do tych studiów, to już nikt. Mówił, żeby weszła na wykład.

Dziewczyna podnosi brwi. Przekonałam ją, używając przezwiska Cook.

– Hm, zajęcia już dość długo trwają, ale jeśli chcesz wejść na pozostałą część, chyba mogę cię zaprowadzić...

– Byłoby cudownie – odpowiada Bailey. – Dzięki.

Dziewczyna wznosi oczy do nieba, niezainteresowana.

– No to chodźmy – mówi.

Razem z nią opuszczamy gabinet, schodzimy na dół i stajemy pod wielką salą wykładową.

– Po wejściu znajdziecie się na froncie sali – wyjaśnia. – Nie zatrzymujcie się. Nie patrzcie na profesora Cookmana. Idźcie do schodów, na tyły auli. Jasne?

– Oczywiście. – Kiwam głową.

– Jeśli przerwiecie mu wykład, poprosi was o opuszczenie sali. Możecie mi wierzyć.

Otwiera drzwi, ja zaczynam jej dziękować, ale ona kładzie palec na ustach, by mnie uciszyć.

– Co powiedziałam?

Odchodzi, zamykając za sobą drzwi. A my zostajemy same.

Wpatrujemy się w zamknięte drzwi. I potem robimy, co nam kazała. Ze wzrokiem wbitym przed siebie wchodzimy na górę, na tyły sali wykładowej, mijając ponad osiemdziesięcioro słuchaczy.

Wskazuję miejsca pod samą ścianą, idziemy tam, usiłując zniknąć. Dopiero u celu odwracamy się twarzą do sali.

Profesor Cookman stoi z przodu, za niewielkim podestem. Wygląda na jakieś sześćdziesiąt lat, wzrostu metr siedemdziesiąt pięć, mimo tych czerwonych kowbojek, które mu chyba dodają kilka centymetrów.

Nikt nie odrywa od niego spojrzenia. Wszyscy są skupieni. Nikt nie szepcze do sąsiada. Nikt nie sprawdza poczty. Nie wysyła esemesów.

Gdy Cookman odwraca się, by zapisać coś na czarnej tablicy, Bailey nachyla się do mnie.

– Nielon Simonson? – szepcze. – Zmyśliłaś to?

– Jesteśmy tu czy nie?

– Owszem.

– Więc jakie to ma znaczenie?

Wydaje mi się, że jesteśmy bardzo cicho, ale ktoś w tylnych rzędach odwraca się, by na nas spojrzeć.

Co gorsza Cookman przerywa pisanie i też się odwraca. Wpatruje się w nas groźnie, a wszyscy robią to samo.

Zalewam się rumieńcem, spuszczam wzrok. Cookman milczy, ale ani drgnie. I tak przez dobrą minutę. Minutę, która trwa chyba całe wieki.

Na szczęście w końcu odwraca się do tablicy i podejmuje wykład.

W milczeniu obserwujemy salę. Nietrudno się zorientować, dlaczego wszyscy się tak skupiają na wykładowcy. Pomimo sylwetki Cookman jest



imponującym mężczyzną. Prowadzi wykład jak przedstawienie, skupiając na sobie uwagę słuchaczy. Może się go też boją. Do odpowiedzi bierze tylko tych studentów, którzy nie podnoszą ręki. Jeśli znają odpowiedź, odwraca wzrok, nie komentując. Jeśli student nie zna odpowiedzi, Cookman wpatruje się w winowajcę. Wpatruje się, aż staje się to krępujące, tak jak patrzył na nas. Dopiero potem wskazuje kogoś innego.

Zapisawszy na tablicy ostatnie równanie, oznajmia, że to koniec zajęć. Studenci opuszczają salę, my schodzimy po schodach do miejsca, gdzie on pakuje swoją torbę.

Można by pomyśleć, że nas nie widzi, bo dalej się pakuje. Nagle jednak się odzywa.

– Panie mają taki zwyczaj, że przeszkadzają w zajęciach? – pyta. – Czy mam się czuć wyróżniony?

– Profesorze Cookman – mówię – bardzo przepraszamy. Nie chcieliśmy, żeby nas pan usłyszał.

– Pani zdaniem to lepiej czy gorzej? Kim panie w ogóle są? I co robicie na moich zajęciach?

– Ja się nazywam Hannah Hall, a to Bailey Michaels.

Patrzy to na jedną, to na drugą, czekając na coś więcej.

– I?

– Szukamy informacji o pańskim byłym studencie – wyjaśniam. – Mamy nadzieję, że nam pan pomoże.

– A dlaczego miałbym to robić? Zwłaszcza dla młodych kobiet, które przerwały mi wykład.

– Bo chyba tylko pan może nam pomóc.

Wytrzymuje mój wzrok, jakby dopiero teraz mnie oceniał. Daję znak Bailey, która podsuwa Cookmanowi swój telefon z otwartym zdjęciem ojca.

Profesor sięga do kieszonki koszuli i wyciąga z niej okulary, po czym spogląda na wyświetlacz.

– To ten mój były student? – pyta. – Mężczyzna, który stoi obok pani na zdjęciu?

Bailey przytakuje w milczeniu.

Cookman przechyla głowę, bierze telefon do ręki, jakby naprawdę próbował sobie przypomnieć. Staram się mu pomóc.

– Jeśli prawidłowo odgadliśmy rok ukończenia studiów, to chodził na pańskie zajęcia dwadzieścia sześć lat temu – mówię. – Może pan sobie

przypomina jego nazwisko?

– Wiecie, że chodził na moje zajęcia dwadzieścia sześć lat temu? I nie znacie jego nazwiska?

– Znamy jego obecne nazwisko – wyjaśniam – ale nie znamy prawdziwego. To długa historia.

– Mam czas na streszczenie – mówi.

– To mój ojciec – odzywa się Bailey.

To pierwsze słowa, jakie wypowiedziała. Ale skuteczne. Cookman podnosi wzrok, patrzy jej w oczy.

– Jak do mnie trafiłyście? – pyta.

Zerkam, czy Bailey chce odpowiedzieć, ale ona znowu zamilkła. I wygląda na zmęczoną. Zbyt zmęczoną jak na szesnastolatkę. Patrzy na mnie i daje mi znak. Znak, żebym skoczyła na głęboką wodę.

– Wychodzi na to, że mój mąż zmyślił... zmyślił dużo szczegółów swojej przeszłości – mówię. – Ale opowiadał nam o panu, o wpływie, jaki pan miał na jego życie. Wspominał pana z wielką atencją.

Znowu patrzy na zdjęcie, wydaje mi się, że w jego oku coś błyska. Zerkam na Bailey, ona chyba odnosi takie samo wrażenie. Ale przecież to właśnie chcemy zobaczyć.

– Teraz używa nazwiska Owen Michaels – mówię. – Ale kiedy był pańskim studentem, nazywał się inaczej.

– Dlaczego zmienił nazwisko?

– To właśnie próbujemy ustalić.

– Hm, uczyłem wielu studentów i nie umiem powiedzieć, czy go znam.

– Jeśli to pomoże, to jesteśmy niemal pewne, że to był drugi rok pańskiej kariery.

– Z moich ostatnich doświadczeń wynika, że na jedno wychodzi.

Uśmiecha się, przyglądając mi się. I może dostrzega, z czym się mierzymy, bo łagodzi ton.

– Przykro mi, że nie umiem wam pomóc... – mówi. – Może spróbujcie w kadrach? Oni pewnie was pokierują we właściwą stronę.

– I o co miałybyśmy tam zapytać? – odzywa się Bailey.

Stara się nie stracić panowania nad sobą. Ale widzę, widzę, że kipi gniewem.

– Słucham? – pyta Cookman.

– Pytam, o co miałybyśmy ich zapytać. Jeśli mają akta studenta, który dziś używa nazwiska Owen Michaels, a kiedyś używał innego? Tej osoby,

która najwyraźniej rozpląnęła się w powietrzu?

– No... ekhm... masz rację. Pewnie nie będą mogli pomóc... Ale i ja nie mogę.

Oddaje Bailey telefon.

– Życzę wam powodzenia – mówi.

A potem zarzuca torbę na ramię i rusza do drzwi.

Bailey wpatruje się w komórkę. Widzę, że jest przerażona, przerażona i zrozpaczona, że profesor Cookman wychodzi, a my nic nie mamy w sprawie Owena. A myślałyśmy, że czegoś się dowiemy. Znalazłyśmy go. Wykładowcę Owena. Dotarliśmy tutaj, a nie zbliżyliśmy się do Owena ani kawałek. I może dlatego wołam za Cookmanem, nie zgadzam się, żeby tak po prostu wyszedł.

– Mój mąż był pańskim najgorszym studentem!

Cookman się zatrzymuje. Zatrzymuje się i odwraca, znowu stoi twarzą do nas.

– Co pani powiedziała? – pyta.

– Uwielbia opowiadać, jak się męczył na pańskich zajęciach, i jak się starał, żeby zdać egzamin semestralny, pan powiedział, że będzie trzymał w gabinecie jego egzamin w ramce, jako lekcję dla przyszłych pokoleń. Nie jako wskazówkę, co można osiągnąć dzięki staraniom, tylko żeby każdy sobie pomyślał „przynajmniej nie jestem aż tak zły”.

Milczy. Ja mówię dalej, żeby wypełnić ciszę.

– Może coś takiego robi pan z jakimś studentem co roku, zwłaszcza że to był początek pańskiej pracy, więc czy to naprawdę była dobra skala porównawcza? Ale to zadziało. Uwierzył panu. Nie dał się frustracji, tylko bardziej się starał. Żeby się przed panem wykazać.

Dalej milczy.

Bailey sięga do mojego ramienia, takim zwyczajnym gestem. Żeby dała mu spokój.

– On nic nie wie – mówi – musimy iść.

Jest dziwnie spokojna. Chyba wolałabym, żeby się złościła.

Ale profesor Cookman ani drgnie, choć mógłby sobie pójść.

– Rzeczywiście ją poprawiłem – odzywa się.

– Co? – pyta Bailey.

– Jego pracę. Oprawiłem ją.

Rusza w naszą stronę.

– Wykładałem dopiero drugi rok, byłem niewiele od nich starszy. Chciałem im pokazać, jaką mam władzę. Kiedyś w końcu żona mnie zmusiła, żebym to zdjął i wyrzucił. Powiedziała, że to grubiaństwo, żeby jakiś zasrany egzamin semestralny był pamiątką po studencie. Ja z początku tego tak nie postrzegałem. Ona jest ode mnie mądrzejsza. Długo trzymałem to na ścianie. Na studentów to działało odstraszająco, a o to chodziło.

– Nikt nie chciał być tak zły? – pytam.

– Mimo że im mówiłem, jaki ostatecznie był dobry.

Wyciąga rękę po telefon Bailey i patrzymy, jak Cookman usiłuje odtworzyć wspomnienia.

– Co zrobił? – pyta. – Twój ojciec?

Myślę, że Bailey poda mi jakąś skróconą wersję tego, co się stało w The Shop i z Avettem Thompsonem – i powie, że nic poza tym na razie nie wiemy. Nie wiemy, jaki jest jego udział w oszustwie i dlaczego nas z tym zostawił, z tą całą zagadką. Ale ona tylko kręci głową i mówi to, co najgorsze.

– Okłamał mnie.

Cookman kiwa głową, jakby to mu wystarczyło. Profesor Cookman. Tobias. Tobias Cook Cookman. Nagradzany matematyk. Nasz nowy sprzymierzeniec.

– Chodźcie ze mną.

## Niektórzy studenci się wyróżniają

Profesor Cookman zabiera nas do swojego gabinetu, gdzie nastawia kawę, a Cheryl, studentka za jego biurkiem, jest teraz o wiele dla nas miłsza. Włącza kilka komputerów na biurku Cooka, podczas gdy drugi student, Scott, zabiera się do przeglądania szafki katalogowej – a oboje uwijają się jak mróweczki.

Gdy Cheryl ładuje zdjęcie Owena na laptop profesora, Scott wyciąga ogromną teczkę, z trzaskiem zamyka szafkę, potem wraca do biurka.

– Tutaj są tylko prace sprzed dwa tysiące pierwszego roku. To są z roku akademickiego dwa tysiące jeden – dwa tysiące dwa.

– To po co mi je podajesz? Co mam z nimi zrobić?

Scott patrzy oniemiały, gdy Cheryl kładzie laptop na biurko profesora.

– Sprawdźcie w archiwum – poleca Cook. – A potem zadzwońcie do kadr i poproście o listę moich studentów z dziewięćdziesiątego piątego roku. I jeszcze z dziewięćdziesiątego czwartego i szóstego dla pewności.

Scott i Cheryl wychodzą z gabinetu z przydzielonymi zadaniami, Cook zagląda do laptopa, w którym zdjęcie Owena zajmuje cały ekran.

– A jakich problemów narobił sobie twój ojciec? Jeśli mogę spytać.

– Pracuje w The Shop – odpowiada Bailey.

– The Shop? To ten projekt Avetta Thompsona?

– Właśnie – dołączam. – Zrobił tam większość oprogramowania.

– Oprogramowania? – pyta profesor zaskoczony. – A to dziwne. Jeśli to ten sam człowiek, którego uczyłem, to bardziej go interesowała teoria matematyki. Chciał pracować na uniwersytecie. W środowisku akademickim. Programowanie to nie jest naturalna droga rozwoju dla takich osób.

„Możliwe, że dlatego się na to zdecydował – myślę. Może w ten sposób chciał ukryć swoją prawdziwą specjalizację – ta była niby pokrewna, ale na tyle inna, by nikt go tam nie szukał”.

– Czy jest podejrzany? – pyta Cook.

– Nie – odpowiadam. – Oficjalnie nie jest.

Cook ruchem ręki wskazuje Bailey.

– Wyobrażam sobie, że bez względu na wszystko chcesz odnaleźć ojca? Kiwa głową, a profesor odwraca się do mnie.

– I co ma z tym wspólnego zmiana nazwiska?

– To właśnie próbujemy rozszyfrować. Możliwe, że miał kłopoty jeszcze przed The Shop. Nie wiemy. Dopiero poznajemy te wszystkie rozbieżności pomiędzy tym, co nam powiedział, a...

– A prawdą?

– Właśnie.

Odwracam się do Bailey, żeby zobaczyć, jak ona sobie z tym radzi. Patrzy, jakby mówiła: „W porządku”. Oczywiście wcale nie jest w porządku, ale może pochwała ten sposób docierania do prawdy.

Profesor wpatruje się w monitor, chwilę się nie odzywa.

– Nie da się zapamiętać wszystkich studentów, ale jego pamiętam – mówi. – Chociaż miał dłuższe włosy. I był o wiele cięższy. Wygląda trochę inaczej.

– Ale nie całkowicie?

– Nie. Nie całkowicie.

Wyobrażam sobie, jak Owen chodzi po świecie, wyglądając tak, jak go opisuje profesor Cookman. Jako ktoś inny. Oglądam się na Bailey i widzę na jej twarzy, po jej minie, że ona robi to samo.

Profesor Cookman zamyka laptop i przechyla się nad biurkiem w naszą stronę.

– Słuchajcie, nie będę udawał, że sobie wyobrażam, jak się z tym wszystkim czujecie, ale powiem, cokolwiek to znaczy, że przez lata nauczania odkryłem jedną rzecz, która mnie uspokaja w takich chwilach jak dziś. Pochodzi ona z teorii Einsteina i dlatego brzmi lepiej po niemiecku.

– Chyba musi nam ją pan podać po angielsku – mówi Bailey.

– Einstein powiedział tak: „Jeśli teorie matematyczne opisują rzeczywistość, to nie ma w nich nic pewnego; a jeśli są pewne, to nie opisują rzeczywistości”.

Bailey przechyla głowę.

– Ciągle czekamy na angielski.

– Zasadniczo to znaczy, że gównie wiemy.

Bailey się śmieje – cicho, ale szczerze – i to śmieje się po raz pierwszy od kilku dni, odkąd to wszystko się zaczęło.

Z radości mam ochotę przeskoczyć przez biurko i uściskać profesora Cookmana.

Ale w tym momencie do gabinetu wracają Scott i Cheryl.

– Mamy spis słuchaczy z semestru letniego dziewięćdziesiątego piątego roku. W dziewięćdziesiątym czwartym miał pan dwa różne seminaria na ostatnim roku. A w dziewięćdziesiątym szóstym wyłącznie na studiach magisterskich. Wiosną dziewięćdziesiątego piątego uczył pan studentów pierwszych roczników. Więc to musiał być ktoś z tego okresu.

Cheryl triumfalnie podaje mu listę.

– W grupie były siedemdziesiąt trzy osoby – dodaje. – Pierwszego dnia osiemdziesiąt trzy, potem dziesięć odpadło. Zakładam, że nazwiska tej dziesiątki nie są panu potrzebne?

– Nie – przyznaje Cookman.

– Tak właśnie się spodziewałam, więc je wykreśliłam za pana – oznajmia, jakby znalazła cząstkę mniejszą od atomu. I w moim przekonaniu tak właśnie zrobiła.

Gdy Cookman przegląda listę, studentka odwraca się do nas.

– Na liście nie ma Owena. Ani żadnego Michaela.

– To nie dziwota – mówi profesor.

Nie odrywa oczu od listy, ale kręci głową.

– Przykro mi, ale nie przypominam sobie jego nazwiska – mówi. – Można by przypuszczać, że powinienem je znać, skoro przez tyle czasu miałem nad głową jego pracę.

– To było dawno temu – mówię.

– No ale jednak. Bardzo bym wam pomógł, gdybym choć tyle pamiętał, ale te nazwiska z niczym mi się nie kojarzą.

Profesor podaje mi listę, a ja ją biorę, wdzięcznie i szybko, zanim zmieni zdanie.

– Siedemdziesiąt trzy nazwiska to i tak o wiele lepiej niż miliard. Albo żaden punkt zaczepienia.

– O ile on jest na tej liście – zauważa Cookman.

– Tak, o ile.

Patrząc na wydruk, na siedemdziesiąt trzy nazwiska. W tym pięćdziesięciu mężczyzn. Bailey zagląda mi przez ramię, też chce zobaczyć. Musimy znaleźć sposób, żeby je jak najszybciej przeanalizować. Ale czuję nadzieję, że w końcu mamy punkt zaczepienia. Że jedno z tych nazwisk należy do Owena. Jestem tego pewna.

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem panu wdzięczna – mówię. – Bardzo dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że to pomoże.

Zbieramy się do wyjścia, wstaje też Cookman. Nieszczególnie mu spieszą do obowiązków służbowych. Teraz, kiedy już się na coś przydał, chętnie by się dowiedział czegoś więcej. Chyba ciekawi go, kim był Owen, jak doszedł do obecnego punktu, gdziekolwiek on jest.

Już ruszamy do drzwi, gdy Cookman nas zatrzymuje.

– Chciałbym powiedzieć... Nie wiem, co się z nim teraz dzieje, ale mogę powiedzieć, że wtedy był fajnym człowiekiem. I inteligentnym. Wszystko mi się już miesza, ale z tych pierwszych lat niektórych studentów pamiętam. Może dlatego, że na początku bardziej się staramy. Ale pamiętam. Pamiętam, że to był naprawdę porządny człowiek.

Odwracam się, miło mi, że słyszę coś o Owenie, coś, co pasuje do Owena, którego znam.

Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– To nie była całkiem jego wina. Ten główniany egzamin. Za bardzo się zajmował dziewczyną z grupy. I nie tylko on. W grupie, gdzie mężczyźni stanowili większość, ta dziewczyna bardzo się wyróżniała.

Serce mi się zatrzymuje. Bailey też się odwraca do Cookmana. Niemal czuję, że przestała oddychać.

Jedną z niewielu rzeczy, które Owen mówił o Olivii, w dodatku często to powtarzał, jedną z niewielu rzeczy, które Bailey wiedziała o swojej matce, to że ojciec zakochał się w niej w college'u. Mówił, że byli na ostatnim roku – że ona mieszkała obok niego. Czy to też było kłamstwo? Czy przeinaczył każdy najdrobniejszy szczegół, by nie dało się wyśledzić prawdziwej przeszłości?

– Czy ona... czy ona była jego dziewczyną? – pyta Bailey.

– Tego nie umiem powiedzieć. Pamiętam ją w ogóle tylko dlatego, że on twierdził, że właśnie przez nią powinęła mu się noga. Bo był zakochany. Wyłożył to wszystko w długim liście, a ja powiedziałem, że jeśli się nie poprawi, powieszę ten list obok jego pracy.

– To upokarzające – mówi Bailey.

– Najwyraźniej też skuteczne.

Patrząc na listę, przeglądam nazwiska kobiet. Jest ich trzynaście. Szukam Olivii, ale żadnej nie ma. Tylko że oczywiście pewnie wcale nie Olivii powinnam szukać.



– Wiem, że proszę o wiele, ale może pamięta pan jej nazwisko?

Nazwisko tej kobiety?

– Pamiętam, że była lepszą studentką niż pani mąż – mówi.

– Ale to chyba jak wszyscy?

Cookman kiwa głową.

– Tak, to też prawda.

## Czternaście miesięcy wcześniej

– Jak to jest? – spytał Owen. – Być mężatką?

– Jak to jest być mężem?

Siedzieliśmy we Frances, kameralnej restauracji w Castro, przy drewnianym stole, przy którym spożywaliśmy skromny obiad weselny. Dzień zaczął się od naszego ślubu w ratuszu. Ja miałam krótką białą sukienkę, Owen krawat i nowe converse'y. A na koniec byliśmy we dwoje, zbliżała się północ – dopiliśmy szampana, zdjęliśmy buty, a nasi goście już wyszli.

Należała do nich Jules i kilkoro znajomych Owena – Carl, Patty. I Bailey. Oczywiście, że Bailey. W rzadkim przypiływie wielkoduszności wobec mnie stawiała się w ratuszu punktualnie, a w restauracji została aż do pokrojenia tortu. Nawet się do mnie uśmiechnęła, zanim wyszła na noc do swojej przyjaciółki Rory. Miałam nadzieję, że w takim razie choć odrobinę cieszy się z tego dnia. Wiedziałam, że po części cieszy się z tego, że Owen pozwolił jej pić szampana.

Tak czy owak wygrywałam.

– Bycie mężem wydaje się całkiem fajne – powiedział Owen. – Choć nie mam pojęcia, jak się dziś dostaniemy do domu.

Roześmiałam się.

– To nie jest jakiś wielki problem.

– Nie – przyznał. – Zdarzają się większe.

Sięgnął po butelkę z szampanem, dolał sobie i dolał mnie. A potem odsunął krzesło i usiadł na moim, za mną. Oparłam się o niego i wzięłam głęboki oddech.

– Przeszliśmy długą drogę od drugiej randki, na którą nie pozwoliłaś nawet po siebie przyjechać – powiedział.

– Nic o tym nie wiem. Już wtedy miałam kręcka na twoim punkcie.

– No to osobliwie to okazywałaś. Po tamtym wieczorze nie miałem pojęcia, czy jeszcze cię kiedykolwiek zobaczę.

– Hm, zadawałaś dużo pytań.

– Musiałem się dużo o tobie dowiedzieć.

– I wszystkiego w ten jeden wieczór?

Wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że muszę się dowiedzieć o chłopcach niedoszłych...  
Tak bardzo nie chciałem do nich dołączyć.

Wyciągam rękę do tyłu, dotykam jego policzka – najpierw wierzchem dłoni, potem wewnętrzną stroną.

– To ci nie groziło.

– Chyba w życiu nie słyszałem nic piękniejszego.

– Ale to prawda.

I to była prawda. Od początku, od pierwszego dnia czułam, że Owen jest kimś więcej. Od tamtego spotkania w moim warsztacie. A teraz miałam już pewność. Nie chodziło o to, jak naturalnie się przy nim czułam (choć tak było) albo że czułam się przy nim pełniej niż w jakimkolwiek związku wcześniej. Nawet nie o to, że rozumieliśmy się nawzajem w ten niemal nieosiągalny sposób, którego nie da się wypracować: albo się pojawia, albo się go nie doczekasz – chodzi o taki stenograficzny styl komunikacji, gdy z samego spojrzenia możemy wyczytać, czego potrzebuje ta druga osoba: czas wyjść z imprezy; podejdź po mnie; daj mi trochę wytchnienia.

Chodziło po części o to wszystko i jeszcze o coś o wiele większego. Jak wyjaśnić, że znajdujesz w drugiej osobie to, czego szukałeś całe życie? Nazwać to zrzędzeniem losu? Zrzędzenie losu trąci uproszczeniem. To raczej znalezienie drogi do domu – gdzie dom jest miejscem, na które masz nadzieję w głębi duszy, miejscem, które sobie tylko wyobrazasz, bo nigdy w nim nie byłeś.

Dom. Gdy już myślałeś, że się go nie doczekasz.

Tym on był dla mnie. Tym właśnie.

Przysunął moją dłoń do ust i tak ją przytrzymał.

– No to jak... Odpowiedz mi na pytanie, jak to jest być mężatką?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Za wcześnie.

Roześmiał się.

– No dobra, niech będzie.

Wypiłam łyk szampana. I też się roześmiałam. No cóż, byłam szczęśliwa. Po prostu byłam szczęśliwa.

– Chyba masz trochę czasu na odpowiedź – powiedział.

– Resztę naszego życia?

– Mam nadzieję, że jeszcze dłużej.

## Jeśli wychodzisz za króla balu...

Siedemdziesiąt trzy nazwiska, w tym pięćdziesięciu mężczyzn.

Jeden z nich może być Owenem.

Idziemy szybko przez kampus do głównej biblioteki, w której najprawdopodobniej – zdaniem Cheryl – znajdują się księgi pamiątkowe poszczególnych roczników. Gdybyśmy dotarły do ksiąg z lat, gdy studiował tu Owen, miałybyśmy klucz do rozszyfrowania listy studentów. W księgach pamiątkowych są nie tylko nazwiska, ale też fotografie. Prawdopodobnie znajduje się wśród nich zdjęcie młodego Owena, jeśli robił na tej uczelni cokolwiek poza oblewaniem matematyki.

Wchodzimy do Biblioteki Perry’ego-Castanedy, która jest przeogromna – sześć pięter książek, map, kart i pracowni komputerowych – i kierujemy się do biurka dyżurnego bibliotekarki. Ona nas informuje, że aby zajrzeć do papierowych wersji ksiąg pamiątkowych z tak dawnego okresu, musimy złożyć zamówienie w archiwum, ale na komputerze mamy dostęp do wersji zdigitalizowanej.

Idziemy do pracowni na piętrze, niemal pustej, i siadamy przy dwóch komputerach w rogu. Otwieram księgi pamiątkowe z pierwszego i drugiego roku studiów Owena. A Bailey z trzeciego i czwartego. I tak ramię w ramię zaczynamy przeglądać studentów z grupy Cookmana, w kolejności alfabetycznej. Nasz pierwszy kandydat: John Abbot z Baltimore w stanie Maryland. Znajduję go na niewyraźnym zdjęciu z klubu narciarskiego. Nie bardzo wygląda na Owena – grube okulary, gęsta broda – ale trudno go wyeliminować na podstawie tego jednego zdjęcia. Kiedy googlujemy samo jego imię i nazwisko, dostajemy za dużo prawdopodobnych wyników, ale gdy dopisuję narciarstwo, znajduję Johna Abbota (urodzonego w Baltimore absolwenta UT), obecnie zamieszkałego w Aspen z partnerką i dwójką dzieci.

Z większą łatwością eliminujemy kolejnych kilku studentów: jeden ma metr pięćdziesiąt i kręcone rude włosy; drugi ma dwa metry i jest zawodowym baletmistrem mieszkającym w Paryżu; następny mieszka w Honolulu i startuje w wyborach do senatu stanowego.

Jesteśmy przy E, gdy dzwoni mój telefon. Wyświetla się „dom”. Przez sekundę wyobrażam sobie, że to Owen. Owen jest w domu i dzwoni powiedzieć nam, że już wszystko załatwił i musimy natychmiast przyjechać. Żeby nam całą tę sprawę wyjaśnił. Gdzie był i kim był, zanim go poznałam. I dlaczego to przemilczał.

Ale to nie Owen. To Jules.

Jules odpowiada na mojego wysłanego z hotelowego baru esemesa, w którym prosiłam, by poszła do mojego domu i znalazła świnkę skarbonkę.

– Jestem w pokoju Bailey – mówi, gdy odbieram.

– Ktoś był przed domem?

– Chyba nie. Na parkingu nie widziałam nikogo obcego i na pomostach też nie.

– Mogłabyś opuścić żaluzje, gdy tam jesteś?

– Zrobione.

Oglądam się na Bailey. Mam nadzieję, że pochłonięta księgami pamiątkowymi nie zwraca na mnie uwagi. Ale widzę, że jednak zerka, że chce wiedzieć, co to za telefon. Może na przekór rozsądkowi ma nadzieję, że ta rozmowa pomoże jej odzyskać ojca.

– I miałaś rację – mówi Jules. – Na boku jest napisane „Lady Paul”.

Oczywiście nie mówi dokładnie, o co chodzi. Że przyszła po świnkę skarbonkę, aczkolwiek nawet gdyby powiedziała, zabrzmiałoby to absolutnie niewinnie.

Nie wymyśliłam sobie tego. Niewielka notka na końcu testamentu Owena, wskazująca kuratora: L. Paul. Świnka w pokoju Bailey ma na boku wypisane swoje imię: Lady Paul, czarnymi literami, pod kokardą. Tę właśnie niebieską świnkę Owen zabrał, gdy się ewakuowaliśmy, z nią znalazłam go nocą w barze hotelowym. Myślałam, że kierował się sentymentem, ale myliłam się. On jej pilnował.

– Ale jest problem – mówi Jules. – Nie mogę jej otworzyć.

– Jak to nie możesz?! Rozbij ją młotkiem.

– Nie, nie rozumiesz, w środku jest jakby sejf. Stalowy. Muszę znaleźć coś, czym się włamię. Masz jakieś pomysły?

– Tak na zawołanie to nie.

– Dobra, jakoś sobie poradzę. A widziałaś wiadomości? Stawiają zarzuty Jordanowi Maverickowi.

Jordan jest dyrektorem operacyjnym The Shop. Prawą ręką Avetta i odpowiednikiem Owena od strony biznesowej firmy. Niedawno się rozwiódł i sporo czasu spędzał u nas. Zaprosiłam raz Jules na kolację, w nadziei, że między nimi zaiskrzy. Nie zaiskrzyło. Uznała, że on jest nudny. Moim zdaniem można by trafić gorzej – a może ja go tak nie widziałam.

– I na przyszłość – mówi Jules – żadnego swatania.

– Jasne.

W innym momencie byłaby to zachęta, której potrzebowałam, by ją zapytać o Maxa z pracy, zażartować, czy to on jest powodem, dla którego nie interesują jej randki. Ale w tej chwili myślę wyłącznie o tym, że Max ma informatora. I to informatora, który mógłby pomóc w sprawie Owena.

– A czy Max słyszał coś jeszcze, oprócz Jordana? – pytam. – Słyszał coś o Owenie?

Bailey przechyla ku mnie głowę.

– Nic konkretnego – odpowiada Jules. – Ale jego źródło w FBI mówi, że oprogramowanie już działa.

– Co to znaczy?

Ale sama wiem, co to znaczy. To znaczy, że Owen prawdopodobnie sądził, że uporał się z problemami. Prawdopodobnie sądził, że nie potrzebuje już planu awaryjnego. To znaczy, że kiedy Jules zadzwoniła z ostrzeżeniem, nie mógł jej uwierzyć. Nie mógł uwierzyć, że zostanie złapany, gdy jest tak blisko celu.

– Max do mnie pisze – mówi Jules. – Zadzwonię, jak znajdę jakiegoś kasiarza, dobra?

– Pewnie się nie spodziewałaś, że kiedykolwiek wypowiesz takie słowa.

Śmieje się.

– Bez kitu.

Żegnam się z nią i wracam do Bailey.

– To była Jules. Prosiłam, żeby coś sprawdziła w domu.

Kiwa głową. Nie pyta, czy mam coś do przekazania na temat jej ojca. Wie, że powiedziała bym jej, gdyby tak było.

– Jakież postępy? – pytam.

– Jestem przy H. Żadnych trafień.

– H to postęp.

– Tak. O ile on jest na liście.

Mój telefon znowu dzwoni. Myślę, że to Jules oddzwania, ale to jakiś numer mi nieznan – kierunkowy 512. Teksas.

– Kto to? – pyta Bailey.

Kręcę głową. Ale odbieram. Kobieta po drugiej stronie już do mnie mówi. Jest w połowie zdania, najwyraźniej sądziła, że odebrałam.

– Baraże wewnętrzne – słyszę. – Trzeba było je też uwzględnić. Baraże wewnętrzne.

– Kto mówi?

– Elenor McGovern. Z kościoła episkopalnego. Chyba znalazłam rozwiązanie zagadki z tym ślubem, na którym była pani pasierbica. Sophie, nasza wieloletnia parafianka, ma syna, który gra w futbol w UT-Austin. Sophie ogląda wszystkie mecze. Była tu dziś, pomagała przy śniadaniu dla nowego parafianina, i pomyślałam, że dobrze będzie ją spytać, czy coś mi nie umknęło. I ona powiedziała, że tamtego lata Longhorni mieli serię baraży wewnętrznych.

Brakuje mi oddechu.

– I one się odbywały na stadionie? Jak regularne rozgrywki?

– Jak regularne rozgrywki. Zwykle przy pełnych trybunach. Ludzie przychodzą, jakby to był normalny mecz. Ja nie za bardzo się interesuję futbolem, więc nie przyszło mi to do głowy.

– Ale przyszło pani do głowy, żeby ją spytać, to już super.

– No może. A na pewno super jest to, co powiem. Zestawiłam daty tych baraży w okresie, gdy jeszcze byliśmy otwarci. Jeden ślub pasuje do ostatnich baraży sezonu dwa tysiące osiem. Tak żeby mogła w nim uczestniczyć pani pasierbica. Ma pani coś do pisania? Powinna pani to zanotować.

Elenor jest z siebie dumna, i słusznie. Może znalazła drogę do Owena – do zagadki, co Owen robił w Austin tamtego dnia, tyle lat po dyplomie. I dlatego była z nim Bailey.

– Zapisuję – mówię.

– To był ślub pary Reyes i Smith. Mam tu wszystkie informacje. Odbył się w południe. Nie jest podane, gdzie zorganizowano przyjęcie, ale nie tutaj.

– Elenor, to cudowne. Nie wiem, jak pani dziękować.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Sięgam do Bailey po wydruk z listą studentów Cookmana. No i tak: nie ma na niej żadnego Reyesa, ale jest Smith.



Katherine. Katherine Smith. Wskazuję to Bailey, a ona szybko wstukuje do wyszukiwarki ksiąg pamiątkowych. Dziesięć trafień.

Może byli przyjaciółmi – albo ona była dziewczyną Owena, tą zapamiętaną przez profesora Cookmana. I Owen przyjechał do miasta na jej ślub. Przywiózł rodzinę na ślub dawnej koleżanki. Gdybym ją odnalazła, może rzuciłaby jakieś światło na tożsamość Owena.

– Elenor, czy ona miała na imię Katherine?

– Nie, nie Katherine. Chwileczkę... Panna młoda miała na imię... Andrea. I... tak, o, właśnie, Andrea Reyes i Charlie Smith.

Ach, więc nie chodzi o samą Katherine, ale może to jakaś krewna Charliego. To by się nadal jakoś wiązało. Chcę to przekazać Bailey, ale ona już otworzyła stronę o kole dyskusyjnym i jego przewodniczącej Katherine „Kate” Smith.

I pojawia się zdjęcie.

Zdjęcie grupowe całego koła dyskusyjnego. Siedzą na wysokich stołkach w niewielkim, staromodnym barze, raczej koktajlbarze niż pubie: drewniane krokwie, ceglane ściany, butelki bourbona ustawione rzędem. Na blacie lampy podświetlające te bourbony i ciemne butelki wina nad nimi.

Napis pod zdjęciem mówi: „Przewodnicząca koła dyskusyjnego Katherine Smith świętuje wygraną w mistrzostwach stanowych w rodzinnym barze, Never Dry z koleżankami (od lewej):...”.

– Bez kitu! – woła Bailey. – To może być ten bar. Tam gdzie było wesele.

– Co masz na myśli?

– Nic nie mówiłam, ale jak wczoraj byłyśmy w Magnolia Cafe i zadawałaś mi te wszystkie pytania, przypomniałam sobie, że byłam na weselu w jakimś barze. Albo raczej w jakiejś małej restauracji. Ale potem pomyślałam, że chyba na siłę się czegoś chwytam... czegokolwiek, więc machnęłam na to ręką. Nawet o tym nie wspominałam. Ale ta knajpa ze zdjęcia, ten bar Never Dry, wygląda jak tamten.

Zakrywam mikrofon i patrzę na Bailey, która wskazuje rozgorączkowana, niemal z niedowierzaniem. Wskazuje na adapter w rogu, dziwny dowód.

– Poważnie mówię – podkreśla. – To ten bar. Poznaję go.

– Są miliony podobnych barów.

– Wiem. Ale pamiętam z Austin dwie rzeczy i jedną z nich jest ten bar.

I wtedy Bailey powiększa zdjęcie. Twarze dyskutantek są teraz bardziej czytelne, w tym twarz Katherine. Widać ją dokładnie.

Milkniemy. Bar już nie ma znaczenia. Nawet Owen nie ma znaczenia.

Liczy się tylko ta twarz.

Nie przypomina kobiety, którą znam jako matkę Bailey. Kobiety, którą – co ważniejsze – Bailey zna jako swoją matkę. Olivii. Olivii o rudych włosach, z dziewczęcymi piegami. Trochę podobnej do mnie.

Ale kobieta, która patrzy na nas ze zdjęcia – ta Katherine „Kate” Smith – wygląda jak Bailey. Dokładnie jak Bailey. Ma te same ciemne włosy. Te same pełne policzki. I przede wszystkim te same płomienne oczy – raczej oceniające niż urocze.

Mogłoby to być zdjęcie Bailey.

Ona nagle wyłącza ekran, jakby nie mogła już tego znieść. Jakby ją przerosło to zdjęcie, ta twarz tak podobna do jej twarzy. Ogląda się na mnie, zastanawiając się, co teraz zrobię.

– Znasz ją? – pyta.

– Nie. A ty?

– Ja też nie. Nie!

– Halo? – przypomina o sobie Elenor. – Jest pani tam jeszcze?

Zasłaniam cały czas dłonią komórkę, ale Bailey ją słyszy. Słyszy jej pytania zadane przenikliwym głosem. Od nich spina się jeszcze bardziej. Prostuje ramiona. Podnosi ręce do włosów, odgarnia je za uszy.

Nie jestem z tego dumna, ale rozłączam się z Elenor.

I zwracam się twarzą do Bailey.

– Musimy tam iść – mówi. – Natychmiast. Do tego baru... Never Dry.

Już wstaje, już sięga po swoje rzeczy.

– Bailey, posłuchaj... Wiem, że jesteś zdenerwowana, rozumiem. Ja też.

Jeszcze nie powiedziałyśmy tego na głos, nie wyartykułowałyśmy, kim prawdopodobnie jest Katherine Smith. Bailey się tego boi, ale też ma na to nadzieję.

– Omówmy to choć przez chwilę – proszę. – Moim zdaniem najwięcej szans mamy z tą listą słuchaczy. Zostało nam czterdziestu sześciu mężczyzn i będziemy miały odpowiedź, kim był twój ojciec.

– Może. Ale nie na pewno.

– Bailey...

Kręci głową. Nie siada.

– Ujmę to inaczej – mówi. – Ja idę do tego baru już teraz, zaraz. A ty możesz iść ze mną albo możesz mnie tam puścić.

Stoi i czeka. Nie biegnie. Czeka, patrzy, co zrobię. Jakbym miała jakiś wybór.

– Idę z tobą, oczywiście.

Po czym wstaję. I razem wychodzimy z biblioteki.

## Bar Never Dry

Jedziemy taksówką, Bailey całą drogę do Never Dry zagryza dolną wargę. Zupełnie jakby miała teraz taki tik nerwowy, strzela oczami na boki, przerażona i zdenerwowana.

Słyszę pytania, których nie artykułuję, ale nie chcę na nią naciskać. Nie mogę też jednak siedzieć i patrzeć, jak ona cierpi, więc w telefonie obsesyjnie szukam Katherine „Kate” Smith i Charliego Smitha – szukam jakiegokolwiek informacji, którą mogłabym jej dać. Żeby ją choć trochę ukoić.

Niestety, informacji jest o wiele za dużo. Smith jest nazwiskiem zbyt powszechnym, nawet jeśli dodać frazy „UT Austin”, „urodzona w Austin”, „mistrzyni debaty”. Znajduję setki wyników i zdjęć – żadne nie przedstawia Katherine, którą widziałyśmy w bibliotece.

I wtedy wpadam na pomysł. Dopisuję Andreę Reyes oraz Charliego Smitha i wreszcie coś mam.

Na Facebooku znajduję profil właściwego Charliego Smitha. To absolwent Uniwersytetu Teksasńskiego w Austin z dwa tysiące drugiego roku, zrobił licencjat z historii sztuki, potem dwa semestry architektury i odbył staż w firmie zajmującej się architekturą krajobrazu w Austin.

A potem nic, żadnych posad.

Żadnych informacji ani zdjęć od dwa tysiące dziewiątego roku.

Ale jest podane, że jego żoną jest Andrea Reyes.

– To tutaj – mówi Bailey.

Wskazuje za okno na niebieskie drzwi okolone winoroślą. Można by je przeoczyć. Napis „Never Dry” widnieje na niewielkiej mosiężnej tabliczce. Naprzeciwko jest West Sixth Street, po jednej stronie kawiarnia, po drugiej zaułek.

Wyskakujemy z taksówki, a gdy odwracam się, by zapłacić taksówkarzowi, zauważam, że widać stąd nasz hotel po drugiej stronie Lady Bird Lake. Czuję dziwną chęć, by jednak to wszystko rzucić i wrócić do hotelu.

A tymczasem Bailey podchodzi do otwartych niebieskich drzwi.

Dzieje się ze mną coś dziwnego. Może to instynkt macierzyński. Bez namysłu chwytam ją za ramię.

– Co robisz?! – pyta.

– Ty tu zaczekasz.

– Co?! Nie ma mowy.

Myślę gorączkowo, bo chyba nie mogę jej powiedzieć prawdy. „A jeśli tam wejdziemy i zobaczymy tę Katherine Smith? Jeśli ojciec jej ciebie odebrał? Jeśli ona będzie chciała odebrać cię mnie?” Taka właśnie myśl jako pierwsza przychodzi mi do głowy.

– Nie chcę, żebyś tam wchodziła – mówię. – Mamy większą szansę zdobyć informacje, jeśli ciebie tam nie będzie.

– Nie przekonałaś mnie, Hannah – mówi.

– A może to? Nie wiemy, do kogo ten bar należy. Nie wiemy, kim są ci ludzie, czy nie są niebezpieczni. Wiemy tylko tyle, że prawdopodobnie twój ojciec cię stąd zabrał, a jak go znam, to skoro tak zrobił, to chciał cię chronić. Prawdopodobnie chciał cię chronić przed kimś. Nie możesz wejść do środka, póki się tego nie dowiemy.

Stoi spokojnie. Patrzy na mnie nieszczęśliwa, ale milczy.

Wskazuję kawiarnię obok. Sprawia wrażenie spokojnej, wręcz pustej po popołudniowym szczycie.

– Wejdz tam i zamów sobie ciastko, okej?

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo nie mam ochoty na żadne ciastko.

– Więc zamów sobie kawę i dalej pracuj nad listą Cookmana. Może znajdziesz kogoś jeszcze. Ciągle daleka droga przed nami.

– Nie podoba mi się ten plan.

Wyciągam listę z torby. Podaję jej.

– Przyjdę po ciebie, jak tu się coś wyjaśni.

– Niby co? Dlaczego tego nie powiesz po prostu? – pyta. – Dlaczego nie powiesz na głos, czego się tam spodziewasz?

– Pewnie mam ten sam powód co ty, żeby tego nie mówić na głos.

To ją przekonuje. Kiwa głową.

A potem wyjmuję mi z ręki listę studentów i idzie do kawiarni.

– Ale nie siedź tam za długo, dobra?

Otwiera drzwi kawiarni i znika w środku w obłoku fioletu.

Oddycham z ulgą. I otwieram drzwi Never Dry. Za nimi widzę kręcone schody prowadzące w górę do oświetlonego dyskretnie korytarza i drugich niebieskich drzwi, też otwartych.

Wchodzę do niewielkiego lokalu. Pustego. Są tu klonowe krokwie i ciemne, mahoniowe, obite pluszem siedziska wokół małych stolików. Nie wygląda to na knajpkę w studenckim mieście. Kameralne wejście, zaciszne wnętrze. Bardziej kojarzy się z nielegalną knajpką z czasów prohibicji – niedostępną dla postronnych, seksowną, dyskretną.

Za barem nikt nie stoi. Jedynym śladem ludzkiej obecności są zapalone na blacie świece i Billie Holiday leżąca ze starego adaptera.

Podchodzę do baru, rozglądam się po półkach w głębi, pełnych mocnych alkoholi i gorzkich wódek. Na jednej stoi pełno fotografii w srebrnych ramkach, do tego kilka wycinków prasowych, też oprawionych. Na kilku widać Kate Smith, często z tym samym chudym, ciemnowłosym mężczyzną. Nie jest to Owen. Ciemnowłosego na paru zdjęciach występuje sam. Nachyliłam się nad barem i próbuję odczytać, co jest w tych wycinkach. Widzę tam na zdjęciu Kate w sukni wieczorowej i chudego w smokingu. W towarzystwie starszej od nich pary. Odczytuję zdjęcia z podpisu: Meredith Smith, Kate Smith. Charlie Smith...

I nagle słyszę kroki.

– Witam...

Odwracam się i widzę Charliego Smitha. Chudego mężczyznę ze zdjęć. Ma na sobie świeżą koszulę, w rękach trzyma karton szampana. Wygląda starszej niż na zdjęciach. Nie jest już taki chudy. Ciemne włosy siwieją, skóra jest zniszczona, ale to na pewno on. Kimkolwiek jest dla Bailey. Kimkolwiek Bailey jest dla Kate.

– Jeszcze zamknięte – mówi. – Zwykle zaczynamy podawać bliżej osiemnastej...

Wskazuję na wejście.

– Przepraszam bardzo, drzwi były otwarte – wyjaśniam. – Nie chciałam się tak wdzierać...

– Nie ma problemu, może pani usiąść przy barze i zerknąć na kartę koktajli. Ja mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

– Super.

Odstawia szampana na bar i uśmiecha się do mnie miło. Z trudem odwzajemniam ten uśmiech. Niełatwo znosić obecność obcego człowieka pod tyłoma względami podobnego do Bailey – kolor włosów, skóry, ten sam uśmiech, niewielki wzrost i dołeczek w policzku.

Wskakuję na stołek, podczas gdy mężczyzna wchodzi za bar i zaczyna rozpakowywać szampana.

– Mogę pana o coś popytać? Jestem w Austin nowa i chyba trochę się pogubiłam. Szukam kampusu. Dojdę stąd na piechotę?

– Jasne, jeśli ma pani jakieś czterdzieści pięć minut. Pewnie łatwiej wziąć ubera, jeśli się pani spieszy. A dokładnie gdzie pani chce trafić?

Przypominam sobie jego biogram.

– Na Wydział Architektury.

– Naprawdę?

Nie jestem dobrą aktorką, więc wygłaszanie kłamstwa lekkim tonem dużo mnie kosztuje. Ale się opłaca. Wzbudziłam jego zainteresowanie, właśnie na to miałam nadzieję. Charlie Smith: koło czterdziestki, prawie architekt, żonaty z Andream Reyes. W jego ślubie wzięła udział Bailey i Owen.

– Dawno temu studiowałam tam jakiś czas – mówi.

– No proszę, jaki świat jest mały. – Rozglądam się, żeby się trochę uspokoić, zbieram myśli. – Ten wystrój to pański projekt? Wspaniały.

– Nie bardzo. Trochę tu pozmieniałem, jak przejąłem interes. Ale to, co najważniejsze, zostało bez zmian.

Rozpakowuje ostatnią butelkę i opiera się o bar.

– Pani jest architektką? – pyta.

– Architektką krajobrazu. I staram się o posadę wykładowczyni. Tymczasową, bo jedna z wykładowczyń jest na macierzyńskim. Ale mam iść na obiad z kilkoma osobami z wydziału, więc jestem pełna nadziei.

– To może coś dla kurazu? Czego by się pani chciała napić?

– Zdam się na pana.

– O, to ryzykowne. Zwłaszcza gdy mam mało czasu.

Odwraca się i lustruje swoje zasoby, sięga po butelkę z niewielką ilością bourbona. Patrzą, jak przygotowuje kieliszek martini z lodem, bitterem i cukrem. Potem powoli dopełnia bourbonem. Na koniec dodaje kawałek skórki pomarańczowej.

Podsuwa mi kieliszek.

– Specjalność lokalu – mówi. – Bourbon po dawnemu.

– Wygląda tak ładnie, że szkoda go pić.

– Mój dziadek kiedyś sam robił bittery. Teraz zwykle ja je robię. Rzadko mam na to czas, ale jednak jest różnica.

Upijam drinka, który jest aksamitny, lodowaty i mocny. Idzie mi do głowy.

– A więc to bar rodzinny?

– Tak. Pierwszym właścicielem był mój dziadek. Chciał mieć lokal, w którym mógłby grać w karty z kumplami.

Wskazuje elegancki boks w rogu z tabliczką „rezerwacja”. Nad nim wisi trochę czarno-białych zdjęć, w tym zdjęcie sporej grupy mężczyzn siedzących w tym właśnie boksie.

– Spędził za barem pięćdziesiąt lat, zanim ja przejąłem biznes.

– O ho, ho, niesamowite. A pański ojciec?

– Co z moim ojcem?

Zauważam to – jaki czujny się robi na wzmiankę o ojcu.

– Zastanowiło mnie, że jedno pokolenie ominęliście... Nie chciał tego lokalu?

Odpnęła się, pytanie wydaje mu się jednak niewinne.

– Nie do końca tak było. Lokal należał do dziadka od strony matki, a ona zdecydowanie nie chciała... – Wzrusza ramionami. – A ja potrzebowałem pracy. Moja żona, teraz już była żona, właśnie się wtedy dowiedziała, że jest w ciąży z naszymi bliźniakami, więc musiałem przerwać studia.

Śmieję się z trudem, starając się nie reagować na wieść o dzieciach. Zastanawiam się, jak podrażnić temat, skupić rozmowę na żonie, na ślubie. Skierować ją na temat, na którym mi zależy. Na Kate.

– O, może dlatego wydaje mi się pan znajomy – mówię. – Wiem, że to brzmi dziwnie, ale mam wrażenie, że się kiedyś spotkaliśmy.

Przechyliła głowę z uśmiechem.

– Tak?

– Nie, to znaczy... wydaje mi się, że już tu kiedyś byłam, w barze, jeszcze za czasów college’u.

– A więc to Never Dry wygląda znajomo?

– Tak, to pewnie raczej tak. Byłam z koleżanką na konkursie pikantnych sosów. Ona robiła zdjęcia dla lokalnej gazety...

To pewnie dobre posunięcie: dołożyć trochę prawdy.

– I tak mi się coś zdaje, że przyszliśmy tu wtedy. Ten bar jest nietypowy.

– To na pewno niewykluczone. Festiwal odbywa się niedaleko stąd. – Odwraca się i wyciąga butelkę sosu Shonky Sauce Co. Purple Hot. – To zwycięzca z dziewiętnastego roku. Dodaję go do szalowej Krwawej Mary...

– Aż się prosi sprawdzić.



– To na pewno drink dla śmiałków – żartuje.

Mobilizuję siły przed odważnym krokiem.

– Jeśli dobrze pamiętam, pracowała tu przeurocza barmanka. Dała nam mnóstwo wskazówek, gdzie mamy jeść. Pamiętam ją, miała długie czarne włosy. Właściwie była do pana trochę podobna.

– A to dużo pani pamięta.

– Może sobie trochę pomogę.

Wskazuję na półkę ze zdjęciami. Na fotografię Kate.

– Może to była ona – mówię.

Podąża za moim wzrokiem i kręci głową.

– Nie, to niemożliwe.

Zaczyna wycierać bar, milczy. I teraz powinnam odpuścić. Teraz bym odpuściła, gdybym nie szukała prawdy o Kate Smith.

– Dziwne. Przysięgłabym, że to ona. Jesteście krewnymi?

Podnosi na mnie wzrok, w jego oczach nie ma już uniku, jest irytacja.

– Zadaje pani dużo pytań.

– Wiem, przepraszam. Nie musi pan odpowiadać. To niemiły zwyczaj.

– Zadawanie zbyt wielu pytań?

– Myślenie, że ludzie chcą odpowiadać.

Jego twarz łagodnieje.

– Nie, w porządku. To moja siostra. A sprawa jest delikatna, bo jej nie ma już z nami...

Jego siostra. Powiedział, że to jego siostra. I że już jej nie ma. Coś do mnie nagle dociera. Jeśli to matka Bailey, to ona ją straciła. Od dawna żyje ze świadomością, że straciła matkę, ale to będzie coś zupełnie innego. Straci ją zaraz po tym, jak się o niej dowie. I dlatego teraz mówię szczerze:

– Bardzo mi przykro. Naprawdę.

– Tak, dziękuję.

Nie chcę już drążyć tematu Kate, nie teraz. Jak stąd wyjdę, mogę sprawdzić rejestr zgonów. U kogoś innego mogę się dowiedzieć więcej.

Wstaję do wyjścia, ale Charlie przegląda półkę i znajduje konkretne zdjęcie. Jest na niej Charlie i ciemnowłosa kobieta, a także dwóch chłopców w strojach Texas Rangers.

– Może to była moja żona Andrea – mówi. – Ta za barem. Całe lata tu pracowała. Jak ja byłem w szkole, brała więcej zmian niż ja.

Podaje mi zdjęcie. Przyglądam się widocznym na niej osobom, miłej rodzinie, byłej już żonie uśmiechającej się do aparatu.

– Pewnie tak – mówię. – Dziwne, prawda? Nie pamiętam, gdzie mam klucz do pokoju, a jej twarz pamiętam.

– Nie oddaję mu zdjęcia.

– Cudowni ci pańscy chłopcy.

– Dziękuję. Superdzieciaki. Ale muszę dostawić nowe zdjęcie. Na tym mieli pięć lat, a teraz mają jedenaście, czyli jak sami by powiedzieli, są w sumie dorośli.

Jedenaście. Aha. To by się zgadzało niemal dokładnie z datą ślubu. Andrea musiała zajść w ciążę krótko przed ślubem lub krótko po nim.

– Od rozwodu trochę robią ze mną, co chcą. Myślą, że ustąpię im we wszystkim, żeby tylko być fajnym tatą... – Śmieje się. – Za często im się udaje.

– No i chyba dobrze.

– Tak. – Wzrusza ramionami. – Pani ma dzieci?

– Jeszcze nie. Ciągle szukam odpowiedniego faceta.

To prawdziwsze, niżbym chciała. A Charlie się uśmiecha, pewnie się zastanawiając, czy to miało być zaproszenie. Uznaję, że to właściwy moment, by zadać pytanie, na które najbardziej pragnę odpowiedzi.

Zwlekam, myślę, jak je zadać.

– Chyba muszę już lecieć, ale może wrócę, jeśli wcześniej skończę.

– Zdecydowanie. Proszę przyjść, będziemy świętować.

– Albo opłakiwać.

– Albo opłakiwać – przytakuje.

Wstaję i już mam wyjść, serce mi bije jak oszalałe.

– Wie pan... mam jeszcze takie dziwne pytanie. Mogę zadać? Zanim wyjdę? Pan pewnie zna dużo miejscowych?

– O wiele za dużo. Co chce pani wiedzieć?

– Szukam takiego faceta... Jak tu byliśmy przed laty, poznałyśmy go... Mieszkał w Austin, pewnie dalej mieszka. A moja przyjaciółka strasznie się w nim zakochała.

Patrzy na mnie zaintrygowany.

– Okej...

– W tej chwili ona właśnie ma za sobą koszmarne rozwód i ciągle o nim myśli. Ja wiem, to brzmi głupio, ale skoro tu już jestem, myślałam, żeby

go odszukać. Ona na pewno by się ucieszyła. Coś między nimi iskrzyło. To było dawno, ale wiadomo...

– Jak się nazywa? Co prawda niełatwo zapamiętuję nazwiska.

– A twarze?

– A twarze o wiele lepiej.

Sięgam do kieszeni po telefon i wyświetlam zdjęcie Owena. To samo zdjęcie, które pokazałyśmy profesorowi Cookmanowi – to, które Bailey miała w telefonie, to, o którego przesłanie ją prosiłam. Twarz Bailey zasłonięta kwiatami, Owen uśmiecha się zadowolony.

Charlie spogląda na wyświetlacz.

I wszystko dzieje się szybko. Zrzuca mój telefon, trzaska nim o bar. Wychyla się i zbliża swoją twarz do mojej. Nie dotyka mnie, ale jest blisko.

– Myślisz, że to zabawne? – pyta. – Kim jesteś?

Kręcę głową przerażona.

– Kto cię przysłał?

– Nikt.

Przypiera mnie do ściany – niemal mnie dotyka ramieniem.

– Zadzieras z moją rodziną! Kto cię przysłał?

– Odsuń się od niej!

Oglądam się – w drzwiach stoi Bailey. W jednym ręku trzyma listę studentów, w drugim kawę.

Wygląda na przerażoną. A co więcej, wygląda na wściekłą, jakby w razie potrzeby miała rzucić w Charliego stołkiem.

On patrzy, jakby ujrział ducha.

– O cholera – mówi.

Odsuwa się powoli ode mnie. Biorę głęboki oddech, jeszcze jeden, moje serce trochę zwalnia.

Dziwnie znieruchomieliśmy. Bailey i Charlie patrzą na siebie, ja odrywam się od ściany. Każde z nas stoi najwyżej pół metra od drugiego, ale żadne ani drgnie. Ani się nie przysuwa, ani nie odsuwa.

– Kristin? – mówi Charlie.

Gdy nazywa ją tym imieniem, choć go nie znam, moje serce martwieje.

– Nie jestem Kristin – mówi Bailey łamiącym się głosem.

Kręci głową.

Podnoszę z podłogi moją komórkę. Działa, chociaż ekran jest pęknięty. Jeszcze działa. Mogę zadzwonić na alarmowy. Mogę ściągnąć pomoc.

Przesuwam się odrobinę w stronę Bailey.

„Chroń ją”.

Charlie podnosi ręce w górę, w geście kapitulacji, gdy stoję przy Bailey, za sobą mamy niebieskie drzwi. I zaraz za nimi schody i ulicę.

– Słuchajcie... przepraszam. Mogę to wyjaśnić. Usiądźcie tylko. Na chwilę. Możecie usiąść? Chciałbym pogadać, jeśli pozwolicie.

Wskazuje stolik, przy którym wszyscy możemy zająć miejsca. I odsuwa się od nas, jakby dawał nam wybór. I widzę, że tak jest naprawdę – widzę to w jego oczach. Wygląda raczej na smutnego niż wściekłego.

Ale twarz ma ciągle czerwoną, a ja pamiętam ten gniew sprzed chwili, ten strach. Skądkolwiek się wzięły, Bailey nie może tu być, przynajmniej dopóki nie wiem, co tego człowieka z nią łączy.

Więc odwracam się do niej. Odwracam się, chwytam ją za koszulkę na plecach i ciągnę brutalnie do drzwi.

– Biegiem! – krzyczę.

I jakbyśmy uzgodniły, co robić, zbiegamy po schodach, wypadamy na ulicę i pędzimy jak najdalej od Charliego Smitha.

## Uważaj, czego sobie życzysz

Mknijemy Congress Avenue.

Chcę wrócić do naszego pokoju w hotelu po drugiej stronie mostu. Musimy się gdzieś schować, pozbierać myśli, muszę wykombinować, jak wydostać się z Austin jak najszybciej.

– Co tam się stało? – pyta Bailey. – Czy on chciał ci coś zrobić?

– Nie wiem. Nie sądzę.

Trzymam dłoń na jej plecach, steruję nią w tłumie – pary, grupki studentów, wyprowadzaczka psów z tuzinem podopiecznych. Idę zakosami, tak żeby Charliemu utrudnić ewentualny pościg – temu człowiekowi, który się tak wściekł na widok zdjęcia Owena.

– Szybciej, Bailey.

– Szybciej już nie mogę – protestuje. – Co mam zrobić? Jest tłok.

To prawda. Bliżej mostu powinno się przeredzić, a tymczasem tłum jest większy, wszyscy się tłoczą, żeby wejść na wąski chodnik.

Odwracam się, żeby sprawdzić, czy Charlie nas nie śledzi. I widzę go – kilka przecznic za nami. Porusza się szybko, ale jeszcze nas nie zobaczył. Rozgląda się na boki.

Congress Avenue Bridge jest dokładnie przed nami. Chwytam Bailey pod ramię i docieramy na chodnik. Ale piesi przemieszczają się powoli, jeśli w ogóle, cały chodnik jest zablokowany. To dobrze, bo łatwiej się ukryć między nimi, natomiast mam wrażenie, że wszyscy znieruchomieli.

Większość ludzi przestała się przesuwać, wpatrują się w jezioro.

– Czy ci ludzie zapomnieli, jak się chodzi? – pyta Bailey.

Jakiś człowiek w hawajskiej koszuli, niosący duży aparat – zapewne turysta – odwraca się i uśmiecha do nas. Najwyraźniej sądzi, że Bailey skierowała swoje pytanie do niego.

– Czekamy na nietoperze – wyjaśnia.

– Nietoperze?

– Tak, nietoperze. Żerują codziennie mniej więcej o tej porze.

Nagle rozlega się okrzyk:

– Są!

Setki, tysiące nietoperzy wzbijają się w niebo spod mostu. Tłum wiwatuje, gdy zwierzęta suną wstęgą – w ogromnej zorganizowanej chmarze.

Gdyby Charlie stanął teraz za nami, nie zauważyłabym go. Zniknął. Albo myśmy zniknęły. Dwie turystki patrzące, jak nietoperze lecą przez piękną teksańską noc.

Podnoszę wzrok na niebo zalane nietoperzami, które się poruszają jakby w tańcu. Wszyscy wiwatują, gdy chmara rozplywa się w mroku.

Facet w hawajskiej koszuli wymierza obiektyw w niebo i robi im zdjęcia.

Przesuwam się obok niego i macham na Bailey.

– Musimy iść – mówię. – Zanim tu utkniemy.

Bailey przyspiesza. Wreszcie docieramy na koniec mostu, gdzie obie ruszamy biegiem. Zatrzymujemy się dopiero na długim podejździe naszego hotelu. Przed samym wejściem, gdzie portier otwiera nam drzwi.

– Zaczekaj – mówi Bailey. – Musimy się zatrzymać na chwilę.

Opiera dłonie na kolanach, dyszy. Nie zgadzam się. Jesteśmy tak blisko bezpiecznego wejścia do hotelu, tak blisko ustronia naszego pokoju.

– A jeśli ci powiem, że go pamiętam?

Oglądam się na portierów, którzy rozmawiają ze sobą. Chcę, żeby na mnie spojrzeli, żeby się skupili, jakby mogli nas obronić.

– Jeśli powiem, że go znam, Charliego Smitha?

– A znasz?

– Pamiętam, jak się do mnie zwracał tym imieniem. Kristin. Jak to usłyszałam, nagle sobie przypomniałam. Jak to możliwe, że człowiek zapomina takie rzeczy?

– Zapominamy różne rzeczy, jeśli nikt nam nie pomaga ich zachować.

Bailey cichnie. Milczy. I nagle to mówi, te słowa, których żadna z nas nie chce wyartykułować.

– Myślisz, że ta Kate jest moją matką, prawda?

Na słowie „matka” się zacina, jakby parzyło.

– Tak myślę. Może się mylę, ale tak, tak myślę.

– Dlaczego ojciec miałby mnie okłamać na temat mojej matki?

Zagląda mi w oczy. Nawet nie próbuję odpowiadać. Nie mam dobrego wyjaśnienia.

– Nie jestem pewna, komu mam ufać – dodaje.

– Mnie. Tylko mnie.

Zagryza wargę, jakby mi wierzyła albo chociaż zaczynała wierzyć – i na nic więcej nie mogę w tej chwili liczyć. Bo nie można ludziom powiedzieć, że mają ci zaufać. Musisz im pokazać, że mogą. A ja nie miałam na to czasu.

Portierzy się nam przyglądają. Nie wiem, czy słuchają, ale patrzą. Czuję, jak bardzo chcę zabrać stąd Bailey. Z Austin. Natychmiast.

– Chodź – mówię.

Nie kłóci się ze mną. Mijamy portierów i wchodzimy do lobby, ruszamy do wind.

Wchodzimy do kabiny i nagle ktoś się do nas dosiada – młody mężczyzna. Wydaje mi się, że dziwnie patrzy na Bailey. Ma na sobie szarą kamizelkę włóczkową, w uszach kolczyki. Wiem, że to paranoja myśleć, że nas śledzi. Wiem. Jeśli patrzy na Bailey, to na pewno z powodu jej urody.

Ale nie ryzykuję. Wyciągam nas z windy i z łomoczącym sercem prowadzę na klatkę schodową.

Otwieram drzwi, by przepuścić Bailey.

– Tędy – mówię.

– Dokąd idziemy? – pyta. – Mieszkamy na ósmym piętrze.

– Ciesz się, że nie na dwudziestym.

## Półtora roku wcześniej

– Jeszcze coś powinnam wiedzieć? – spytałam. – Zanim ten samolot wystartuje?

– Mówisz metaforycznie czy konkretnie? Interesuje cię mechanika samolotu? Bo ja chwilę pracowałem w Boeingu, kiedy się przenieśliśmy do Seattle.

Lecimy z Nowego Jorku do San Francisco, dla mnie to podróż w jedną stronę. The Shop zafundował nam obojgu pierwszą klasę, bo Owen był w Nowym Jorku służbowo, w ramach przygotowań do IPO. Przedłużył pobyt, żeby pomóc mi w wyprowadzce.

Ostatnie kilka dni pakowaliśmy moje mieszkanie i pracownię. A po wylądowaniu wprowadzę się do jego domu. Jego i Bailey. Teraz będzie to również mój dom. A niedługo zostanę jego żoną.

– Pytam, co ominąłeś. Na swój temat.

– Dopóki możesz wsiąść? Jeszcze nie zaczęliśmy kołowania. Pewnie mamy dużo czasu...

Ściska moją rękę, żeby zrobić unik. Ale ja jestem cały czas nerwowa. Nagle za bardzo.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta.

– Opowiedz mi o Olivii.

– Dużo ci już mówiłem o Olivii.

– Niezupełnie. Mam wrażenie, że znam tylko jakieś ogólniki. Studencka miłość, nauczycielka, pochodziła z Georgii.

Nie dodałam reszty... że stracił ją w wypadku samochodowym. Że od tego czasu z nikim się nie związał na poważnie.

– Skoro mam istnieć w życiu Bailey, chcę więcej wiedzieć o jej matce.

Przechylił głowę, jakby się zastanawiał, od czego zacząć.

– Kiedy Bailey była mała? Wszyscy pojechaliśmy na wycieczkę do Los Angeles. W tamten weekend z zoo uciekł tam tygrys. Młody tygrys, który był w zoo dopiero jakiś rok. Nie uciekł po prostu ze swojej klatki, ale z całego terenu. Znaleziono go na podwórku pewnego domu w Los Feliz.



Nikommu nie zrobił krzywdy. Położył się pod drzewem i zasnął. Olivie zafascynowała ta historia i pewnie dzięki temu poznała ją w całości.

– A jak wyglądała całość? – spytałam z uśmiechem.

– Rodzina, na której podwórku tygrys uciął sobie drzemkę, kilka tygodni wcześniej była w zoo i dwóch synów wpadło w obsesję na jego punkcie. Jeden chłopiec płakał, że musi go opuścić, nie rozumiał, dlaczego nie może go zabrać ze sobą. Jak wyjaśnić, że tygrys trafił do domu chłopca? Przypadek? Tak uznali zoolodzy. Rodzina mieszkała dość blisko zoo. Ale zdaniem Olivii to był dowód, że czasami znajdujesz drogę do miejsca, którego pragniesz najbardziej.

– Bardzo mi się podoba ta historia.

– Olivia też by ci się podobała. – Uśmiechnął się i spojrzał za okno samolotu. – Jej nie dało się nie kochać.

Ścisnęłam go za ramię.

– Dziękuję.

Odwrócił się do mnie.

– Czujesz się lepiej?

– Niezupełnie.

Uśmieł się.

– Co jeszcze byś chciała wiedzieć?

Myślałam, o co chcę poprosić – nie o opowieść o Olivii. Nawet nie o Bailey. W każdym razie nie do końca.

– Chyba... chyba chcę, żebyś to głośno powiedział.

– Co takiego?

– Że postępujemy słusznie.

Tyle ośmieliłam się powiedzieć o tym, co najbardziej mnie martwiło. Odkąd straciłam dziadka, nie należałam do żadnej rodziny. A i z dziadkiem nie bardzo tworzyliśmy rodzinę. Raczej we dwoje brnęliśmy przez świat, tylko ja i on. Na jego pogrzebie po raz ostatni widziałam swoją matkę. W tej chwili nasze kontakty ograniczały się do jej telefonów w moje urodziny (albo gdzieś w ich okolicy).

Teraz czekało mnie coś innego. Po raz pierwszy miałam wchodzić w skład prawdziwej rodziny. Kompletnie nie wiedziałam, jak się to robi właściwie, jak się zdać na Owena, jak pokazać Bailey, że może na mnie polegać.

– Postępujemy słusznie – powiedział Owen. – Inaczej się nie da. Przysięgam ci na wszystkie swoje świętości, że tak właśnie czuję.

Kiwnęłam głową uspokojona. Bo wierzyłam mu. I tak naprawdę się nie denerwowałam, przynajmniej nie nim. Wiedziałam, jak bardzo go pragnę, jak bardzo chcę z nim być. Chociaż nie wiedziałam o nim jeszcze wszystkiego, wiedziałam, że jest dobry. Denerwowałam się całą resztą.

Nachylił się i pocałował mnie w czoło.

– Nie będę dupkiem, który mówi, że w pewnym momencie musisz zaufać drugiej osobie.

– Będziesz takim dupkiem, który mówi to bez słów?

Samolot cofnął się, potem odwrócił i powoli ruszył na pas startowy.

– Na to wygląda – przyznał.

– Wiem, że mogę ci ufać – powiedziałam. – Ufam ci. Ufam ci najbardziej na świecie.

Splótł swoje palce z moimi.

– W znaczeniu metaforycznym czy dosłownym?

Spojrzałam na nasze palce, takie splecione, akurat w momencie, gdy wzbijaliśmy się w powietrze. Wpatrywałam się w nie, czerpiąc z nich pokrzepienie.

– Mam nadzieję, że na jedno wychodzi – odparłam.

# Dobry Prawnik

W pokoju zamykam za nami drzwi na blokadę.

Rozglądam się, nasze rzeczy leżą w nieładzie, walizki stoją otwarte.

– Zaczniij się pakować – mówię. – Wrzucaj po prostu wszystko do walizki, za pięć minut wychodzimy.

– Dokąd idziemy?

– Wynajmiemy samochód i jedziemy do domu.

– Dlaczego samochodem?

Wolę nie mówić całej reszty. Że nie chcę jechać na lotnisko. Że się boję, że będą nas tam szukać. Kimkolwiek są. Że nie wiem, co zrobił jej ojciec, ale wiem, kim jest. I każdy, kto na niego reaguje tak, jak ten Charlie, to człowiek, któremu nie możemy ufać. Musimy przed nim uciec.

– I dlatego już wyjeżdżamy. Zbliżamy się... – Urywa. – Nie chcę wyjeżdżać, dopóki tego nie rozgryziemy.

– Rozgryziemy, przysięgam, tylko nie tutaj. Tutaj jesteś prawdopodobnie w niebezpieczeństwie.

Chce się spierać, ale podnoszę dłoń. Rzadko jej mówię, co ma robić, więc wiem, że postępując tak teraz, ponoszę klęskę. Niemniej jednak... Ona musi słuchać. Bo musimy wyjechać. Już powinniśmy wyjeżdżać.

– Bailey... – zaczynam. – Nie mamy wyboru. Nie rozumiemy, co się dzieje.

Patrzy na mnie zaskoczona. Może tym, że mówię jej prawdę, bez ogródek. Może ma już dość przekonywania mnie, że to błąd jechać do domu. Nie mogę rozszyfrować jej wyrazu twarzy. Ale kiwa głową i już się nie spiera, więc uznaję, że ją przekonałam.

– Dobra – mówi. – Spakuję się.

– Dziękuję.

– Okej.

Zaczyna zbierać ubrania, ja wchodzę do łazienki i zamykam drzwi. Patrę w lustro, na swoją zmęczoną twarz. Oczy mam zaczerwienione i podkrążone, skórę bladą.

Spryskuję twarz wodą i oddycham głęboko, żeby serce mi się uspokoiło – żeby uspokoiły się te szalone myśli płaczące mi się po głowie, z których jedna właśnie się przebiła na powierzchnię. W co ja nas wpakowałam?

Co wiem? Co muszę wiedzieć?

Sięgam do kieszeni po telefon. Zacinam palec na stłuczonym ekranie, drobiny szkła wbijają mi się w skórę. Znajduję numer Jacka i wysyłam esemesa.

Odpisz mi, proszę, na to jak najszybciej. Katherine „Kate” Smith. To jej nazwisko panięskie. Brat Charlie Smith. Austin. Odnośnik do urodzin córki w wieku Bailey. Kristin. Austin. Poszukaj aktu małżeństwa i aktu zgonu. Nie będę pod telefonem.

Kładę komórkę na podłodze, żeby ją rozwalić. Choć to jedyny sposób, żeby Owen się z nami skontaktował. I wszyscy inni. A jeśli moje podejrzenia są słuszne, nie chcę do tego dopuścić. Chcę się wydostać z Austin. Chcę uciec przed Charliem Smithem i kimkolwiek, kto z nim będzie.

Ale coś nie daje mi spokoju, coś, co chcę pamiętać, zanim się rozłączę ze światem.

Co mnie tak dręczy? Co powinnam znaleźć? Nie Kate Smith, nie Charliego Smitha. Coś innego.

Podnoszę telefon i jeszcze raz szukam Katherine Smith, przy tak popularnym nazwisku uzyskuję tysiące linków. Niektóre zdają się dotyczyć właściwej Katherine, ale to tylko złudzenie: wykładowczyni historii sztuki po Uniwersytecie Tekszańskim z Austin; szefowa kuchni z Lake Austin; aktorka, która wygląda trochę jak Kate ze zdjęć w barze. Klikam na ten link i ukazuje mi się zdjęcie aktorki w sukni wieczorowej.

I wtedy sobie przypominam: to, co staram się pamiętać, co uderzyło mnie w Never Dry.

Wycinek, który zauważyłam.

Było tam zdjęcie Kate w sukni wieczorowej. Kate w sukni, Charlie we fraku i obok nich para starszych ludzi. Meredith Smit. Nicholas Bell. Nagłówek „Nicholas Bell odbiera nagrodę Texas Star”. I jego nazwisko zostało powtórzone pod zdjęciem.

Nicholas Bell. Mąż Meredith Smith. Ona była na innym zdjęciu, ale on nie. Dlaczego był tylko na tym jednym? Dlaczego jego nazwisko wydaje mi się znajome?

Wyszukuję je i już wiem.

Oto jak się zaczęła ta historia.

Młody przystojny stypendysta prezydencki z El Paso w Teksasie jako jeden z pierwszych absolwentów swojego liceum poszedł do college'u, a co dopiero mówić o Uniwersytecie Tekszańskim w Austin. A co dopiero o studiach prawniczych.

Nie pochodził z bogatej rodziny, ale to nie pieniądze były dla niego motywacją, żeby zostać prawnikiem. W dzieciństwie nie zawsze wiedział, skąd weźmie następny posiłek, ale i tak odrzucił wszelkiego rodzaju oferty pracy w Nowym Jorku i San Francisco i został obrońcą z urzędu w mieście Austin. Miał dwadzieścia sześć lat. Był młodym ideowcem, właśnie się ożenił ze szkolną miłością, pracownicą socjalną, która chciała mieć piękne dzieci, ale na pięknym domu (wówczas) jej nie zależało.

Miał na imię Nicholas, ale szybko zyskał przydomek Dobry Prawnik, zajmował się sprawami, których nikt nie chciał, pomagał oskarżonym, którzy nie zostaliby sprawiedliwie potraktowani przy kimś, kto się mniej przejmował.

Nie jest jasne, jak to się stało, że Nicholas został złym prawnikiem.

Nie jest jasne, jak to się stało, że został najbardziej zaufanym adwokatem jednego z największych syndykatów przestępczych Ameryki.

Organizacja miała swoją siedzibę w Nowym Jorku i w Południowej Florydzie, a jej najważniejsi bossowie mieszkali w takich miejscach jak Fisher Island czy plaże South Beach. Grali w golfa, nosili garnitury od Brioniego i mówili sąsiadom, że pracują w ochronie. Tak działał nowy porządek. Cicho. Skutecznie. Bezwzględnie. Ich ludzie zabezpieczali teren w kilku podstawowych dziedzinach – wymuszenia, lichwiarstwo, narkotyki – a jednocześnie wchodzili w bardziej wyszukane źródła dochodów, takie jak międzynarodowy hazard online czy oszustwa maklerskie na Wall Street.

Przed wszystkim jednak rozkręcili biznes oksykodonowy, zanim konkurencja dostrzegła jego potencjał. I kiedy konkurencja czerpała zyski z tradycyjnych źródeł (heroina, kokaina), ta organizacja stała się największym przemytnikiem oksykodonu w Ameryce Północnej.

A oto jak Nicholas znalazł się na ich orbicie. Jeden z młodych współpracowników organizacji narobił sobie kłopotów w Austin, rozprowadzając oksykodon na Uniwersytecie Tekszańskim. Nicholas dopilnował, by ten człowiek nie poszedł do więzienia.

Przez następne trzydzieści lat walczył w imieniu tej organizacji – a dzięki jego wysiłkom w osiemnastu sprawach o morderstwo, dwudziestu ośmiu o przemyt narkotyków i sześćdziesięciu jeden o wyłudzenie i oszustwo zapadły wyroki uniewinniające albo nierozstrzygające.

Był nieoceniony i dzięki temu stał się bogaty. Ale gdy DEA i FBI powiązały kolejne sprawy, wzięły go na celownik. On nie miał żadnych wątpliwości, że znajdą cokolwiek, co można by mu zarzucić. Był po prostu oddanym adwokatem.

Aż coś poszło nie tak. Jego ukochana córka szła ulicą w drodze z pracy, ulubionej pracy, do domu. Pracowała w Tekszańskim Sądzie Najwyższym – rok z okładem po dyplomie, młoda matka. Szła do domu po długim tygodniu pracy, gdy uderzył w nią samochód. Kierowca uciekł z miejsca zdarzenia.

Wyglądałoby to na przeciętny wypadek samochodowy tego typu, tylko że doszło do niego na ustronnej uliczce niedaleko jej domu w Austin, w biały dzień, w piątkowe popołudnie. A piątkowe popołudnia Nicholas spędzał w domu swojej córki, doglądając wnuczki. Spędzali czas tylko we dwoje. To był jego ulubiony moment w tygodniu – odbierał wnuczkę z zajęć muzycznych i szedł z nią na huśtawki do parku, parku odległego o przecznicę od miejsca, w którym zginęła jego córka. Więc to on ją znalazł. Więc on to zobaczył.

Jego klienci twierdzili, że nie mają nic wspólnego z wypadkiem, mimo że właśnie przegrał ważną dla nich sprawę. I wydawało się, że to prawda. Mieli swój kodeks honorowy. Nie mścili się na rodzinach swoich ludzi. A jednak ktoś to zrobił. W ramach zemsty. Jako ostrzeżenie. Spekulowano, że może to członkowie innej organizacji, którzy chcieli sobie zapewnić jego usługi.

To wszystko nie miało znaczenia dla zięcia Nicholasa. On winił tylko teścia. Ponieważ do wypadku doszło w piątkowe popołudnie, był przekonany, że byli w to wplątani pracodawcy teścia, w taki czy inny sposób. A poza tym winił teścia za powiązania z ludźmi, którzy sprowadzili taką tragedię na rodzinę.

Rzecz jasna Dobry Prawnik nie chciał, by jego córce stała się krzywda. Zawsze był wspaniałym ojcem i śmierć córki go zdruzgotowała, ale to dla zięcia nie miało znaczenia. A zięć wiedział o różnych sprawach. O sprawach, które Dobry Prawnik mu powierzał z przykazaniem, że nie może tego nikomu mówić.

I dlatego zięć mógł zostać świadkiem koronnym przeciwko teściowi, stał się głównym świadkiem w sprawie, która zaprowadziła teścia do więzienia, zadając jednocześnie organizacji potężny cios – zarzuty postawiono ostatecznie osiemnastu jej członkom. Dobry Prawnik poszedł ich śladem.

Zięć i jego córeczka, która zachowała tylko kilka wspomnień o mamie – i o dziadku – zniknęli po procesie i nikt już nigdy o nich nie słyszał.

Dobry Prawnik nazywał się Daniel Nicholas Bell.

Jego zięć – Ethan Young.

Córeczka Ethana miała na imię Kristin.

Rzucam telefon na ziemię i miażdżę go. Jednym szybkim ruchem wdeptuję go mocno w podłogę, z niespotykaną dotąd siłą.

I otwieram drzwi łazienki. Chcę zawołać Bailey, zgarnąć nasze rzeczy i opuścić Austin. Nie za pięć minut, nawet nie za pięć sekund, tylko teraz.

– Bailey, musimy natychmiast się stąd wynieść – mówię. – Weź tylko to, co masz już spakowane. Idziemy.

Ale w pokoju nikogo nie ma.

– Bailey?

Serce mi łomocze, sięgam po komórkę, żeby do niej zadzwonić, żeby do niej napisać. I przypominam sobie, że właśnie ją zniszczyłam. Nie mam telefonu.

Wybiegam więc na korytarz – jest pusty, widzę tylko wózek sprzątaczkowy. Mijam go w biegu, pędzę do wind, do schodów. Nie ma jej tam. Nikogo nie ma. Zjeżdżam windą na dół, mam nadzieję, że zeszła do baru coś zjeść. Wpadam do kolejnych restauracji, do Starbucksa. Bailey nigdzie nie ma. Nigdzie.

Człowiek podejmuje setki decyzji. W kółko. Nie powinno być tak, że te, które podejmujesz bez namysłu, są kluczowe: idziesz do pokoju hotelowego, ryglujesz drzwi. Myślisz, że nic ci nie grozi. A potem idziesz do łazienki. Idziesz do łazienki i wierzysz, że szesnastolatka zostanie na łóżku, zostanie w pokoju, bo gdzie miałyby pójść?

Tylko że ona jest przerażona. Tylko że powiedziała ci, że nie chce wyjeżdżać z Austin.

Więc dlaczego uwierzyłaś, że wyjedzie bez oporu?

Dlaczego uwierzyłaś, że cię posłucha?

Pędem wracam do windy, biegnę korytarzem. Jestem na siebie wściekła, że zniszczyłam telefon, że nie mam jak do niej napisać. Że nie

mogę jej namierzyć aplikacją.

– Bailey, błagam, odezwij się!

Wchodzę do pokoju i rozglądam się raz jeszcze – jakby ona mogła się gdzieś ukrywać na tych sześćdziesięciu metrach kwadratowych. Przeszukuję szafę, sprawdzam pod łózkami, w nadziei, że leży tam skulona i płacze. Że chciała pobyć sama. Że jest nieszczęśliwa, ale bezpieczna. O tak! Nieszczęśliwa i bezpieczna.

Otwierają się drzwi. Przez sekundę czuję ulgę. Jeszcze nigdy nie czułam takiej ulgi jak teraz, że Bailey wróciła, myślę, że musiałam ją minąć, gdy szaleńczo przeszukiwałam hotel, a ona po prostu zeszła na dół po lód albo po picie. Poszła zadzwonić do Bobby’ego. Znalazła papierosa i wyszła zapalić. Cokolwiek, cokolwiek.

Ale to nie Bailey.

To Grady Bradford.

Stoi w swoich wytartych dżinsach i bejsbolówce tyłem do przodu. I głupiej wiatrówce.

Przewierca mnie wściekłym wzrokiem, ręce ma skrzyżowane na piersi.

– No to teraz na pewno wszystko już pani spieprzyła – mówi.



## CZĘŚĆ TRZECIA

W zbutwiałym drewnie rzeźbić się nie da.  
Konfucjusz

## Kiedy byliśmy młodzi

Siedziba Urzędu Szeryfa Federalnego w centrum Austin znajduje się przy bocznej ulicy, jej okna wychodzą na inne budynki – o tej porze większość z nich jest zamknięta i pogrążona w ciemności. Na parkingu nie ma prawie żadnych pojazdów. Ale gabinet Grady’ego – podobnie jak gabinety jego współpracowników – jasno oświetlony tętni życiem.

– Podsumujmy to jeszcze raz – mówi Grady.

Siedzi na krawędzi biurka, a ja krążę po pokoju. Wiem, co o mnie myśli, ale nie jest mi to do niczego potrzebne. Nikt mnie nie ocenia surowiej niż ja sama. Bailey zniknęła. Nie ma jej. Jest nie wiadomo gdzie, osamotniona.

– W jaki sposób nam to pomoże w poszukiwaniu Bailey? – pytam. – Jeśli mnie pan nie aresztuje, pójdę jej szukać.

Ruszam do wyjścia, ale Grady zeskakuje z biurka i zastępuje mi drogę.

– Szuka jej w mieście ośmiu funkcjonariuszy – mówi. – W tej chwili musi pani wszystko ze mną przeanalizować. Jeśli chce pani pomóc w poszukiwaniach, tak właśnie trzeba zrobić.

Wytrzymuję jego spojrzenie, ale ustępuję. Wiem, że ma rację.

Podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz, jakby to mogło mi się na coś przydać – na przykład dostrzegłabym gdzieś na ulicy w dole Bailey. Nie wiem, na kogo patrzę – na jakieś tłumy ludzi przetaczające się przez wieczorne Austin. W świetle skrawka księżyca wydaje mi się jeszcze bardziej przerażające, że Bailey krąży gdzieś pomiędzy nimi.

– A jeśli on ją porwał? – mówię.

– Nicholas?

Kiwam głową, w głowie mi się kręci. To wszystko, co teraz o nim wiem, przyprawia mnie o obłęd – obsesyjnie myślę o tym, jaki jest niebezpieczny, do czego Owen się posunął, żeby przed nim uciec. Żeby trzymać córkę z dala od świata Nicholasa. I myślę o tym, że muszę ją odzyskać, za wszelką cenę.

„Chroń ją”.

– To mało prawdopodobne – mówi Grady.

– Ale nie wykluczone?

– Chyba nic nie jest wykluczone, odkąd ją pani przywiozła do Austin. Sama szukam pocieszenia, bo Grady najwyraźniej nie chce mi go dać.

– Nie zdołałby znaleźć nas tak szybko...

– Nie, pewnie nie.

– A pan jak nas znalazł?

– No cóż, na pewno nie pomógł mi w tym pani poranny telefon. Ale potem zadzwonił do mnie pani adwokat, Jake Anderson z Nowego Jorku. Powiedział, że jest pani w Austin i że on nie może się z panią skontaktować. Że ma pani wyłączony telefon, a on się martwi. Więc ustaliłem, skąd pani dzwoniła. Najwyraźniej za późno...

Odwracam się do niego, patrzę.

– Dlaczego przyjechała pani do Austin, na miłość boską?

– Przede wszystkim ponieważ pan przyszedł do mnie. Wydało mi się to podejrzane.

– Owen nie wspominał, że jest pani detektywką.

– Mnie Owen nie wspomniał o wielu rzeczach.

Wydaje mi się niemądre smęcić, że nie przyjechałabym, gdyby Grady powiedział mi, co się dzieje, gdyby ktokolwiek powiedział mi prawdę o Owenie i jego przeszłości. Grady jest tak wściekły, że na pewno ma to gdzieś. Ale nie mogę się powstrzymać. Nie chcę robić za kozła ofiarnego.

– W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin dowiedziałam się, że mój mąż nie jest osobą, za którą go uważałam. Co miałam robić?

– To co powiedziałem. Siedzieć cicho, załatwić sobie adwokata. Dać mi pracować.

– A na czym pańska praca dokładnie polega?

– Ponad dziesięć lat temu Owen zdecydował, że zabierze córkę ze świata, w którym nie jest w stanie jej chronić. Że zaczną wszystko od nowa. Ja mu w tym pomogłem.

– Ale Jake mówił... Sądziłam, że Owen nie był objęty programem ochrony świadków.

– Jake miał rację, że Owen nie był objęty programem ochrony świadków. Bo nie do końca tak było.

Patrzę na niego, nie pojmując.

– Jak mam to rozumieć, do cholery?

– Owen został zakwalifikowany do WITSEC po tym, jak się zgodził zeznawać, ale nigdy nie czuł się bezpiecznie. Uważał, że program jest

nieszczęlny, że musiałby zaufać zbyt wielu ludziom. A w trakcie procesu doszło do niewielkiego przecieku.

– Co ma pan na myśli?

– Ktoś w Nowym Jorku stworzył zagrożenie dla nowej tożsamości Owena i Bailey. Po tym fakcie Owen nie chciał już współpracować z władzami.

– Straszne.

– To co prawda nie była standardowa sytuacja, ale rozumiałem, dlaczego wybrał inną drogę. Dlaczego zniknął razem z Bailey. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechali. Nikt w urzędzie szeryfa. Dopilnowaliśmy, żeby absolutnie żaden trop do niego nie prowadził.

Grady przeleciał pół kraju, żeby sprawdzić, co się dzieje z Owenem, co się dzieje z jego rodziną, pomóc mu wykaraskać się z tarapatów.

– Nikt oprócz pana, oczywiście – prostuję.

– Ufał mi – mówi. – Może dlatego, że wtedy byłem tu nowy. A może zasłużyłem na zaufanie. Sama musi go pani spytać.

– W tym momencie nie za bardzo mogę go spytać o cokolwiek.

Grady podchodzi do okna, opiera się o nie. Mam wrażenie, że dostrzegam coś w jego oczach, coś na kształt współczucia. Ale może się tego doszukuję.

– Nie rozmawiamy z Owenem za wiele – opowiada dalej. – On po prostu ma swoje życie. Po raz ostatni skontaktował się ze mną chyba wtedy, gdy powiedział, że się z panią żeni.

– Co mówił?

– Że pani wszystko zmienia. Że jeszcze nigdy w życiu nie był tak zakochany.

Zamykam oczy. Muszę się jakoś bronić przed tym, co teraz czuję.

– Prawdę mówiąc, starałem się go zniechęcić do tego związku. Powiedziałem, że uczucie przeminie.

– Wielkie dzięki.

– Chociaż w kwestii zakończenia związku mnie nie posłuchał, najwyraźniej jednak wziął sobie do serca moją radę, że nie może pani powiedzieć o swojej przeszłości. Że to zbyt duże zagrożenie dla pani. Że jeśli naprawdę chce być z panią, to musi wyłączyć z tego swoją przeszłość.

Przypominam sobie, jak wtedy w łóżku Owen chciał mi coś wyznać – całą prawdę o swojej przeszłości. Może to przez radę Grady'ego nie

mieliśmy szans razem rozwiązać tego problemu.

– Czy pan chce mi powiedzieć, że mam winić pana, a nie Owena? Bo z rozkoszą się zastosuję.

– Chcę powiedzieć, że każdy z nas ma tajemnice, z których nikomu się nie zwierza. Na przykład pani przyjaciel Jake? Mówił, że byliście kiedyś zaręczeni.

– To nie jest tajemnica. Owen wiedział o Jake’u.

– I jak by się czuł, wiedząc, że Jake teraz pani pomaga?

„Nie miałam wyboru” – chcę powiedzieć. Ale wiem, że spieranie się z nim to daremny wysiłek. Grady postanowił zepchnąć mnie na pozycje obronne, jakby w ten sposób łatwiej mu było wydobyć coś ze mnie – może niekoniecznie tajemnicę, ale chociaż informacje o moich planach. Czy na przykład mam zamiar posłuchać jego rad co do naszych dalszych działań.

– Dlaczego Owen uciekł, panie Grady?

– Musiał.

– Co to znaczy?

– Ile zdjęć Avetta widziała pani w mediach w tym tygodniu? Wszędzie byłyby też zdjęcia Owena. Ludzie Nicholasa by go znaleźli. Co prawda wygląda teraz trochę inaczej, ale te różnice są zbyt małe. Nie mógł ryzykować zdemaskowania. Musiał uciec, zanim się to rozpełtało. Zanim zniszczył życie Bailey.

Analizuję jego słowa. Teraz inaczej patrzę na to, dlaczego Owen nie miał czasu, żeby mi cokolwiek powiedzieć – dlaczego miał czas tylko na ucieczkę.

– Wiedział, że zostałby aresztowany – mówi Grady. – A wtedy pobrano by od niego odciski palców, tak jak dziś od Jordana Mavericka. Jego prawdziwa tożsamość wyszłaby na jaw i koniec.

– Więc uważają, że Owen jest winien? Naomi, FBI, nie wiem kto jeszcze?

– Nie. Uważają, że ma wiedzę, której potrzebują, a to różnica. Ale jeśli pyta pani mnie, czy Owen dobrowolnie wziął udział w oszustwie, powiem, że to mało prawdopodobne.

– A co jest bardziej prawdopodobne?

– Że Avett o nim wiedział.

Patrzę mu w oczy.

– Żadnych konkretów, Owen by mu w życiu ich nie zdradził, ale wiedział, że zatrudnia kogoś, kto jest znikąd. Żadnych referencji, żadnych powiązań ze światem technologii. Owen kiedyś stwierdził, że Avett szukał po prostu jak najlepszego programisty, ale ja myślę, że zależało mu także na dodatkowych korzyściach. Chciał kogoś, kogo mógłby w razie potrzeby kontrolować. No i okazało się, że taka potrzeba się pojawiła.

– Myśli pan, że Owen wiedział, co się dzieje w The Shop, ale nie mógł tego powstrzymać? Że tkwił tam z nadzieją, że zdoła to naprawić, dokończyć oprogramowanie, zanim ktoś się zorientuje?

– Tak myślę.

– To dość śmiałe założenie – zauważam.

– Znam pani męża jak mało kto. Uciekał od bardzo dawna, wiedział, że jeśli wypłynie w związku ze skandalem w The Shop, będzie musiał znowu zniknąć. Bailey musiałyby zacząć od nowa. I tym razem oczywiście trzeba będzie jej wszystko powiedzieć. Trudna sytuacja, delikatnie mówiąc... – przerywa na chwilę. – Nie wspominając o tym, z czego pani musiałyby zrezygnować, gdyby zdecydowała się pani mu towarzyszyć.

– Zakładając, że zdecydowałabym się mu towarzyszyć?

– Cóż, jako osoba zajmująca się obróbką drewna nie miałaby pani szans się ukryć. Nawet jako projektantka mebli. Jakkolwiek nazwie pani swój zawód. Musiałyby pani ze wszystkiego zrezygnować. Z pracy, ze stylu życia. Na pewno nie chciał tego dla pani.

Przypomina mi się jedna z pierwszych randek z Owenem. Spytał, co bym robiła, gdybym nie została tokarką. A ja powiedziałam, że zapewne z powodu dziadka – może dlatego, że obróbkę drewna kojarzyłam z jedyną stabilizacją, jakiej zaznałam – ale nigdy nie chciałam robić nic innego. I nigdy sobie nie wyobrażałam, że robię cokolwiek innego.

– Nie sądził, że wybrałabym jego, prawda? – pytam bardziej siebie niż Grady’ego.

– To nie ma teraz znaczenia. Udało mi się to wszystko ogarnąć, nie dopuścić pani znajomków z FBI... Ale nie dam rady nadużywać długo stanowiska, jeśli nie zostaniecie objęte oficjalnie programem ochrony świadków.

Nic nie mówię, staram się zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Jakoś nie mogę wyobrazić sobie, że będę osobą chronioną. Jak by to wyglądało w praktyce? Znam to jedynie z filmów – Harrison Ford przebywający wśród amiszów w Świadku, Steve Martin wymykający się z miasta po

dobre spaghetti w Moim błękitnym niebie. Obaj przygnębieni i pogubieni. I nagle przypominam sobie, co powiedział Jake. Że w rzeczywistości to nie wygląda wcale tak różowo jak w filmie.

– Więc Bailey miałyby zaczynać wszystko od nowa? – pytam. – Nowa tożsamość? Nowe nazwisko? Wszystko?

– Tak. I ja bym dla niej wybrał nowy początek – mówi. – To samo zrobię w przypadku jej ojca, mimo tego, co się teraz dzieje.

Usiłuję to przeanalizować. Bailey już nie będzie miała na imię Bailey. Wszystko, na co z takim trudem pracowała – nauka, stopnie, teatr, ona sama – zostanie wymazane. Czy będzie mogła jeszcze kiedykolwiek występować w musicalach? Czy może w ten sposób się zdemaskuje? Czy zostawi ślad prowadzący do Owena? Nowa uczennica w jakiegokolwiek szkole w Iowa występująca w szkolnym musicalu. Czy Grady powie, że to kolejny trop, po którym można ich wysledzić? Że zamiast kontynuować dawne zainteresowania musi zająć się szermierką albo hokejem, albo całkowicie się nie wychylać? Cokolwiek się wydarzy, Bailey musiałyby na pewno przestać być Bailey – dokładnie w tym momencie, gdy się staje wyjątkową sobą. Ta propozycja w wypadku szesnastolatki jest straszna – porzucić swoje życie. To zupełnie co innego, niż kiedy jesteś na przykład dwulatkiem. Albo gdy masz na karku czterdziestkę.

No ale jednak. Wiem, że zapłaciłaby tę cenę, żeby być z ojcem. Obie byśmy zapłaciły, i jeszcze raz, i jeszcze, byle być razem.

Szukam w tej myśli pocieszenia. Tylko że coś innego nie daje mi spokoju – coś, o czym Grady nie mówi wprost, tylko krąży wokół tego, coś, co nie pasuje – coś, czego nie chwytam.

– Musi pani coś zrozumieć – mówi Grady. – Nicholas Bell to zły człowiek. Nawet Owen nie chciał przyjąć do wiadomości, jak bardzo zły, w każdym razie przez długi czas, prawdopodobnie z tego powodu, że Kate była lojalna wobec ojca. A Owen był lojalny wobec Kate i wobec Charliego, z którym też był całkiem blisko. Oni wierzyli, że ich ojciec jest porządnym człowiekiem, tylko ma kontrowersyjnych klientów. I do tej wersji przekonali Owena. Że Nicholas jest adwokatem, który po prostu wykonuje swoją pracę. Że sam nie robi nic nielegalnego. Przekonali go, bo kochali swojego ojca. Sądzili, że jest dobrym ojcem, dobrym mężem. Zresztą był dobrym ojcem i dobrym mężem. Nie mylili się, tylko że to nie było wszystko.

– A co jeszcze?

– Na przykład współudział w morderstwie. Wymuszenia. Przemyt narkotyków. Na przykład absolutna obojętność na to, ilu ludziom pomógł zniszczyć życie. Ilu jest ludzi, którym pomógł zniszczyć cały, kurwa, świat.

Staram się po sobie nie pokazywać, jakie to dla mnie wstrząsające.

– Ludzie, dla których Nicholas pracował, są bezwzględni – mówi dalej Grady. – I bezlitośni. Nie wiadomo, do czego mogliby się posunąć, żeby Owen się ujawnił.

– Mogliby dopaść Bailey? To chce pan powiedzieć? Że mogliby dopaść Bailey, żeby dotrzeć do Owena?

– Mówię tylko, że istnieje taka możliwość, jeśli nie będziemy działać szybko.

To mi daje do myślenia, nawet w tej gorączce. To, co Grady insynuuje. Że Bailey jest w niebezpieczeństwie. Bailey, która w tej chwili samotnie krąży po ulicach Austin, już teraz jest może w niebezpieczeństwie.

– Problem w tym, że Nicholas ich nie powstrzymał – mówi Grady. – Nie mógłby, nawet gdyby chciał. Dlatego Owen musiał zniknąć i zabrać Bailey. Wiedział, że Nick nie miał czystych rąk w żadnej z tych spraw. I wykorzystał tę informację, by zaszkodzić organizacji. Rozumie to pani?

– Może powinien pan mówić wolniej...

– Nicholas nie zawsze był nieuczciwy, ale w pewnym momencie zaczął przekazywać wiadomości, od ludzi w więzieniu do szefów na wolności. Wiadomości, które mogły być przekazane tylko przez adwokata. I to nie były niewinne informacje. Dotyczyły na przykład tego, kogo należy ukarać albo kogo trzeba zabić. Wyobraża sobie pani świadome przekazanie wiadomości, która powoduje, że ginie mężczyzna i jego żona, a dwójka dzieci zostaje bez rodziców?

– A gdzie się tu pojawia Owen?

– Owen pomógł Nicholasowi stworzyć system szyfrujący, którego Nicholas docelowo używał do przekazywania tych wiadomości, nagrywania ich w razie potrzeby. Po śmierci Kate Owen włamał się do systemu i wszystko nam przekazał. Wszystkie mejle, całą korespondencję... Nicholas odsiedział ponad sześć lat za współudział w morderstwie. Co byliśmy w stanie udowodnić bezpośrednio dzięki tym materiałom. Nie można ot, tak zdradzić Nicholasa Bella i potem cofnąć czasu.

Teraz widzę jasno – ten fragment, który nie dawał mi spokoju, ten, który Grady starannie omijał.



– Więc dlatego wtedy się do pana nie zgłosił?

– Słucham?

– Dlaczego Owen nie przyszedł prosto do pana? – pytam. – Skoro to jedyna nadzieja na szczęśliwe zakończenie, jeśli program ochrony świadków to jedyny sposób, by zapewnić Bailey bezpieczeństwo, to dlaczego Owen nie zgłosił się do pana po wybuchu afery The Shop? Dlaczego nie stanął u pana w drzwiach i nie poprosił o przeniesienie całej rodziny?

– O to musi pani spytać Owena.

– Pytam pana. Co się stało z tym przeciekiem ostatnim razem, Grady? Zdusiliście to w zarodku czy życie Bailey było zagrożone?

– Co to ma wspólnego z obecnymi wydarzeniami?

– Wszystko. Jeśli z powodu tamtych wydarzeń mój mąż sądzi, że nie jesteście w stanie zapewnić Bailey bezpieczeństwa, to wszystko.

– Tak czy owak WITSEC jest najlepszym rozwiązaniem dla Owena i Bailey, jeśli mają być bezpieczni. I koniec.

Mówi to niewzruszony, ale widzę, że moje pytanie go dotknęło. Bo nie może temu zaprzeczyć. Gdyby Owen rzeczywiście był pewien, że Grady jest w stanie zapewnić jego córce bezpieczeństwo – że wszystkim nam jest w stanie je zapewnić – byłby tu teraz z nami. A nie ma go.

– Proszę posłuchać: nie odchodźmy od tematu. W tej chwili musi mi pani pomóc w ustaleniu, dlaczego Bailey opuściła pokój hotelowy.

– Nie wiem.

– Niech pani zgaduje.

– Myślę, że nie chciała wyjeżdżać z Austin.

Nie dodaję szczegółów. Prawdopodobnie nie chciała wyjeżdżać jeszcze w momencie, gdy jest tak blisko znalezienia informacji o sobie – odpowiedzi na pytania o jej przeszłość, odpowiedzi, na które Owen mnie tak kiepsko przygotował. Trochę się uspokajam, że taki właśnie jest powód: choć Bailey jest teraz sama, nic jej nie grozi, szuka odpowiedzi, bo nie wierzy, że znajdzie je ktoś inny. Powinnam rozpoznać tę cechę. Sama ją mam.

– A dlaczego chce zostać w Austin? – pyta Grady.

W tej chwili mówię mu tylko to, co wiem na pewno.

– Czasami człowiek czuje coś takiego.

– Co takiego?

– Że wszystko zależy od niego.

Grady został wezwany na spotkanie i funkcjonariuszka Sylvia Hernandez prowadzi mnie na dół do holu i do sali konferencyjnej, skąd mogę zadzwonić – jakby rozmowa nie była podsłuchiwana ani namierzana czy cokolwiek tam robią, żeby wiedzieć o tobie wszystko.

Sylvia siada za drzwiami, a ja biorę telefon. Dzwonię do mojej najlepszej przyjaciółki.

– Całe godziny do ciebie wydzwaniam – mówi Jules na powitanie. – Wszystko w porządku?

Siadam przy długim stole, opieram głowę na dłoni i usiłuję się nie rozpaść. Chociaż kiedy, jeśli nie teraz – jestem bezpieczna, mam przy sobie Jules.

– Gdzie jesteście? – pyta. – Odebrałam wariacki telefon od Jake’a, krzyczał, że twój mąż naraził cię na niebezpieczeństwo. Nie powiem, że za nim tęskniłam.

– A, tak, no cóż, Jake to Jake. Stara się pomóc. W swój nieprawdopodobnie niepomocny sposób.

– Co się dzieje z Owenem? Nie ujawnił się, co?

– Niezupełnie.

– A jak? – pyta. Ale łagodnie. W ten sposób mówi mi też, że nie muszę jej teraz nic wyjaśniać.

– Bailey zniknęła – mówię.

– Co?!

– Uciekła. Wyszła z pokoju hotelowego. I nie możemy jej znaleźć.

– Ma szesnaście lat.

– Wiem, Jules. A dlaczego jestem przerażona, jak ci się zdaje?

– Nie, nie. Mówię, że ma aż szesnaście. Czasami człowiek po prostu musi zniknąć na jakiś czas. Na pewno nic jej nie jest.

– To nie takie proste. Słyszałaś może o Nicholasie Bellu?

– A powinnam?

– To były teść Owena.

Milczy, coś sobie kojarzy.

– Zaraz. Masz na myśli TEGO Nicholasa Bella? Prawnika?

– Właśnie jego. Co o nim wiesz?

– Niewiele. To znaczy... pamiętam, że czytałam w gazetach kilka lat temu, że wyszedł z więzienia. Siedział chyba za napaść czy za morderstwo. Był teściem Owena? Nie wierzę.

– Jules... Owen ma straszne kłopoty. I ja chyba nie mogę nic zrobić, żeby mu pomóc.

Milczy, myśli. Słyszę, jak próbuje poskładać w całość te wybrakowane kawałki, które widzi.

– Powstrzymamy to – mówi. – Obiecuję ci. Najpierw ściągniemy cię z Bailey do domu. A potem pomyślimy, co dalej.

Serce ściska mi się w piersi. Tak ona właśnie zawsze robi – tak zawsze obie robiłyśmy dla siebie wzajemnie. I dlatego nagle nie mogę oddychać. Bailey błądzi po ulicach obcego miasta. A nawet kiedy ją znajdziemy – muszę wierzyć, że już niedługo – to Grady właśnie mi oznajmił, że nie wracam do domu. Nigdy.

– Rozłączyłaś się? – pyta Jules.

– Nie. Gdzie jesteś?

– W domu. I otworzyłam to – mówi z napięciem. I oczywiście ma na myśli sejf, mały sejf w środku świnki skarbonki.

– Tak?

– Tak. Max znalazł kasiarza w San Francisco i jakąś godzinę temu to otworzyliśmy. Kasiarz ma na imię Marty, ma bodajże dziewięćdziesiąt siedem lat. To obłęd, co on wyczynia z sejfami. Pięć minut nasłuchiwał, a potem to otworzył. Mała głupia świnka.

– I co jest w środku?

– Testament. Ten ostateczny, testament Owena Michaela, czyli Ethana Younga. Mam ci go przeczytać?

Zastanawiam się, kto nas słucha. Jeśli Jules zacznie czytać, kto jeszcze wysłucha ostatniej woli Owena – nie tej, którą widziałam w jego komputerze, tylko tej, do której tamta odsyłała zaszyfowaną wiadomością.

Prawdziwego testamentu Owena. Ethana.

– Jules, ktoś nas prawdopodobnie słucha, więc powinniśmy się trzymać tylko najważniejszych rzeczy, okej?

– Oczywiście.

– Co tam jest na temat opieki nad Bailey?

– Że ty masz być opiekunką. Na wypadek jego śmierci, ale też gdyby on nie mógł się nią zajmować.

Owen się na to przygotował. Może nie do końca na to, ale na coś w tym rodzaju. Przygotował się tak, by Bailey trafiła pod moją opiekę. Chciał, by była ze mną. W którym momencie tak mi zaufał? Kiedy uznał,

że najlepiej dla niej będzie zostać ze mną? Otwiera się we mnie jakaś nieznana głębia na myśl, że Owen we mnie tak wierzył. Tylko że teraz Bailey nie ma, zniknęła gdzieś w tym mieście. A ja do tego dopuściłam.

– Wspomina jakieś inne osoby? – pytam.

– Tak. Są różne regulacje, zależnie od tego, czy będziesz mogła się nią zająć i od jej wieku.

I czyta, a ja słucham uważnie, robiąc notatki, zapisując nazwiska, które rozpoznaję. Ale tak naprawdę czekam na jedno nazwisko – jedną osobę, o której muszę wiedzieć, czy jej ufać, czy Owen jej ufa, na przekór wszystkim znakom, że nie powinien. Kiedy je słyszę, kiedy Jules mówi „Charlie Smith”, przestaję notować. Mówię, że muszę kończyć.

– Uważaj – ostrzega mnie.

To zamiast pożegnania, zamiast tradycyjnego „kocham cię”. Jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności i to, ile muszę podjąć decyzji, na jedno wychodzi.

Wstaję i wyglądam przez okna sali konferencyjnej. Zaczęło padać, a mimo to tam w dole Austin żyje swoim nocnym życiem. Ludzie idą z parasolkami, na kolację, na przedstawienie, rozmawiają o kieliszku przed snem lub o nocnym seansie. Albo uznają, że wystarczy na dziś, że pada coraz mocniej i że chcą do domu. Szczęściarze.

Odwracam się do szklanych drzwi. Sylvia, szeryfka federalna, siedzi po drugiej stronie. Patrzy w telefon, albo mną niezainteresowana, albo zajęta czymś ważniejszym niż pilnowanie świadka. Może nawet wiem czym. Szukaniem Owena. Szukaniem Bailey.

Już mam wyjść na korytarz i poprosić o nowe informacje, kiedy widzę zbliżającego się Grady’ego.

Puka do drzwi i otwierając je, uśmiecha się do mnie – łagodniejszy Grady, który chyba trochę się rozluźnił.

– Mają ją – mówi. – Mają Bailey. Jest bezpieczna.

Wypuszczam powietrze, łzy napływają mi do oczu.

– Och, chwala Bogu. Gdzie ona jest?

– Na kampusie, już ją tu wiozą. Możemy pogadać chwilę, zanim tu dotrą? To ważne, byśmy mieli jasność co do dalszych planów.

Co do dalszych planów. Ma na myśli przeniesienie jej, nas. Chce, żebym pomogła zapanować nad sytuacją, kiedy on jej zakomunikuje, że jej życie, to, jakie zna, się skończyło.

– I musimy porozmawiać o czymś jeszcze – dodaje. – Nie zamierzałem tego wcześniej wyciągać, ale chcę być z panią całkowicie szczery.

– A to ci niespodzianka.

– Dostaliśmy wczoraj przesyłkę z napędem zip zawierającą służbowe mejle Owena. Musiałem zweryfikować, że są prawdziwe, i są. Szczegółowo notowałem, jak Avett naciskał, żeby wprowadzić IPO, pomimo sprzeciwów Owena. I opisał wszystkie swoje późniejsze działania, żeby to naprawić...

– Więc to nie było trafne założenie? Co do winy Owena?

– Nie, chyba nie.

– Więc to naprawdę mój mąż ratował sytuację?

Podnoszę głos. Staram się nad tym panować, ale nie mogę. Bo Owen robił wszystko, żeby nas chronić, nawet z daleka, gdziekolwiek był. A moim zdaniem Grady nie wie, jak się do tego zabrać.

– Niewątpliwie pomagał – mówi. – Program ochrony świadków może stawiać wysokie wymagania przy selekcji osób, którym ma pomóc, i te dane wraz z naszą wiedzą wyjaśniają, dlaczego Owen nie doniósł na Avetta. Dlaczego uważał, że nie ma wyboru, musi zostać.

Słucham tego, czując dziwną mieszankę ulgi i czegoś jeszcze. Z początku myślę, że to irytacja na Grady'ego, który mi nie powiedział, że ma wiadomość od Owena, ale nagle sobie uświadamiam, że to coś bardziej złowieszczonego. Bo oto zaczynam rozumieć, co jeszcze Grady przede mną ukrywał.

– I dlaczego teraz mi pan to mówi?

– Bo musimy mówić jednym głosem, kiedy Bailey tu dotrze – twierdzi. – O programie ochrony świadków, o najlepszej drodze do waszego spokojnego życia. Wiem też, że nie będziecie zaczynały od zera.

– Co pan ma na myśli?

– Pieniądze, które Owen zostawił córce. To są legalne zarobki. Czyste pieniądze zabezpieczone przez Owena. Wejdziecie do programu z ładną sumką na czarną godzinę. Większość ludzi może tylko o czymś takim marzyć.

– Coś mi się wydaje, że sugeruje pan, że jeśli odmówimy, to te pieniądze znikną...

– Jeśli odmówicie, wszystko zniknie. Nie będziecie już rodziną, nie będziecie bezpieczne.

Kiwam głową, wiedząc, że Grady próbuje mnie przekonać, abym się opowiedziała za programem ochrony świadków. Mam to zrobić, bo wszystko jest załatwione, by Owen dołączył do nas w tym nowym życiu. Wszystko jest załatwione, żeby nasza rodzina była znowu razem. Z nowymi nazwiskami, ale razem.

Tylko że ja pomimo nalegań Grady'ego nie mogę odpuścić kwestii, których zdaniem Owena odpuszczać nie powinnam. Mam wątpliwości. Mam wątpliwości, gdy myślę o przecieku w WITSEC i kiedy myślę o Nicholasie Bellu. Mam wątpliwości, gdy myślę o pospiesznym zniknięciu Owena, bo moim zdaniem jest na to tylko jedno wyjaśnienie. Wszystko, co wiem o Owenie, opowiada się za innym rozwiązaniem.

Grady ciągle mówi.

– Bailey musi zrozumieć, że tylko w ten sposób ma szansę na jako takie bezpieczeństwo.

Jako takie. Aha. Dlaczego nie mówi po prostu „bezpieczeństwo”. Bo nie ma czegoś takiego, już nie ma.

Bailey nie krąży już po ulicach, ale jest w drodze do tego biura i do świata, w którym jest jako tako bezpieczna. Grady jej powie, że będzie musiała zostać kimś innym. Że nie będzie już Bailey.

O ile oczywiście nie zdołam tego zatrzymać.

A właśnie się zbieram, żeby zrobić to, co trzeba.

– No dobrze, możemy się do tego wszystkiego zabrać – mówię. – To najlepszy sposób na ogarnięcie Bailey. Ale najpierw muszę pójść do łazienki. Obmyć twarz. Nie spałam od dwudziestu czterech godzin.

Grady kiwa głową.

– Nie ma problemu.

Przytrzymuje drzwi, a ja ruszam do wyjścia, przystaję w progu, kiedy jestem koło niego. Wiem, że to jest najważniejszy moment – teraz on musi mi uwierzyć.

– Czuję ulgę, że ona jest bezpieczna – mówię.

– Ja też. I wiem, że to nie jest łatwe, naprawdę to rozumiem. Jednak to najlepszy wybór, i przekona się pani, że Bailey przyzwyczai się szybciej, niż pani sądzi. To wszystko wcale nie będzie takie przerażające. Będziecie razem i dowieziemy wam Owena, gdy tylko się ujawni. Jestem pewien, że właśnie na to Owen teraz czeka, czeka, aż będziecie bezpieczne, a wszystko zostanie ustalone...

Grady się uśmiecha. A ja robię to, co muszę. Też się uśmiecham. Jakbym mu ufała, jakbym wierzyła, że wie, dlaczego Owena ciągle nie ma, jakbym wierzyła, że program ochrony świadków to jedyna droga do jego połączenia z córką. Do ich bezpieczeństwa. Jakbym ufała, że ktokolwiek oprócz mnie może sprawić, żeby Bailey była bezpieczna.

Dzwoni telefon Grady'ego.

– Mogę na chwilę? – pyta.

Wskazuję na łazienkę.

– Mogę?

– Jasne, proszę śmiało.

Już podchodzi do okna. Już się skupia na odebranej rozmowie.

A ja idę korytarzem, w kierunku łazienek, odwracając się, by sprawdzić, czy Grady nie patrzy. Nie robi tego. Stoi plecami do mnie, z telefonem przy uchu. Nie odwraca się, gdy mijam drzwi do łazienki i windy, gdy wciskam guzik. Cały czas gapi się za okna sali konferencyjnej, wpatruje się w deszcz i rozmawia.

Winda przyjeżdża cudownie szybko, wskakuję do środka, sama, wciskam guzik zamykania drzwi. Zjadę na parter, zanim Grady skończy rozmowę. Wyjdę, na deszcz, zanim Sylvia Hernandez pójdzie sprawdzić, co robię w toalecie.

Skręcę za róg, zanim ona albo Grady spojrzą na stół w sali konferencyjnej i zobaczą, co im tam zostawiłam. A zostawiłam im karteczkę. Pod telefonem. Tę samą, którą Owen zostawił mnie. Ja ją zostawiłam z kolei Grady'emu.

„Chroń ją”.

Idę szybko obcymi ulicami Austin – dla Bailey, dla niej i dla Owena. Muszę im zapewnić najlepsze wyjście, chociaż w tym celu muszę wrócić w ostatnie miejsce, w jakim chciałabym być.

# Każdemu przydaje się podsumowanie

Oto co wiem.

Nocą, przed pójściem spać, Owen robił dwie rzeczy. Obracał się na lewy bok i wtulał się we mnie, obejmując mnie ramieniem. W tej pozycji zasypiał – z twarzą tuż przy moim karku i dłonią na moim sercu. Spokojny.

Każdego ranka szedł pobiegać do mostu Golden Gate i z powrotem.

Gdyby miał wybór, żywiłby się wyłącznie pad thaiem.

Nigdy nie zdejmował obrączki, nawet podczas prysznic.

W samochodzie miał zawsze otwarte okna, czy na dworze było trzydzieści stopni, czy minus dziesięć.

Każdej zimy mówił, że wybierze się na wędkowanie pod lodem na jezioro Washington. Nigdy się nie wybrał.

Nie wyłączał filmu, choćby najokropniejszego, dopóki nie pojawiły się napisy.

Uważał, że szampan jest przereklamowany.

Miał lęk wysokości i nikomu o tym nie mówił.

Jeździł wyłącznie z ręczną skrzynią biegów. Wychwalał zalety jeżdżenia z ręczną skrzynią biegów. Nikt go nie słuchał.

Uwielbiał zabierać córkę na balet do San Francisco.

Uwielbiał zabierać córkę na wspinaczkę w Sonoma County.

Uwielbiał zabierać córkę na śniadanie. Sam nigdy nie jadał śniadań.

Umiął zrobić dziesięciowarstwowy tort czekoladowy od A do Z.

Umiął zrobić całkiem przyzwoite curry kokosowe.

Miał dziesięcioletni ekspres ciśnieniowy La Marzocco, ciągle zapakowany w karton.

I kiedyś już był żonaty. Był mężem kobiety, której ojciec bronił złych ludzi – choć uważał, że to uproszczenie nazywać ich złymi, choć uważał, że to niedopowiedzenie. Zaakceptował pracę teścia, ponieważ ożenił się z jego córką, a taki właśnie był Owen. Zaakceptował teścia z potrzeby, z miłości, a także być może ze strachu. Choć nie nazwałby tego strachem. Nazwałby to, niepoprawnie, lojalnością.



I co wiem jeszcze? Kiedy Owen stracił żonę, wszystko się zmieniło. Absolutnie wszystko.

Coś w nim pękło. Stał się wściekły. Wściekły na rodzinę żony, na jej ojca, na siebie samego. Był wściekły na to, na co przymykał oko – w imię miłości, w imię lojalności. I między innymi dlatego odszedł.

Drugi powód był taki, że musiał zabrać Bailey z tego życia. To było najważniejsze i najpilniejsze. Jego zdaniem Bailey w pobliżu rodziny żony nie była bezpieczna.

Wiedząc to wszystko, nie mam bladego pojęcia, czy kiedykolwiek wybaczy mi ryzyko, które teraz zamierzam podjąć.

## Never Dry po raz drugi

Teraz Never Dry jest otwarty.

W środku wieczorna mieszanka gości, trochę starszych studentów, jakaś para na randce – on ma sterczące zielone włosy, ona całą rękę w dziarach – bez reszty skupiona na sobie.

Młody seksowny barman w kamizelce i krawacie bryluje za barem, rozlewając manhattany. Kobieta w kombinezonie mierzy go wzrokiem, usiłuje przyciągnąć jego uwagę, żeby zamówić kolejnego drinka. Usiłuje po prostu przyciągnąć jego uwagę.

I jest Charlie. Siedzi sam w boksie dziadka, pije whiskey, obok stoi butelka.

Przesuwa palcami po szkle, sprawia wrażenie zamyślonego. Może odtwarza w głowie to, co się stało wcześniej między nami, zastanawia się, co mógł zrobić inaczej, gdy spotkał się z kobietą, której nie zna, i siostrzenicą, którą chciałby poznać na nowo.

Podchodzę do niego. Z początku mnie nie zauważa. Aż wreszcie dostrzega, rozpoznaje i patrzy na mnie nie z gniewem, tylko z niedowierzaniem.

- Co tu robisz? – pyta.
- Muszę z nim pogadać.
- Z kim?

Nie odpowiadam, bo on nie potrzebuje wyjaśnień. Doskonale wie, o kim mówię. Wie, z kim chcę się zobaczyć.

- Chodź ze mną – mówi.

Wstaje i prowadzi mnie przez ciemny korytarz, mijamy łazienki i szafę elektryczną, do kuchni.

Wciąża mnie do niej, drzwi zamykają się za nami z rozmachem.

- Wiesz, ilu gliniarzy tu dziś przyszło? Jeszcze mnie o nic nie pytają, ale przychodzą, żebym ich widział. Żebym wiedział, że tu są. Są wszędzie.
- Myślę, że to nie są gliniarze. To ludzie z urzędu szeryfa.
- Uważasz, że to zabawne?
- Ani trochę.

I zaglądam mu w oczy.

– Musisz mu powiedzieć, że tu byliśmy. To twój ojciec. Ona jest twoją siostrzenicą. Obaj jej szukacie od dnia, gdy Ethan ją stąd zabrał. Nie utrzymasz tego w tajemnicy, nawet gdybyś chciał.

Otwiera drzwi awaryjne, za nimi są schody przeciwpożarowe i zaułek.

– Wyjdź stąd – mówi.

– Nie mogę.

– Bo?

Wzruszam ramionami.

– Nie mam dokąd pójść.

To prawda. W pewien sposób trudno mi przyznać przed sobą – a co dopiero przed nim – że Charlie to jedyne, co mi zostało, jeśli chcę naprawić sytuację.

Może on to wyczuwa, bo milczy i widzę, że jego determinacja słabnie. Drzwi się zamykają.

– Muszę porozmawiać z twoim ojcem – podejmuję. – I proszę przyjaciela mojego męża, żeby mi w tym pomógł.

– Nie jestem jego przyjacielem.

– Moim zdaniem to nieprawda. Moja przyjaciółka Jules znalazła testament Ethana. – Ethana. Użyłam tego imienia. – Prawdziwy testament. I on cię w nim wymienia. Wymienia cię jako opiekuna prawnego Bailey, wraz ze mną. Chciał, żeby miała ciebie, gdyby jemu się coś stało. Chciał, żeby miała ciebie i mnie.

Kiwa powoli głową, przyswaja moje słowa, przez chwilę mam wrażenie, że się zaraz rozpłacze. Oczy wypełniają mu się łzami, podnosi ręce do czoła, zasłania oczy, jakby chciał powstrzymać łzy. To łzy ulgi, że ma możliwość znowu zobaczyć swoją siostrzenicę – i łzy straszliwego smutku, że nie mógł jej widywać przez ostatnie dziesięć lat.

– A co z moim ojcem? – pyta.

– Nie sądzę, żeby Ethan chciał, by miała cokolwiek wspólnego z Nicholasem. Ale skoro wymienił tam ciebie, zrozumiałam, że ci ufał, nawet jeśli ty masz co do tego wątpliwości.

Potrząsa głową, jakby nie mógł uwierzyć, że to się dzieje. Doskonale to rozumiem.

– To stara wojna – mówi. – Ethan również nie jest bez winy. Myślisz, że to nieprawda. Ale nie wiesz wszystkiego.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Więc co sobie wyobrażasz? Że pójdziesz pogadać z moim ojcem i nastanie pokój pomiędzy nim a Ethanem? Cokolwiek powiesz, nie ma znaczenia. Ethan zdradził mojego ojca. Zniszczył mu życie, a w efekcie zmarła nasza matka. I jeśli ja nic nie mogę zrobić, żeby to naprawić, to ty też nie.

Charlie jest rozdarty. Widzę to. Widzę, że nie wie, co powiedzieć o swoim ojcu, co mi powiedzieć o Owenie. Jeśli powie mi za mało, nie zostawię go w spokoju. Może nie zostawię go też, jeśli powie mi za dużo. A on chce, bym sobie poszła. Uważa, że to najlepsze dla wszystkich. Ale ja gram wyższą stawkę, bo wiem, że jest tylko jeden sposób, by naprawić sytuację.

– Ile lat byliście małżeństwem?

– A jakie to ma znaczenie?

– On nie jest taki, jak myślisz.

– Więc słucham.

– Co Ethan ci powiedział? O mojej siostrze?

Nic – tak chcę powiedzieć. Nic, co było prawdą. W końcu nie miała przecież płomiennorudych włosów ani nie kochała nauki. Nie chodziła do college’u w New Jersey. Niewykluczone, że w ogóle nie potrafiła przepłynąć basenu. Teraz wiem, po co nam powiedział te wszystkie rzeczy – dlaczego zmyślił taką misterną historię. Na wypadek gdyby jakaś niewłaściwa osoba podeszła do Bailey, gdyby niewłaściwa osoba zaczęła podejrzewać, że Bailey jest tamtą dziewczynką – ona byłaby w stanie spojrzeć tej osobie w oczy i zaprzeczyć. „Moja mama była rudowłosą pływakką. Moja mama w niczym nie przypominała osoby, o której pan mówi”.

Patrzę Charliemu w oczy i mówię szczerze:

– Nie powiedział mi dużo. Ale kiedyś mi powiedział, jak bardzo by mi się podobała. Mówił, że byśmy się polubiły.

Charlie kiwa głową, ale milczy. Wiem, ile chciałby zadać mi pytań o moje życie z Owenem, o Bailey: kim jest teraz, co lubi i czy może trochę przypomina jego siostrę, którą bardzo kochał. Ale nie może zadać żadnego z tych pytań, bo sam musiałby odpowiedzieć na pytania, na które nie chce odpowiadać.

– Posłuchaj – mówi – jeśli chcesz zapewnienia, że dla Krsitin mój ojciec będzie w stanie zamknąć temat tego, co się wydarzyło między nim

a Ethanem, że się dogadają, to nie. Nie dogadają się. To tak nie działa. Mój ojciec nie zamknął tego tematu.

– Z tego również zdaję sobie sprawę.

I to prawda. Ale liczę na to, że Charlie i tak zechce mi pomóc. Bo inaczej byśmy nie rozmawiali. Odbylibyśmy inną rozmowę – taką, której żadne z nas nie chce, o tym, co Owen zrobił tej rodzinie. I mnie. Odbylibyśmy rozmowę, która złamałaby mi serce.

Patrzy na mnie łagodnie.

– Przestraszyłem cię wtedy? – pyta.

– To ja powinnam cię o to spytać.

– Nie chciałem cię tak atakować. Po prostu potwornie mnie zaskoczyłaś. Nie masz pojęcia, ilu ludzi tu przychodzi i naprzykrza się mojemu ojcu. Wszyscy ci nałogowi widzowie Court TV, którzy widzieli relację z procesu i myślą, że znają mojego ojca, chcą autografów. Chociaż minęło tyle lat. Mam wrażenie, że jesteśmy punktem na jakiejś mapie wycieczek śladami kryminalistów Austin. My i gang Newtonów...

– To brzmi okropnie.

– Bo jest okropne. To wszystko jest okropne.

Charlie patrzy na mnie, przygląda mi się.

– Myślę, że nie wiesz, co robisz. Że masz ciągle nadzieję na szczęśliwe zakończenie. Ale ta historia nie skończy się dobrze. Nie ma takiej możliwości.

– Wiem o tym. Mam nadzieję, ale na coś innego.

– Na co?

Milczę chwilę.

– Że to nie koniec.

# Nad jeziorem

Charlie prowadzi.

Jedziemy na północny zachód, mijamy Mount Bonnell, wjeżdżamy w Texas Hill Country. Nagle otaczają mnie pofałdowane wzgórza, drzewa, wszechobecna zieleń, jezioro ciche za oknami samochodu, chłodne. Nieporuszone.

Gdy skręcamy w Ranch Road, deszcz ustaje. Charlie nie jest wylewny, ale opowiada, że jego rodzice kupili ranczo w stylu śródziemnomorskim na brzegu jeziora kilka lat temu – gdy Nicholas wyszedł z więzienia, rok przed śmiercią matki. To był jej wymarzony dom, jej ustronie, ale Nicholas został tam po jej śmierci, już sam. Kosztował ich dziesięć milionów dolarów – posiadłość, którą matka Charliego, Meredith, nazwała Schronieniem. Taka nazwa widnieje na tabliczce przed wjazdem.

Łatwo zrozumieć, dlaczego wybrała taką nazwę. Posiadłość jest ogromna, surowo piękna i ustronna. Całkowicie ustronna.

Charlie wstukuje kod, stalowa brama się otwiera, odsłaniając brukowaną drogę dojazdową, długą na co najmniej pół kilometra. Wije się łagodnie aż do niewielkiej stróżówki porośniętej dzikim winem i przez to nierzucającej się w oczy.

Dom natomiast zdecydowanie rzuca się w oczy. Wygląda jak żywcem przeniesiony z Riwiery Francuskiej – ma kaskadowe balkony, dach kryty zabytkową dachówką, kamienną fasadę. Uwagę zwracają przepiękne okna wykuszowe, wysokie na co najmniej trzy metry – zapraszają cię do środka.

Podjeżdżamy pod stróżówkę, z której wychodzi ochroniarz. Jest wielki jak futbolista, ma na sobie przyciasny garnitur.

Charlie opuszcza szybę, gdy ochroniarz się nachyla i opiera o okno od strony kierowcy.

– Siema, Charlie – mówi.

– Cześć, Ned. Co tam?

Ned kieruje wzrok na mnie i dyskretnie kiwa głową.

– Czeka na ciebie – mówi do Charliego.

Stuka w dach samochodu i wraca do stróżówki, by otworzyć drugą bramę.

Wjeżdżamy, potem pokonujemy łukowaty podjazd i zatrzymujemy się przed wejściem.

Charlie wjeżdża na miejsce parkingowe i wyłącza silnik. Ale się nie rusza, ani drgnie. Jakby chciał coś powiedzieć. Zmienia jednak najwyraźniej zamiar, bo bez słowa otwiera swoje drzwi i wysiada.

Idę w jego ślady i wychodzę w chłodną noc, na ziemię śliską od deszczu.

Ruszam do głównego wejścia, ale Charlie wskazuje furtkę z boku.

– Tędy – mówi.

Przytrzymuje mi furtkę, wchodzimy. Czekam, aż zamknie furtkę za nami na klucz, i idziemy ścieżką biegnącą wzdłuż bocznej ściany domu, obsadzoną sukulentami i innymi roślinami.

Idziemy obok siebie, Charlie po zewnętrznej. Zaglądam do środka – przez wysokie francuskie okna – i widzę jeden pokój za drugim, a wszystkie oświetlone.

Zastanawiam się, czy to całe światło włączono ze względu na mnie – żebym widziała, jak imponujący jest wystrój, jak każdy szczegół jest przemyślany. W długim krętym korytarzu wisi pełno drogich dzieł sztuki i czarno-białych fotografii. W głównym salonie widzę wysoki sufit i głębokie skórzane kanapy. W rustykalnej kuchni na tyłach domu terakotową podłogę i ogromny kamienny kominek.

Ciągle sobie próbuję wyobrazić, że Nicholas mieszka tu w pojedynkę. Jak to jest – czy można lubić mieszkanie samemu w takim domu?

Ścieżka prowadzi nas do wyłożonego płytkami w szachownicę ganku z antycznymi kolumnami. Roztacza się stąd oszałamiający widok na jezioro – na migoczące w oddali niewielkie łódki, baldachim dębów, chłodzący spokój samej wody.

Jest tu też fosa.

Ten dom, dom Nicholasa Bella, ma własną fosę. To wyraziste przypomnienie, że bez jednoznacznego pozwolenia nie można tu wejść ani stąd wyjść.

Charlie wskazuje rząd szezlongów, siada na jednym. W oddali migocze jezioro.

Unikam jego wzroku, wpatruję się w łódki. Wiem, dlaczego musiałam tu przyjść. Ale teraz, gdy już naprawdę tu jestem, mam wrażenie, że

popęłiłam błąd. Że powinnam była wziąć sobie do serca przestrogę Charliego, że w środku nie czeka mnie nic dobrego.

– Siądź gdziekolwiek – mówi.

– Jest okej.

– To może mu chwilę zająć.

Opieram się o kolumnę.

– Naprawdę mogę postać.

– Może nie sobą powinna się pani przejmować...

Odwracam się na dźwięk męskiego głosu i zaskoczona widzę stojącego w tylnych drzwiach Nicholasa. Towarzyszą mu dwa psy, dwa czekoladowe labradory. Nie spuszczają z niego wzroku.

– Te kolumny nie są takie mocne, jak może się wydawać – dodaje.

Odsuwam się od kolumny.

– Przepraszam bardzo – mówię.

– Nie, nie, żartuję. Tylko sobie z pani żartuję.

Podchodzi do mnie, machając ręką, palce ma odrobinę wykrzywione. Ten chudy mężczyzna ze smętną kozią bródką wygląda krucho z tymi artretycznymi palcami, w obszernych dżinsach i kardiganie.

Zagryzam wargę, żeby nie okazać zaskoczenia. Nie tak go sobie wyobrażałam – miły, łagodny. Wygląda jak kochający dziadek. Jego miękki głos, powolny rytm mówienia, kąśliwy dowcip przypominają mi mojego ukochanego dziadka.

– Moja żona kupiła te kolumny w klasztorze we Francji, przetransportowano je w dwóch kawałkach. Miejscowy rzemieślnik je połączył, przywracając im pierwotny wygląd. Są naprawdę mocne.

– Są też piękne.

– No oczywiście. Moja żona miała gust do wystroju. Wybrała każdy przedmiot, który jest w tym domu. Każdy najmniejszy drobiazg.

Wygląda, jakby cierpiał, od samego mówienia o żonie.

– Nie nawykłem do opowiadania o jakości wykończenia mojego domu, ale pomyślałem, że może pani doceniłaby tę historię...

Zaskakuje mnie. Czy on chce zasugerować, że wie, czym się zajmuję zawodowo? To możliwe? Czy już doszło do jakiegoś przecieku? A może ja jestem przeciekiem. Może nieświadomie powiedziałam coś Charliemu. Coś, co nas wszystkich wydało.

Tak czy owak to Nicholas teraz rządzi. Dziesięć godzin temu nie wchodziłoby to w grę. Ale ja wszystko zmieniłam, przyjeżdżając do



Austin. A to świat Nicholasa. Austin to świat Nicholasa, a ja nas w niego wciągnęłam. Jakby podkreślając powagę tej sytuacji, na zewnątrz wychodzi dwóch ochroniarzy – Ned i jeszcze jeden. Obaj są wielcy i mają kamienne twarze. Obaj stają tuż za Nicholasem.

On jakby nie zwracał na to uwagi. Wyciąga natomiast do mnie dłoń. Jakbyśmy byli dwójką starych przyjaciół. Jaki mam wybór? Też wyciągam dłoń.

– Miło mi panią poznać, pani... – mówi.

– Hannah – przedstawiam się. – Proszę mi mówić Hannah.

– Hannah – powtarza.

Uśmiecha się – szczerze i szeroko. I nagle stwierdzam, że to mnie bardziej krępuje, niż gdyby zaprezentował wręcz przeciwne oblicze. Czy kiedyś w podobnej sytuacji Owen stał przed nim i myślał: „Nicholas musi być dobry”? Jak mógłby się tak uśmiechać, gdyby nie był? Jak mógłby wychować kobietę, którą Owen kochał?

Trudno się na niego patrzy, więc opuszczam wzrok, spoglądam na psy.

Nicholas podąża za moim spojrzeniem. Nagle się schyla i głaszcze psy po głowie.

– To Casper, a to Leon – mówi.

– Wspaniałe zwierzęta.

– O tak. Dziękuję. Przywiozłem je z Niemiec. Właśnie prowadzimy szkolenie Schutzhund.

– Co to znaczy?

– Oficjalne tłumaczenie to „pies stróżujący”. Mają dbać o bezpieczeństwo właściciela. Ja myślę, że są dobrymi towarzyszami – urywa. – Chce je pani pogłaskać?

Nie sądzę, by to była groźba, ale też nie brzmi to jak zaproszenie, w każdym razie nie takie, które bym chciała przyjąć.

Oglądam się na Charliego, który dalej leży na szezlongu, łokciem zasłaniając oczy. Jego swobodna poza wydaje się wymuszona, niemal jakby się czuł źle z tym, że ja ot, tak jestem u jego ojca. Nagle Nicholas wyciąga rękę i kładzie ją na ramieniu syna. A ten ją przytrzymuje.

– Cześć, tатku.

– Ciężki wieczór, młody?

– Nic ująć.

– Może się więc czegoś napijesz? Chcesz szkockiej?

– Brzmi super. Wręcz doskonale.

Charlie podnosi wzrok na ojca, szczerze i otwarcie. A ja rozumiem, że źle odczytałam jego uczucia. Cokolwiek budzi jego dyskomfort, nie chodzi najwyraźniej o ojca, którego dłoń wciąż trzyma.

Wygląda na to, że Grady miał słuszość w tym punkcie – kimkolwiek był Nicholas zawodowo, jakkolwiek był paskudny i niebezpieczny, był też człowiekiem, który kładzie dłoń na ramieniu dorosłego syna i proponuje mu drinka na zakończenie trudnego dnia. Tak go widzi Charlie.

I zastanawiam się teraz, czy Grady ma może słuszość co do reszty. Albo – powinnam powiedzieć – na ile Grady ma słuszość co do reszty. Że dla swojego bezpieczeństwa – dla bezpieczeństwa Bailey – powinnam być jak najdalej stąd.

Nicholas skinieniem głowy daje znak Nedowi, a ten podchodzi do mnie. Wzdrygam się i odsuwam, podnosząc ręce do góry.

– Co pan robi? – pytam.

– Sprawdzi, czy nie ma pani podsłuchu – wyjaśnia Nicholas.

– Może mi pan uwierzyć na słowo – zapewniam. – Co bym zyskała, gdybym miała podsłuch?

Uśmiecha się.

– Już mnie nie dotyczą takie pytania – mówi. – Ale jeśli pani pozwoli...

– Proszę podnieść ręce – odzywa się Ned.

Oglądam się na Charliego, szukam u niego wsparcia. Może mi powie, że to konieczne. Nie mówi.

Spełniam prośbę Neda, mówiąc sobie, że to jak obszukanie na lotnisku, jakby mnie przeszukiwali agenci TSA. Nie ma się nad czym zastanawiać. Ale Ned ma chłodne ręce i gdy przesuwają je wzdłuż moich boków, cały czas widzę jego broń na biodrze. Gotową do użycia. I widzę, że Nicholas patrzy. Te psy obronne u jego boku też najwyraźniej są gotowe do reakcji.

Czuję, że brakuje mi powietrza, staram się tego nie pokazać po sobie. Gdyby któryś z tych mężczyzn zobaczył mojego męża, wyrządziłby mu krzywdę. Wyrządziłby mu taką krzywdę, że nic, co teraz robię, nie ma znaczenia. W głowie słyszę głos Grady'ego. „Nicholas to zły człowiek. Ci ludzie są bezwzględni”.

Ned odsuwa się ode mnie i daje znak Nicholasowi, zapewne, że nie mam podsłuchu.

Patrzę Nicholasowi w oczy, ciągle czuję na ciele dłonie ochroniarza.

– Tak pan wita wszystkich gości? – pytam.

– Ostatnio nie mam zbyt wielu gości.

Kiwam głową, wygładzając sweter, obejmuję się ramionami. Nagle Nicholas zwraca się do syna.

– Wiesz co, Charlie? Chciałbym побыć chwilę sam na sam z Hanną. Może ty wypijesz drinka przy basenie? I pojedziesz do domu?

– Hannah przyjechała ze mną.

– Marcus ją odwiezie, jak będzie chciała jechać. My pogadamy jutro, dobra?

Poklepuje syna na pożegnanie. I zanim ten zdąży coś powiedzieć, zanim w ogóle ktokolwiek zdąży coś powiedzieć, Nicholas otwiera drzwi do domu i wchodzi do środka.

W progu jednak przystaje. A ja muszę wybrać. Mogę jechać z Charliem albo zostać tu sama z Nicholasem.

Wybór należy do mnie – zostać z Nicholasem i pomóc rodzinie albo machnąć ręką na rodzinę i pomóc sobie. Można by uznać, że to dziwny sprawdzian, bo czy w ogóle trzeba mnie sprawdzać – skoro już dotarłam do miejsca, w którym dobro rodziny i moje stało się jednym i tym samym.

– Idziemy? – pyta Nicholas.

Ciągle mogę tu zostać. Ciągle mogę się z nim pożegnać. Przed oczami mam twarz Owena. On by nie chciał, żebym tu była. I twarz Grady’ego. „Niech pani stąd idzie”. Serce bije mi tak głośno, że na pewno Nicholas je słyszy. A jeśli nie, to na pewno je czuje – bijące ode mnie napięcie.

Jest taka chwila, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że się pogubił. To właśnie ten moment.

Psy patrzą na Nicholasa. Wszyscy patrzą na Nicholasa, ja też.

Aż ruszam w jednym kierunku, jaki mam do dyspozycji. Do niego.

– Pan przodem – mówię.

## Dwa lata temu

– Bailey, masz przepiękną sukienkę – powiedziałam.

Byliśmy w Los Angeles, pojechaliśmy do Venice na kolację do Felixa. Pracowałam z klientką w jej domu w Venice Canals, a Owen uznał, że to doskonała okazja, żebyśmy z Bailey spędziły trochę czasu razem. Widziałyśmy się chyba ósmy raz, ale zwykle ona usiłowała się wymigać od wspólnego posiłku. Raczej nie spędzaliśmy w trójkę całego weekendu. Zabraliśmy ją na Dudamela do amfiteatru Hollywood Bowl, który uwielbiała. I teraz jedliśmy kolację w najlepszej włoskiej knajpie w Los Angeles, którą też uwielbiała. Nie podobało się jej tylko jedno. Że w tym wszystkim uczestniczę ja.

– Bardzo ładnie ci w tym odcieniu niebieskiego – dodałam.

Nie odpowiedziała, nie zareagowała nawet cieniem ruchu głowy. Zignorowała mnie, pijąc jakiś włoski napój.

– Muszę do łazienki – powiedziała.

Wstała i wyszła, zanim Owen się odezwał.

Odprowadził ją wzrokiem. A gdy zniknęła za rogiem, odwrócił się do mnie.

– To miała być niespodzianka – powiedział. – Ale może to dobry moment, żeby ci powiedzieć, że w następny weekend zabieram cię do Big Sur.

Zostawałam w Los Angeles na tydzień, żeby dokończyć prace nad projektem w Canals, a potem miałam w piątek polecieć do Sausalito. Rozmawialiśmy o wyprawie samochodem wzdłuż wybrzeża, żeby odwiedzić kuzynostwo Owena. Mówił, że mieszkają w Carmel-by-the-Sea, niewielkiej turystycznej miejscowości na końcu półwyspu.

– Nie ma żadnych kuzynów w Carmelu? – spytałam.

– Czyiś pewnie są – poprawił.

Roześmiałam się.

– To moja zaleta – powiedział. – Nie mam nigdzie żadnych kuzynów. Nie mam żadnej rodziny poza Bailey.

– A ona jest prawdziwym błogosławieństwem.

Uśmiechnął się do mnie.

– Ty naprawdę tak uważasz, co nie?

– Oczywiście. Choć bez wzajemności.

– Jeszcze przyjdzie ten moment.

Napił się swojego drinka i przysunął go do mnie.

– Próbowalaś kiedyś buorbona Good Luck Charm? – spytał. – Piję go tylko od wielkiego dzwonu. To mieszanka bourbonu, cytryny i mięty. I działa. Przynosi szczęście.

– A do czego potrzebujesz szczęścia?

– Zamierzam cię o coś spytać, a ty powiesz, że za wcześnie cię o to pytać. Może być?

– To już jest to pytanie?

– Pytanie w drodze. Ale nie teraz, gdy moje dziecko jest w łazience, więc możesz już oddychać...

Nie mylił się. Nie oddychałam, bojąc się, że wyskoczy z pytaniem. Bałam się, że jeśli to zrobi, nie będę w stanie odpowiedzieć „tak”. I nie będę w stanie powiedzieć „nie”.

– Może cię spytam w Big Sur. Będziemy mieszkać na szczycie klifu, w otoczeniu dębów, najpiękniejszych lasów, jakie w życiu widziałas. I będziesz pod nimi spała, będziesz spała w jurtach, które wychodzą na te wszystkie drzewa, wychodzą na ocean. Jedna z nich jest zarezerwowana dla nas.

– Nigdy nie spałam w jurcie – powiedziałam.

– No to w przyszłym tygodniu to stwierdzenie będzie już nieaktualne.

Podniósł swojego drinka i upił duży haust.

– I pewnie teraz wychodzę przed szereg, ale może powinnaś wiedzieć, że nie mogę się doczekać chwili, gdy zostanę twoim mężem. Tak między nami.

– I ja między nami powiem, że czuję to samo.

I wtedy właśnie do stolika wróciła Bailey. Usiadła i rzuciła się na swój makaron, boską południowowłoską interpretację cacio e pepe. Dekadencką mieszankę sera, ostrego pieprzu i słonej oliwy.

Owen nachylił się i wziął potężny kęs, prosto z jej talerza.

– Tato! – roześmiała się.

– Dziel się z ojcem swoim – powiedział z pełną buzią. – Chcesz usłyszeć coś fajnego?

– Jasne – odparła z uśmiechem.

– Hannah zdobyła dla naszej trójki bilety na wznowienie Boso w parku jutro wieczorem w Geffen. Ona też uwielbia Neila Simona. Czy to nie cudowna wiadomość?

– Jutro znowu widzimy się z Hanną? – wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się zreflektować.

– Bailey... – Owen pokręcił głową.

I spojrzął na mnie przepraszająco: „Przykro mi, że ona taka jest”.

Wzruszyłam ramionami: „Naprawdę nie ma sprawy, niech sobie będzie”.

Rzeczywiście tak myślałam. Nie przeszkadzało mi to. Była nastolatką, która przez większość życia nie miała matki. Chciała mieć ojca i nic więcej. Nie oczekiwałam, że będzie zadowolona z perspektywy dzielenia się nim z kimś innym. I moim zdaniem nikt nie powinien tego od niej oczekiwać.

Spuściła wzrok zakłopotana.

– Przepraszam. Mam... mam po prostu dużo lekcji.

– Nie, dajcie spokój, jest okej – powiedziałam. – Mam mnóstwo roboty. Może wy pójdziecie we dwójkę? Ty i tata. I może spotkamy się potem w hotelu, jak już skończysz naukę?

Spojrzała na mnie, czekając na pułapkę. Nie było żadnej. Chciałam, żeby to zrozumiała. Bez względu na wszystkie moje właściwe i niewłaściwe posunięcia (a sądząc po początkach, mnóstwo moich posunięć Bailey uważała za niewłaściwe), nigdy nie zamierzałam zastawiać pułapki. To mogłam jej obiecać. Jeśli chodziło o mnie, nie musiała być miła. Nie musiała udawać. Musiała tylko być sobą.

– Szczerze, Bailey – powiedziałam. – Żadnego ciśnienia...

Owen uściśnął moją dłoń.

– Naprawdę chciałbym, żebyśmy poszli wszyscy – powiedział.

– Następnym razem – odparłam. – Zrobimy tak przy następnej okazji.

Bailey podniosła wzrok. I zanim zdążyła to ukryć, zobaczyłam coś. Widziałam to w jej oczach, jak tajemnicę, do której nie chciała mnie dopuścić – wdzięczność, że ją rozumiałam. Widziałam, jak bardzo potrzebuje kogoś, kto ją rozumie, kogoś oprócz ojca. Pomyślała przez sekundę – że może, może!, tym kimś mogę się okazać ja.

– Tak – powiedziała. – Przy następnej okazji.

I po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła.

## Niektóre rzeczy musisz zrobić sam

Idziemy długim korytarzem o ścianach obwieszonych zdjęciami artystycznymi, jedno przedstawia Wybrzeże Kalifornijskie. Obłędne wybrzeże nieopodal Big Sur. Fotografia ma prawie dwa metry długości, widok z lotu ptaka tej niewiarygodnej połaci drogi wyciętej w stromych skałach, nad oceanem. Tak się na niej skupiam, czerpiąc odrobinę pokrzepienia z widoku znajomego krajobrazu, że niewiele brakuje, bym przeoczyła jadalnię. A w środku stół, mój stół jadalniany – ten, który się pojawił w „Architectural Digest”. Stół, dzięki któremu ruszyła moja kariera.

To moje najczęściej fotografowane dzieło. Po artykule w „Architectural Digest” duża sieć meblowa zaczęła nawet robić jego repliki.

To dla mnie zaskoczenie. Nicholas powiedział, że jego żona starannie dobrała każdy element wystroju tego domu. A jeśli się natknęła na artykuł w „Architectural Digest”? Jeśli w ten sposób trafiła na ten stół? To niewykluczone. Artykuł cały czas wisi na ich stronie. Gdyby w ostatnich latach wykonała odpowiednią liczbę kliknięć, mogłaby dotrzeć do zaginionej wnuczki, gdyby szukała dostatecznie wnikliwie, gdyby tylko wiedziała, czego szukać.

Odpowiednia liczba ruchów w końcu doprowadziła mnie do tego domu, w którym nie chcę być – i tu mnie dopadł fragment mojej przeszłości, jakbym potrzebowała jeszcze jednego przypomnienia, że wszystko, co się liczy w moim życiu, zależy od tego, co się dzieje teraz.

Nicholas odsuwa ciężkie dębowe drzwi i przytrzymuje je dla mnie.

Staram się nie patrzeć na Neda, który podąża metr za nami. Staram się nie patrzeć na śliniące się psy, które kroczą u jego boku.

Idę za Nicholasem do jego gabinetu, rozglądam się – krzesła w ciemnej skórze, lampki do czytania, mahoniowe półki, a na nich encyklopedie i klasyka. Na ścianach dyplomy i wyrazy uznania, wyróżnienia. Phi Beta Kappa. „Law Review”. Oprawione wiszą dumnie.

Ten gabinet różni się od reszty domu. Wydaje się bardziej osobisty. Pełno tu zdjęć rodzinnych – na ścianach, na stoliku, na półkach. Ale na

biurku stoją wyłącznie fotografie Bailey. Oprawione w ramki ze srebra, powiększone dwukrotnie. Na wszystkich jest mała Bailey z ciemnymi oczami, wielkimi jak spodki. I jej delikatne loki, żadnego fioletu.

No i jest jej matka, Kate. Na niemal każdym zdjęciu trzyma córkę: Bailey i Kate jedzące lody; Bailey i Kate przytulone na ławce w parku. Mój wzrok przyciąga zdjęcie, na którym kilkudniowa Bailey ma na głowie maleńką niebieską czapeczkę. Kate leży z nią w łóżku, przytyka usta do jej usteczek, czoło do jej czoła. Mało mi nie pęka serce. I zakładam, że Nicholas dlatego trzyma je w zasięgu wzroku – podobnie jak wszystkie inne – że codziennie mają łamać mu serce.

O to właśnie chodzi z dobrem i złem. Nie różnią się tak bardzo – i często zaczynają się w tym samym miejscu, od pragnienia, żeby coś się zmieniło.

Ned zostaje na zewnątrz. Nicholas daje mu znak skinieniem głowy i on zamyka drzwi. Grube dębowe drzwi. Ochroniarz na korytarzu, psy na korytarzu.

A my dwoje w gabinecie, sami.

Nicholas podchodzi do baru i nalewa nam drinka. Podaje mi mój i siada za biurkiem, wskazując mi krzesło naprzeciwko – głębokie skórzane krzesło ze złotymi tłoczeniami.

– Proszę usiąść wygodnie – mówi.

Siadam z drinkiem w dłoni. Ale nie podoba mi się, że siedzę tyłem do drzwi. Przez chwilę wpada mi do głowy, że zaraz ktoś tu wejdzie i mnie zastrzeli. Któryś z ochroniarzy może mnie zastrzelić, psy mogą zaatakować. Może tu wpaść Charlie. Może źle zrozumiałam to, co Owen napisał w testamencie. Może próbując wybawić Bailey i Owena z opresji, w którą ich wepchnęłam, sama weszłam do paszczy lwa. Poświęcenie. W imię Kate. Albo Owena. Albo Bailey.

Mówię sobie, że to w porządku. Jeśli zrobię to, po co przyszłam, pogodzę się z tym.

Odstawiam drinka. I mój wzrok znowu biegnie ku zdjęciom maleńkiej Bailey. Na jednym widzę ją w sukience wyjściowej, z kokardą na głowie.

Daje mi to poczucie komfortu psychicznego i Nicholas to chyba zauważa. Bierze zdjęcie do ręki i podaje mi.

– To były drugie urodziny Kristin. Mówiła już pełnymi zdaniami. To było niesamowite. Może z tydzień później zabrałem ją do parku i wpadliśmy na jej pediatrę. Spytał, co u niej, a ona mu odpowiedziała całą opowieścią. Nie mógł w to uwierzyć.



Trzymam to zdjęcie w rękach. Bailey patrzy ze zdjęcia, te loki to preludium pełni jej osobowości.

– Wierzę w to – mówię.

Nicholas odchrząkuje.

– Rozumiem, że nadal taka jest?

– Nie. Dziś raczej się wypowiada monosylabami, w każdym razie w komunikacji ze mną. Ale ogólnie tak. Ogólnie jest gwiazdą.

Podnoszę wzrok na jego twarz. Jest wściekły. Nie jestem pewna na co. Czy jest wściekły, bo zrobiłam coś, przez co Bailey mnie nie lubi tak, jak bym chciała? Czy też może jest wściekły, że sam nie miał cienia szansy?

Oddaję mu zdjęcie. On je odstawia na biurko, obsesyjnie przesuwa na miejsce, w którym stało. Każda pamiątka po niej musi być dokładnie tam, gdzie może ją znaleźć. Kojarzy mi się to z zaklinaniem – jakby myślał, że jeśli będzie zawsze na miejscu, to on ją odnajdzie.

– No więc... z czym pani do mnie przyszła, Hanno?

– Cóż, mam nadzieję, że zawrzemy ugode, panie Bell.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Nicholasie.

– I nie.

Wzdycham, przesuвам się do przodu na siedzeniu.

– Nawet pan jeszcze nie wysłuchał tego, co mam do powiedzenia.

– Miałem na myśli, że nie, to nieprawda, że przyszła tu pani, żebyśmy doszli do porozumienia. Oboje o tym wiemy. Przyszła pani tu w nadziei, że nie jestem taki, jak wszyscy mówią.

– To nieprawda. Nie interesuje mnie, kto tu miał rację, a kto nie.

– Świetnie – mówi. – Bo pewnie nie spodobałaby się pani szczerą odpowiedź. Ludzie zwykle nie działają w ten sposób. Mamy swoje zdanie i przyswajamy te informacje, które do niego pasują.

– Nie bardzo pan wierzy w to, że ludzie zmieniają zdanie?

– A to panią dziwi?

– Zwykle nie, ale pan jest prawnikiem. Czy ta praca nie polega w dużej mierze na przekonywaniu ludzi?

Uśmiecha się.

– Chyba mnie pani myli z oskarżycielem – mówi. – Adwokat, w każdym razie dobry adwokat, nigdy nie próbuje nikogo do niczego przekonać. Wręcz przeciwnie. Przypominamy wszystkim, że niczego nie wiedzą na pewno.

Sięga do brązowego pudełka na biurku, do papierošnicy. Otwiera je i wyjmuje papierosa.

– Nie pytam, czy się pani poczęstuje. Obrzydliwy nałóg, wiem. Ale zacząłem palić jako nastolatek, w mieście, z którego pochodzę, nie było co robić. I potem zacząłem znowu palić w więzieniu, z tego samego powodu. Od tego czasu nie jestem w stanie rzucić. Próbowałem, kiedy jeszcze była z nami moja żona. Nosiłem plastry nikotynowe. Widziała pani takie coś? Pomagają, jeśli człowiek ma dyscyplinę, ale ja już nie udaję. Odkąd straciłem żonę, już nie. Po co? Charlie nie daje mi z tym spokoju, ale niewiele może zrobić. Myślę, że jestem starym człowiekiem i że na coś muszę umrzeć.

Wsuwa papierosa do ust, w dłoni trzyma srebrną zapalniczkę.

– Jeśli pani pozwoli, chętnie opowiedziałbym pani pewną historię – mówi. – Słyszała pani o Harrisie Grayu?

– Nie sądzę.

Zapala, zaciąga się.

– Nie, no jasne. Gdzie miałyby pani słyszeć? Dzięki niemu poznałem dawnych pracodawców. On miał wtedy dwadzieścia jeden lat i bardzo niską rangę. Gdyby stał wyżej, panowie na czele organizacji wezwaliby któregoś ze swoich prawników i wyciągnęliby go z tarapatów, a ja bym nie siedział tu teraz. Ale nie był. Więc zostałem wezwany ja, żeby go bronić. Przypadkowe zlecenie wysłane do biura obrońcy z urzędu w wieczór, gdy pracowałem do późna. Harrisa złapano z oksykodonem. Nie toną, ale z ilością wystarczającą. Postawiono mu zarzut zamiaru rozprowadzania. No i nie muszę chyba mówić, że rzeczywiście miał taki zamiar. – Znowu się zaciąga. – W każdym razie wykonałem swoją robotę, może odrobinę za dobrze. Harris powinien dostać jakąś odsiadkę, trzy lata, może sześć, gdyby trafił na złego sędziego. Ale dzięki mnie wyszedł wolny.

– Jak pan to zrobił?

– Tak jak wszystko, co chce się zrobić dobrze – odpowiada. – Przyłożyłem się. A oskarżyciel się tego nie spodziewał. Był leniwy. Pomiął niektóre dowody świadczące o niewinności, więc uzyskałem oddalenie zarzutów. I Harris wyszedł na wolność. Jego zleceniodawcy zaprosili mnie następnie na spotkanie. Byli pod wrażeniem. Chcieli mi to powiedzieć. I chcieli, bym to powtórzył dla innych członków organizacji, którzy napytali sobie biedy.

Nie wiem, czy on ode mnie czegoś oczekuje, czy mam coś powiedzieć, ale patrzy na mnie, może tylko by mieć pewność, że słucham.

– Ci panowie stojący na czele organizacji Harrisa uznali, że dzięki mojej biegłości ich ludzie mogą działać. Więc prywatnym samolotem zabrali mnie i moją żonę na Południową Florydę. Nigdy wcześniej nie leciałem pierwszą klasą, a co dopiero prywatnym odrzutowcem. Ale dowieźli mnie tam swoim samolotem i umieścili w apartamencie hotelowym nad wodą, z własnym lokajem, i złożyli mi propozycję biznesową, jaką trudno odrzucić. – Urwał. – Właściwie nie wiem, dlaczego mówię o tym prywatnym odrzutowcu czy lokaju. Może aby zasugerować, że nie czułem się swobodnie przy swoich pracodawcach. Nie chcę powiedzieć, że nie miałem wyboru i musiałem dla nich pracować. Uważam, że zawsze mamy wybór. I ja podjąłem wybór, że będę bronić ludzi, którzy w oczach prawa zasługują na porządną obronę. To pewien zaszczyt. Nigdy nie okłamałem swojej rodziny w tym temacie. Oszczędziłem im niektórych szczegółów, ale znali ogólny obraz i wiedzieli, że nie przekraczam pewnej granicy. Wykonywałem swoją pracę. Zająłem się rodziną. W ostatecznym rozrachunku niewiele się to różni od pracy dla koncernu tytoniowego. Trzeba wykonać ten sam rachunek sumienia.

– Tylko że ja dla koncernu tytoniowego też bym nie pracowała – mówię.

– Cóż, nie wszyscy możemy sobie pozwolić na luksus posiadania takich ortodoksyjnych zasad moralnych.

W jego głosie słyhać jakąś ostrość. Korzystam z okazji i spieram się z nim, ale przychodzi mi do głowy, że może właśnie dlatego on mi opowiada swoją historię; chce, bym poznała jego wersję. Chce mnie sprawdzić. Sprawdzić, czy zrobię dokładnie to – czy się pokłóczę, zaangażuję. Na pewno z tego powodu zaprezentował tę historię w ten sposób – to pierwszy sprawdzian. Chce zobaczyć, czy ślepo dam się wkręcić, żeby się mu przypodobać, czy będę człowiekiem.

– Mój kodeks moralny jest aż tak ortodoksyjny, ale wydaje mi się, że pańscy pracodawcy powodowali wiele krzywd i pan o tym wiedział – mówię. – A i tak świadomie im pan pomagał.

– Więc do tego się sprowadza rozróżnienie? – pyta. – Nie czynisz krzywdy? A to nie krzywda, kiedy oddzielasz dziecko od rodziny zaraz po tym, jak straciło matkę? A to nie krzywda, kiedy pozbawiasz to dziecko

wiedzy o istnieniu wszystkich osób, które mogą jej przypominać o matce? Wszystkich osób, które ją kochają?

Ach, już rozumiem. Nicholas nie opowiedział mi swojej historii, żeby się przedstawić w lepszym świetle albo żeby zobaczyć, czy wejść w spór z nim. Opowiedział mi ją, żebym go doprowadziła dokładnie do tego miejsca, gdzie będzie mógł wyrazić swoją wściekłość. Chciał mnie w to wkłęcić. Chciał mnie zranić tą krzywdą, którą Owen wyrządził – ceną, którą postanowił zapłacić.

– Chyba jego hipokryzja jest dla mnie najdotkliwsza – mówi. – Zważywszy na to, że Ethan doskonale wiedział, co robię, a czego nie robię dla moich pracodawców. Wiedział więcej niż moje dzieci. Częściowo dlatego, że znał się na kodowaniu i komputerach. A częściowo, ponieważ zbliżyliśmy się ze sobą i go dopuściłem. Powiedzmy po prostu, że pomagał mi robić różne rzeczy. Dzięki temu był w stanie narobić tych kłopotów, które narobił.

Nie wiem, jak się z tym spierać. Nie wiem, jak się spierać z Nicholasem na którykolwiek z tych tematów. On tak siebie widzi – jako człowieka kochającego rodzinę, jako człowieka skrzywdzonego. A Owena widzi jako osobę, która go skrzywdziła, przez co Owen jest winny i koniec. Nie mogę polemizować z czymś tak integralnym dla jego postrzegania siebie. Więc decyduję się nie spierać. Tylko pójść inną drogą.

– Nie sądzę, by pan się mylił – mówię.

– Nie?

– O swoim mężu wiem jedno: dla rodziny zrobiłby wszystko. A pan był dla niego rodziną, więc wyobrażam sobie, że brał udział we wszystkim, o co go pan poprosił. Aż uznał, że więcej już nie może.

– Kiedy Ethan pojawił się w życiu mojej córki, ja już od dawna pracowałem dla swoich pracodawców. I również dla innych osób. Dalej walczyłem o ludzi, których by pani zaakceptowała, dalej pracowałem również dla takich klientów, ale pani zapewne nie jest zainteresowana moimi dobrymi uczynkami.

Nic nie mówię. On nie oczekuje, że coś powiem. Chce wyłożyć swój punkt widzenia i właśnie się stara do niego dotrzeć.

– Ethan winił mnie za to, co się stało z Kate. Winił moich pracodawców, podczas gdy oni nie mieli z tym nic wspólnego. Kate pracowała dla sędziego Sądu Najwyższego w Teksasie. Bardzo wpływowego sędziego. Wiedziała pani o tym?

– Tak.

– Wiedziała pani, że ten sędzia ostro zmienił kurs sądu na lewo i miał wkrótce oddać decydujący głos przeciwko wielkiej kompanii energetycznej, drugiej w kraju pod względem wielkości? Jeśli chce pani porozmawiać o prawdziwych przestępcach, ci panowie wypuszczali do atmosfery wysoko toksyczne chemikalia w stężeniu, od którego puchły oczy.

Przygląda mi się.

– Ten sędzia, szef Kate, pisał opinię większościową przeciwko korporacji. Doprowadziłaby ona do głębokiej reformy i kosztowałaby korporację prawie sześć miliardów dolarów na wydatki w celu lepszej ochrony środowiska. Nazajutrz po śmierci mojej córki sędzia znalazł w skrzynce pocztowej kulę. Na co to pani wygląda? Na zbieg okoliczności? Czy strzał ostrzegawczy?

– Mam za mało informacji – odpowiadam.

– No a Ethan uznał, że ma wystarczająco. Nie dało się go przekonać, że ludzie, których chronięm przez dwadzieścia lat, nie zrobiliby tego mojej córce. Że ja znam tych ludzi i oni mają swój kodeks honorowy. Że oni tak nie działają. Nawet ich najnikczemniejsi koledzy nie robili takich rzeczy bez rozkazu. Ale Ethan nie chciał w to wierzyć. On chciał winić tylko mnie. I chciał mnie ukarać. Jakby jeszcze było mi mało. – Urywa na chwilę. – Nie ma nic gorszego niż strata dziecka. Nic. Zwłaszcza jeśli rodzina jest sensem twojego życia.

– Rozumiem.

– A pani mąż nie rozumiał. Tej części mnie on nigdy nie rozumiał. Po jego zeznaniach spędziłem w więzieniu sześć i pół roku, żeby nie narazić mojej rodziny na ryzyko, wyjawiając tajemnice moich mocodawców. Co oni też uznali za służbę. Więc moi mocodawcy nadal są dla mnie szczerzy. Choć jestem na emeryturze, uważają mnie za rodzinę.

– Choć pański zięć wielu z nich posłał do więzienia?

– Większość ludzi, którzy wraz ze mną trafili do więzienia, była niższego szczebla – mówi Nicholas. – Ja wziąłem na siebie cios wymierzony w szefostwo. Nie zapomnieli tego. Nie zapomną.

– Więc mógłby pan ich poprosić, żeby oszczędzili Ethana? Teoretycznie? Gdyby pan chciał?

– Nie słuchała mnie pani? Nie pragnę tego. Poza tym ja nie mogę spłacić jego długów. Nikt nie może.

– Dopiero co pan powiedział, że zrobią dla pana wszystko.

– Może pani chciała to usłyszeć. Ja powiedziałem, że są dla mnie szczydry, pod pewnymi względami. Nie pod każdym. Zresztą nawet rodzinie nie odpuszczają wszystkiego.

– Przypuszczam, że raczej nie.

I wtedy uświadamiam sobie, co jeszcze się tu dzieje. Dostrzegam to, do czego Nicholas się nie przyznaje.

– Pan nigdy nie lubił Ethana, prawda? – pytam.

– Słucham?

– Jeszcze przed tym wszystkim, gdy go pan poznał, nie był pańskim faworytem. Do ręki Kate. Ten biedny dzieciak z Południowego Teksasu, który chciał poślubić pańską jedyną córkę. Nie tego pan dla niej pragnął. On był taki jak pan. Wychował się w takim miasteczku jak pan. Za bardzo pana przypominał w wersji, o której pan chciał zapomnieć.

– Pani jest terapeutką?

– Ani trochę. Po prostu się przykładam.

Spojrzał na mnie rozbawiony. To mu się wyraźnie spodobało. Podoba mu się, że walczę z nim jego własną bronią.

– Więc o co mnie pani prosi?

– Cokolwiek pan zrobił, zrobił pan to po to, żeby pańskie dzieci miały większe szanse niż pan. Kate. Charlie. Łatwiejsze wybory. Żeby mieli obiecujące dzieciństwo. Najlepsze szkoły, najwspanialsze możliwości. Żeby nie musieli walczyć tak mocno. A jednak jedno z pańskich dzieci rzuca studia architektoniczne i postanawia przejąć rodzinny bar swojej żony. I rozwodzi się.

– Proszę uważać.

– Drugie zaś wybiera ostatniego człowieka, jakiego by pan chciał widzieć u jej boku.

– Jak mawiała moja żona, nie wybieramy miłości dla swoich dzieci. Pogodziłem się z tym, że poślubiła Ethana. Pragnąłem, żeby była szczęśliwa.

– Ale miał pan przeczucie, prawda? Nie był najlepszą partią dla Kate, nie dał jej szczęścia.

Nicholas wychyla się do przodu, uśmiech zniknął.

– Wiedziała pani, że kiedy Kate i Ethan zaczęli się spotykać, ona się do mnie nie odzywała przez rok?

– Jeszcze wczoraj w ogóle nie wiedziałam o istnieniu Kate – mówię. –  
Więc nie orientuję się też w szczegółach ich związku.

– Była na pierwszym roku i uznała, że nie chce mieć z nami nic wspólnego. Czy raczej ze mną... z matką nigdy nie przestała rozmawiać. Tak na nią wpływał Ethan. Ale przetrwaliśmy to. Kate wróciła do domu i zawarliśmy pokój. Córki tak robią. Kochają swoich ojców. A Ethan i ja...

– Zaufał mu pan?

– Tak. Najwyraźniej nie powinienem. Ale zaufałem. Mógłbym coś opowiedzieć o pani mężu i już nigdy nie patrzyłaby pani na niego w ten sam sposób.

Milczę. Bo wiem, że Nicholas mówi prawdę, w każdym razie prawdę ze swojego punktu widzenia. Owen w jego oczach jest zły. Zrobił złe rzeczy Nicholasowi. Zawiódł jego zaufanie. Ukradł mu wnuczkę. Zniknął.

Nicholas ma w tym wszystkim rację. Może nawet co do mnie. Chce, bym zwątpiła w Owena, i nietrudno pójść tą drogą. Owen nie był tą osobą, za którą go uważałam, w każdym razie w szczegółach. Pewnych rzeczy wolałabym nie wiedzieć, rzeczy, od których już nie będę mogła odwrócić wzroku. Tak czy owak, jeśli kogoś kochamy, podpisujemy taką umowę. Nie odwracamy się od tych części tego kogoś, których nie chcemy widzieć. Czy dostrzegamy je od razu, czy później. Akceptujemy je, jeśli mamy dostatecznie dużo siły. Albo akceptujemy je na tyle, aby te złe rzeczy nie zdominowały reszty.

Bo właśnie. Szczegóły to przecież nie wszystko. Nasze wszystko zawiera również to: Kocham Owena. Kocham go, a Nicholas nie sprawi, że dojdę do wniosku, że nie powinnam. Że zostałam oszukana. Mimo wszystko, mimo tych wszystkich dowodów uważam, że nie zostałam oszukana. Wierzę, że znam mojego męża, że znam to, co w nim najważniejsze. Dlatego tu siedzę. I dlatego mówię:

– Mimo wszystko chyba pan wie, jak bardzo mój mąż kocha pańską wnuczkę?

– O co pani chodzi?

– Chcę z panem zawrzeć układ.

Wybucha śmiechem.

– Znowu do tego wracamy? Kochana, pani nie wie, co mówi. Pani nie może tu zawrzeć żadnego układu.

– Chyba jednak.

– Skąd ten pomysł?

Biorę głęboki oddech, wiedząc, że to moment prawdy z Nicholasem. Wszystko zależy od tego, jak mu to sprzedam. Albo mnie teraz wysłucha, albo nie. Na szali leży przyszłość mojej rodziny. Moja tożsamość. Tożsamość Bailey. Życie Owena.

– Myślę, że mój mąż raczej dałby się zabić, niż dopuścić pana do wnuczki. Tak myślę. Udowodnił to, wrywając wszystko z korzeniami, i zabierając ją stąd. Choć pan jest na to wściekły, szanuje go pan za to, że jest takim ojcem. Nie podejrzewał go pan o to.

Nicholas nic nie mówi, ale też nie odwraca spojrzenia. Wytrzymuje mój wzrok. Wyczuwam, że rośnie w nim gniew, odrobinę za mocno, ale mówię dalej.

– I podejrzewam, że chciałby pan mieć kontakt z wnuczką? I to pewnie częsty. Mógłby pan paktować z byłymi współpracownikami, żeby zapewnić sobie taką przyszłość. Z tego, co pan mówi, może pan nalegać, żeby nas zostawili w spokoju, żebyśmy zachowali życie. Jeśli chce pan znać wnuczkę, chyba pan wie, że to wszystko zależy od pana. Albo ona znowu zniknie. Bo to jest alternatywa, tak w każdym razie mi powiedziano. Program ochrony świadków, od nowa. Pańska wnuczka nie będzie już mogła być pańską wnuczką. Znowu.

No i oczywiście. Jakby ktoś przestawił włącznik, oczy Nicholasa ciemnieją, stają się puste. Twarz mu sinieje.

– Co pani powiedziała?

Wstaje. Ja odsuwam fotel, zupełnie bezwiednie. Przemieszczam się w stronę drzwi, jakby on mógł mnie zaatakować. Wydaje mi się to możliwe. Nagle wszystko się staje możliwe, o ile nie opuszczę tego pomieszczenia. O ile od niego nie ucieknę.

– Nie lubię, kiedy mi się grozi – mówi.

– Nie grozę panu. – Z trudem panuję nad głosem. – Nie taki miałam zamiar.

– A jaki?

– Proszę, żeby mi pan pomógł zapewnić bezpieczeństwo wnuczce. Żeby tak pan zorganizował sprawy, by ona mogła poznać swoją rodzinę. Poznać pana.

Nie siada z powrotem. Patrzy na mnie gniewnie. Przez długi czas. W każdym razie mnie się tak wydaje.

– Tamci panowie – mówi w końcu – moi dawni mocodawcy... Może mógłbym coś z nimi wypracować. Kosztowałyby mnie to sporo zasobów.



I na pewno by się zastanawiali, kim się staję na starość. Ale... chyba moglibyśmy dopilnować, żeby zostawili w spokoju panią i moją wnuczkę.

Kiwam głową. Gardło mi się zaciska, gdy zaczynam pytanie, następne pytanie, które muszę zadać.

– A Ethana?

– Nie. Ethana nie.

Mówi to jednoznacznie. Ostatecznie.

– Gdyby Ethan miał wrócić, nie mógłbym mu zapewnić bezpieczeństwa – mówi. – Jego dług jest za duży. Jak powiedziałem, nie mogę chronić Ethana, nawet gdybym sam był do tego skłonny. A nie jestem, jeśli mam być szczery.

Byłam na to przygotowana, na to nienegocjowane stanowisko. Byłam przygotowana, na ile się dało – bo gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że nie będę musiała tego robić. Tego, po co tu przyjechałam. Mimo że od samego początku trochę w to nie wierzyłam.

– Ale pańska wnuczka? Może jej pan zapewnić bezpieczeństwo? Tak pan mówi?

– Potencjalnie.

Milczę chwilę. Milczę, póki nie zyskam pewności, że głos mnie nie zawiedzie.

– A więc dobrze – mówię.

– A więc dobrze? Co więc dobrze?

– Chciałabym porozmawiać o tym z pańskimi dawnymi mocodawcami.

Nawet nie próbuje ukryć, jaki jest zaskoczony. Jest zaskoczony, bo sądził, że wie, po co przyszłam. Sądził, że przyszłam błagać o życie Owena, o jego bezpieczeństwo. Nie rozumie, że to właśnie robię, choć pozory wskazują na coś innego.

– Rozumie pani, o czym mówimy? – pyta.

Mówimy o życiu bez Owena. I tyle. Życiu, które w niczym nie przypomina tego, co sobie wyobrażałam, ale jest to życie, w którym Bailey może zostać sobą. Może zostać młodą kobietą, którą się stała pod uważnym okiem Owena, tą, z której jest taki dumny. Będzie dalej miała swoje życie, za dwa lata pójdzie co college'u, zacznie układać swoją przyszłość, jaką tylko będzie chciała, jako ona sama, nie jako ktoś inny, nie jako ktoś, kogo musi udawać.

Będziemy z Bailey żyć dalej – ale bez Owena, bez Ethana. Owen, Ethan: oni dwaj zaczną mi się mylić. Mąż, którego podobno znałam, mąż,

którego nie znałam. Mąż, którego nie mogę mieć. O tym mówię.

Taki pakt chcę zawrzeć, jeśli Nicholas się zgodzi. I dlatego wyjawiam mu dlaczego.

– Tego chce Ethan.

– Życ bez niej? Nie wierzę.

Wzruszam ramionami.

– Nie szkodzi, to nadal prawda.

Zamyka oczy. Nagle sprawia wrażenie zmęczonego. Na pewno po części dlatego, że myśli o sobie – o córce, i wnuczce, bez której musiał żyć. Ale też dlatego, że współczuje Owenowi, choć tego nie chce.

Właśnie tego Nicholas zupełnie nie chce mi pokazywać. Swojego ludzkiego oblicza.

Więc postanawiam wyznać mu prawdę, ujawnić pewną rzecz, która od tygodnia nie daje mi spokoju.

– Nigdy nie miałam matki – mówię. – Odeszła, kiedy byłam mała, niewiele starsza od pańskiej wnuczki, gdy ją pan widział po raz ostatni. I nie brała udziału w moim życiu w żaden istotny sposób. Czasami przysyłała kartkę albo dzwoniła.

– I dlaczego mi to pani mówi? Żeby wzbudzić moje współczucie?

– Nie, nie dlatego. Miałam dziadka, który był absolutnie niesamowity. Inspirujący. I kochający. Miałam więcej niż większość ludzi.

– Więc dlaczego?

– Mam nadzieję, że dzięki temu pan zrozumie, że nawet w obliczu tego, co jeszcze mogę tu stracić, moim priorytetem jest pańska wnuczka. Dopóki robię to, co jest dla niej dobre, choćbym nie wiem ile miała zapłacić, uważam, że warto. Pan wie o tym lepiej niż ja.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Pan zaczął.

Nic nie mówi. Nie musi. Bo rozumie, co chcę mu przekazać. Moja matka nigdy nie walczyła o swoją rodzinę – nigdy nie próbowała walczyć o mnie. Taka była. I ja oto chcę zrezygnować ze wszystkiego, żeby dla Bailey zrobić coś przeciwnego. Taka jestem.

I jeśli Nicholas zgodzi się na to, o co go proszę, to również się zdefiniuje. To nas będzie łączyć. Bailey będzie nas łączyć. Nas, dwoje ludzi, którzy robią dla niej to, co trzeba.

Krzyżuje ramiona na piersi, jakby się obejmował, jakby się mobilizował do czegoś, do czego słuszności nie jest przekonany.

– Jeśli sądzi pani, że to się pewnego dnia zmieni – mówi – że pewnego dnia to się skończy i Ethan wróci do pani, pojawi się w waszym życiu, a oni na to pozwolą... to nie. To nie wchodzi w grę. Ci ludzie nie zapominają. To niemożliwe.

Zbieram siły, by powiedzieć to, co do czego jestem przekonana:

– Nie sądzę tak.

Nicholas mi się przygląda. I chyba go przekonałam. Albo chociaż zbliżamy się do siebie. Na dobre i na złe.

Ale rozlega się pukanie do drzwi. I wchodzi Charlie. Charlie, który najwyraźniej został, wbrew poleceniom Nicholasa. Nicholas chyba nie jest zadowolony z takiego stanu rzeczy. Ale zaraz będzie jeszcze mniej zadowolony.

– Przed bramą jest Grady Bradford – mówi Charlie. – A za nim z dziesiątka funkcjonariuszy.

– Długo im to zajęło – mówi Nicholas.

– Co mam zrobić? – pyta Charlie.

– Wpuść go.

I Nicholas odwraca się do mnie, patrzy mi w oczy, tamta chwila między nami najwyraźniej dobiegła końca.

– Jeśli Ethan wróci, oni się dowiedzą – mówi. – Zawsze będą go pilnować.

– Rozumiem.

– Mogą go znaleźć, nawet jeśli nie wróci – dodaje.

– No cóż, na razie go nie znaleźli.

Przechyliła głowę, przyglądając mi się.

– Myślę, że pani jest w błędzie – mówi. – Myślę, że ostatnia rzecz, jakiej Ethan by chciał, to żyć bez córki...

– Nie sądzę, by to była ostatnia. O nie.

– A co?

„Najgorsze dla niego by było, gdyby coś się stało Bailey – chcę powiedzieć. – Gdyby coś się jej stało z jego powodu, z powodu jego powiązań z tym wszystkim tutaj. Gdyby stała się jej krzywda. Gdyby została zabita”.

– Coś innego.

„Chroń ją”.

Charlie dotyka mojego ramienia.

– Musisz jechać, odwiozę cię.

Wstaję do wyjścia. Wydawało się, że Nicholas mnie słucha, a teraz wydaje się, że nie chce już nic słyszeć. I to koniec.

Nic już tu nie zdziałam. Ruszam więc za Charliem. Kieruję się do drzwi.

Nagle woła za nami Nicholas.

– Kristin... Myśli pani, że ona by się chciała ze mną spotkać?

Odwracam się, patrzę mu w oczy.

– Tak sądzę. Tak.

– Jak by to wyglądało?

– To ona zdecyduje, jak bardzo i jak często się z panem będzie widywać. Ale zapewniam, że ta studnia nie jest zatruta. Dopilnuję, by rozumiała, że wiele z tego, co się tu dzieje, nie ma nic wspólnego z pańskimi uczuciami do niej. I że powinna pana poznać.

– A ona pani posłucha?

Jeszcze tydzień temu musiałabym powiedzieć, że nie. Jeszcze dziś rano...? Wyszła z pokoju, wiedząc, że ja chcę, by została. A jednak... on musi wierzyć, że odpowiedź jest twierdząca. Musi uwierzyć i ja też muszę, bo inaczej się to nie uda. Wiem, że od tego wszystko zależy.

Kiwam głową.

– Tak.

Nicholas przez chwilę milczy.

– Niech pani wraca do domu – mówi. – Nic wam nie grozi. Ma pani moje słowo.

Biorę głęboki oddech. Zaczynam płakać, tam przed nim, szybko zasłoniwszy oczy.

– Dziękuję.

Podchodzi do mnie z chusteczką w rękę.

– Niech mi pani nie dziękuje – mówi. – Nie robię tego dla pani.

Wierzę mu. I tak jednak biorę chusteczkę. A potem wychodzę jak najszybciej.

## Diabeł tkwi w szczegółach

W samochodzie Grady mówi do mnie jedną rzecz, która zostanie ze mną na zawsze.

Mówi tę rzecz w drodze do siedziby urzędu szeryfa, gdzie czeka Bailey.

Nad Lady Bird Lake wstaje słońce, Austin budzi się do życia. Kiedy włączamy się w ruch na autostradzie, Grady odwraca wzrok od drogi i patrzy na mnie – jakbym w innym wypadku nie zorientowała się, jak bardzo jest niezadowolony z mojej decyzji.

I mówi to.

– Oni się zemszczą na Owenie, tak czy inaczej. Powinna pani to wiedzieć.

Wytrzymuję jego wzrok, bo chociaż tyle mogę zrobić. Bo nie dam mu się zastraszyć.

– Nicholas po prostu nie odpuści. Dała się pani ograć.

– Nie sądzę.

– A jeśli się pani myli? Jaki jest plan? Wsiąść w samolot, wrócić do swojego życia i mieć nadzieję, że będziecie bezpieczne? Nie jesteście bezpieczne. To tak nie działa.

– Skąd pan wie?

– Przede wszystkim z piętnastu lat doświadczenia.

– Nicholas nie ma ze mną problemu – mówię. – Ja o niczym nie wiedziałam.

– Ja to wiem i pani to wie. Ale Nicholas nie, nie ma stuprocentowej pewności. A on sobie nie pozwala na wątpliwość w takich sprawach.

– A ja myślę, że to wyjątkowe okoliczności.

– Dlaczego?

– Myślę, że on chce poznać swoją wnuczkę. Bardziej niż ukarać Owena.

To mu daje do myślenia. Widzę, że się nad tym zastanawia. I widzę, że dochodzi do wniosku, do którego i ja doszłam – że może, może to prawda.

– Nawet jeśli co do tego ma pani rację, to kiedy pani to zrobi, nigdy już nie zobaczy pani Owena.

I teraz słyszę ten sygnał alarmowy – w uszach, w sercu. Nicholas to mówił, teraz mówi to Grady. Jakbym ja tego nie wiedziała. Wiem, ciężar tej świadomości czuję w każdej komórce swojego ciała.

Rezygnuję z Owena. Rezygnuję z szansy, że na koniec tego wszystkiego odzyskam Owena, że będziemy razem. Że on kiedykolwiek do nas wróci. Mogę wątpić, czy Owen wróci do domu. Ale teraz wiem.

Grady zjeżdża na pas awaryjny, ciężarówki mijają nas pędem, uderzenie powietrza wstrząsa samochodem.

– Nie jest za późno – mówi. – Pieprzyć Nicholasa. Pieprzyć ten jakiś wasz układ. Pani nie miała prawa go zawierać. Pani musi myśleć o Bailey.

– O niczym innym nie myślę, tylko o Bailey. Co jest dla niej najlepsze. Co zdaniem Owena mam jej zapewnić.

– Naprawdę sądzi pani, że on by chciał, by pani wybrała taką drogę, że on już nigdy jej nie zobaczy? Nigdy nie będzie miał z nią relacji?

– No to niech pan mi powie, Grady. Zna pan Owena o wiele dłużej niż ja. Czego pańskim zdaniem on ode mnie oczekiwał, kiedy zniknął?

– Myślę, że miała pani siedzieć cicho, dopóki ja nie znajdę jakiegoś rozwiązania. I miał nadzieję, że jego twarz nie pojawi się w wiadomościach. I miał nadzieję, że nie stracie swojej tożsamości. I miał nadzieję, że w razie konieczności przeniosę was wszystkich, tak żebyście mogli być razem.

– I tego nie rozumiem, Grady. Za każdym razem w tym miejscu przestaję rozumieć.

– O czym pani mówi?

– Jakie są szanse? Jeśli nas pan przeniesie, jakie są szanse, że i tak nas znajdą?

– Nieduże.

– To znaczy? Pięć procent? Dziesięć? A co z przeciekiem z ostatniego razu? Czy wtedy też szanse były nieduże? Bo jednak do niego doszło. Owen i Bailey byli narażeni na niebezpieczeństwo pod pańską opieką. Owen nie chciałby tak ryzykować. Nie zaryzykowałby, że coś się stanie Bailey.

– Nie pozwolę, by coś się stało Bailey...

– Jeśli ci ludzie nas znajdą, dopadną Owena za wszelką cenę, prawda? Nie będą robić ceregieli, nie będą pilnować, by ona im się nie nawinęła pod muszkę. Mam rację?

Nie odpowiada. Bo co ma powiedzieć?

– Przede wszystkim nie może pan zagwarantować, że tak się nie stanie. Nie może pan zagwarantować mnie i nie może pan zagwarantować Owenowi. Dlatego właśnie on ją zostawił ze mną. Dlatego właśnie zniknął i nie zgłosił się do pana.

– Myślę, że się pani co do tego myli.

– A ja myślę, że mój mąż wie, kogo poślubił.

Grady się śmieje.

– Można by sądzić, że jeśli wyciągnęła pani z tego wszystkiego jakąś lekcję, to że nigdy nie wiadomo, kogo się poślubia.

– Nie zgadzam się. Gdyby Owen chciał, żebyś siedziała cicho i czekała, aż pan to poprowadzi, toby mi to powiedział.

– Więc jak pani wyjaśni te mejle, które mi wysłał? Te szczegółowe notatki, które prowadził? Dzięki nim Avett nie uniknie kary. FBI już pracuje nad umową, wskutek której Avett trafi na dwadzieścia lat do więzienia. Jak pani to wyjaśni? Widać przecież, że stara się zakwalifikować do programu ochrony świadków?

– Myślę, że robi to z innego powodu.

– Jakiego? Spadku?

– Nie. Z powodu Bailey.

Prycha. Słyszę, ile rzeczy chce mi powiedzieć, ale ma wrażenie, że nie może. Słyszę te wszystkie rzeczy, które wie o Owenie – te same, które wie Nicholas, tylko z innym zabarwieniem. Może myśli, że jak mi powie coś bliższego prawdy, to się do mnie zbliży. Ale ja już wybrałam. Stałam po stronie Bailey. I mojej.

– Powiem to najprościej, jak umiem – mówi. – Nicholas to cholernie zły człowiek. On was któregoś dnia ukarze. Może Bailey nic nie grozi, ale jeśli nie dopadnie Owena, ukarze panią, żeby go zranić. Pani jest dla niego całkowicie zbyteczna. W ogóle pani go nie obchodzi.

– Nie sądzę, żebyś go obchodziła.

– Więc musi pani wiedzieć, z jakim ryzykiem wiąże się dla pani powrót do dotychczasowego życia? Mogę panią chronić tylko wtedy, jeśli mi pani na to pozwoli.

Nie odpowiadam, bo on chce, żebyś powiedziała „tak”. Tak, niech mnie pan chroni. Tak, niech pan chroni nas. A ja tego nie powiem. Nie powiem, bo wiem jedno: Grady nie jest w stanie tego zrobić.

Nicholas i tak by pewnie nas dopadł, jeśli tego chce. Taką właśnie lekcję z tego wyciągnęłam. Tak czy inaczej, wszystko wraca. Tak po prostu wraca. Mogę więc chociaż zrobić to, co najlepsze dla Bailey. A dzięki temu Bailey pozostanie sobą.

Wcześniej nikt jej nie dał takiego wyboru. Już i tak dużo straciła. Mogę przynajmniej dać jej to teraz.

Grady uruchamia samochód, włącza się do ruchu.

– Nie może mu pani ufać. To szaleństwo, że pani sobie nie zdaje z tego sprawy. Nie może pani zawierać umowy z diabłem i oczekiwać, że to będzie to dla pani korzystne.

Odwracam od niego wzrok, patrzę za okno.

– Ale to właśnie zrobiłam.



## Znalazłam drogę powrotną

Bailey siedzi w sali konferencyjnej. I strasznie płacze.

Ledwie wchodzę, zrywa się i pędzi do mnie. Ścisną mnie mocno, wtulając mi się pod szyję.

Trzymam ją tak, nie zważając na obecność Grady'ego, w ogóle na nic nie zważając oprócz niej. Odsuwa się, patrzę na jej twarz, oczy zapuchnięte od płaczu, włosy przyklejone do skóry. Wygląda jak mała dziewczynka, jakby potrzebowała tylko kogoś, kto jej powie, że nic jej nie grozi.

– Nie powinnam wychodzić z pokoju – mówi.

Odgarniam jej włosy z buzi.

– Dokąd poszłaś?

– Nigdzie nie powinnam chodzić. Przepraszam. Ale wydawało mi się, że ktoś puka do drzwi, i potwornie się przestraszyłam. A potem zadzwonił mój telefon, odebrałam. I nikt się nie odzywał. W kółko mówiłam „halo”, a tam tylko szum. Wyszłam na korytarz, pomyślałam, że tam będzie lepszy zasięg, i... nie wiem...

– Po prostu poszłaś przed siebie?

Kiwa głową.

Grady łypie na mnie, jakbym nie miała prawa jej pocieszać. Jakbym po prostu nie miała prawa. Tak teraz to widzi. Jego plan dla Owena i Bailey jest po jednej stronie granicy, a ja po drugiej. W jego oczach jestem najsilniejszym bodźcem, który może doprowadzić do jego wymarzonego rozwiązania.

– Myślałam, że to tata dzwoni. Nie wiem czemu. Może to te szумы albo numer zablokowany. Po prostu czułam, że to on próbuje się ze mną skontaktować, więc pomyślałam, że się przejdę, zobaczę, czy znowu spróbuje. A ponieważ nie spróbował, to... no po prostu szłam. Nie bardzo się nad tym zastanawiałam.

Nie pytam jej, dlaczego chociaż nie dała mi znać, że nic jej nie jest. Może nie dowierzała, że pozwolę jej zrobić, co musi. Pewnie z jednej strony właśnie tak to wyglądało. Ale wiem, że z drugiej nie chodziło

o mnie, więc postanawiam się nie skupiać na sobie. W chwili gdy zdajesz sobie sprawę, że musisz polegać wyłącznie na sobie, by zadbać o własne bezpieczeństwo, zawsze chodzi o ciebie. O rozpracowanie, jak to zrobić.

– Wróciłam do biblioteki – mówi. – Wróciłam na kampus. Miałam tę listę studentów profesora Cookmana i zaczęłam znowu sprawdzać archiwalne roczniki. Po tym, jak zobaczyłyśmy zdjęcie... Kate, wybiegłyśmy tak szybko... I pomyślałam... Pomyślałam, że muszę wiedzieć, zanim wyjadę z Austin.

– I znalazłaś go?

Kiwa głową.

– Ethan Young – mówi. – Ostatni facet na liście...

Nie odzywam się, czekam, aż skończy.

– A potem on zadzwonił – dodaje.

Zatyka mnie.

– O czym ty mówisz?

Mało nie mdleję. Ona rozmawiała z Owenem. Rozmawiała z Owenem.

– Rozmawiałaś z ojcem? – pyta Grady.

Podnosi na niego wzrok, niemal niedostrzegalnie potakując ruchem głowy.

– Mogę porozmawiać z Hanną sam na sam? – pyta.

On przykłęka przy niej, nie wychodzi. Najwyraźniej w ten sposób odmawia.

– Bailey – mówi – musisz mi przekazać, co Owen powiedział. Dzięki temu będę mógł mu pomóc.

Ona tylko kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć, że ma tę rozmowę prowadzić w jego obecności. Że w ogóle musi ją prowadzić.

Daję jej znak, żeby mi powiedziała, żeby powiedziała nam.

– W porządku – zapewniam.

Kiwa głową, nie odrywa wzroku ode mnie. I zaczyna mówić.

– Właśnie znalazłam zdjęcie taty, był tęższy i miał takie długie włosy, do ramion... i na dodatek z tyłu długie, a z przodu krótkie. No i... no i się roześmiałam, bo wyglądał zabawnie. I zupełnie inaczej. Ale to był on. Na pewno to był on. Włączyłam telefon, żeby do ciebie zadzwonić i ci powiedzieć. I wtedy zobaczyłam rozmowę przychodzącą w Signalu.

Signal. Dlaczego to mi brzmi znajomo? I przypominam sobie: jedliśmy w trójkę pierogi w Ferry Building kilka miesięcy temu, Owen wziął telefon Bailey i powiedział, że jej instaluje apkę. Apkę szyfrującą

o nazwie Signal. Powiedział, że w internecie nic nigdy nie ginie. I głupio zażartował, że jeśli będzie wysyłać sexy wiadomości (tak, naprawdę powiedział „sexy”), powinna użyć aplikacji. A ona udawała, że zwraca pierogi.

A potem Owen spoważniał. Powiedział, że jeśli chciałyby wykonać telefon albo wysłać esemesa i chciałyby, żeby nie zostały śladu, powinna użyć aplikacji. Powtórzył to, żeby zapamiętała.

– Zachowam ją na zawsze, jeśli już nigdy nie użyjesz przy mnie słowa „sexy” – obiecała.

– Umowa stoi.

A teraz Bailey mówi szybko.

– Zanim się przywitałam, on już mówił. Nie powiedział, skąd dzwoni. Nie pytał, co u mnie. Powiedział, że ma dwadzieścia dwie sekundy. To pamiętam. Dwadzieścia dwie. A potem powiedział, że mu przykro, przepotwornie, że w ogóle musi dzwonić.

Patrzę na nią, gdy ona się powstrzymuje od płaczu. Nie patrzy na Grady’ego. Patrzy tylko na mnie.

– Co powiedział? – pytam delikatnie.

Widzę, jak jej to ciąży. Cięży tak, jak nic nie powinno ciążyć na tak młodych barkach.

– Że minie dużo czasu, zanim znowu zadzwoni. Powiedział... – Kręci głową.

– Co, Bailey? – pytam.

– Powiedział, że nie może wrócić do domu.

Patrzę na jej twarz, gdy ona próbuje to przetworzyć – tę straszną, niemożliwą rzecz. Straszne, niemożliwe słowa, których on nigdy nie chciał wypowiedzieć. Straszną, niemożliwą rzecz, którą sama podejrzewałam. Straszną, niemożliwą prawdę, którą znałam.

Odszedł. Nie wróci.

– Czy on chciał powiedzieć... że nigdy? – pyta Bailey.

I zaraz wydaje jęk, z głębin siebie, krótki, głos jej więźnie w gardle. Nie może go wydobyć, nie chce tego wiedzieć.

Kładę na jej dłoni swoją, na jej nadgarstku, i trzymam mocno.

– Ja tak nie uważam – włącza się Grady. – Naprawdę nie sędzę, by pani wiedziała, co on miał na myśli.

Przeszywam go spojrzeniem.

– I chociaż ten telefon był z pewnością denerwujący – mówi – w tej chwili musimy omówić dalsze kroki.

Bailey dalej nie odrywa wzroku ode mnie.

– Dalsze kroki? – pyta. – Co to znaczy?

Nie spuszcza wzroku, jesteśmy tylko my. Przysuwam się bliżej, żeby mi wierzyła, kiedy jej powiem, że to ona musi zdecydować.

– Panu Grady’emu chodzi o to, gdzie pojedziemy teraz my dwie. Czy do domu...

– Czy w miejsce, gdzie możemy ci stworzyć nowy dom – dodaje Grady.

– Już o tym mówiłem... Mogę znaleźć tobie i Hannie dobre miejsce do mieszkania, gdzie zaczniecie wszystko od nowa. A twój tata do was dołączy, kiedy uzna, że może bezpiecznie wrócić. Może sądzi, że to nie zdarzy się jutro, może to właśnie usiłował powiedzieć przez telefon, ale...

– Dlaczego nie? – przerywa mu.

– Słucham?

Patrzy mu w oczy.

– Dlaczego nie jutro? Zapomnimy o jutrze. Dlaczego nie dzisiaj? Jeśli mój ojciec rzeczywiście sądzi, że pan jest najlepszym wyborem, dlaczego nie ma go tu z nami teraz? Dlaczego ciągle ucieka?

Grady nie daje rady się powstrzymać i z jego ust wydobywa się śmiech, wściekły śmiech, jakbym to ja wyszkoliła Bailey, żeby zadała to pytanie – jakby to nie było jedyne pytanie, które by zadał ktoś, kto zna i kocha Owena. Owen unikał pobrania odcisków palców. Nie chciał, by jego twarz pojawiła się w wiadomościach. Robił, co trzeba, by nie dopuścić do tej sytuacji, gdy potężne siły mogą obrócić życie Bailey w proch. Jej prawdziwą tożsamość. Więc gdzie jest? Nie ma już o co walczyć. Nic już nie można zrobić. Gdyby miał wracać, gdyby sądził, że to bezpieczny moment na nowy początek, byłby tu teraz. Byłby z nami.

– Bailey... raczej nie mam szansy udzielić ci teraz odpowiedzi, która by cię zadowoliła – mówi. – Mogę ci natomiast powiedzieć, że powinnaś pozwolić, bym jednak ci pomógł. Tobie i Hannie.

Bailey spuszcza wzrok na swoją dłoń, na której leży moja.

– Więc... o to tacie chodziło? – pyta. – Nie wraca?

Pyta mnie. Prosi, bym potwierdziła to, co ona już wie. Nie waham się.

– Nie. Nie sądzę, żeby mógł wrócić.

Widzę w jej oczach, jak smutek przechodzi w gniew. Potem przeobrazi się jeszcze raz, tym razem w żalobę. Żarliwy, samotny, konieczny krąg,

z którym zaczyna się zmagać. Jak się z tym zmagać? Proste. Kapitulujesz. Kapitulujesz przed swoim uczuciem. Przed niesprawiedliwością. Ale nie rozpacz. Nie dam jej rozpaczać, jeśli to jedyna rzecz, jaką zdołam zrobić.

– Bailey... – Grady kręci głową. – My nie wiemy, czy to prawda. Znam twojego ojca...

Podrywa głowę.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem, że znam twojego ojca...

– Nie. To ja znam swojego ojca.

Twarz jej poczerwieniała, oczy ma płonące i stanowcze. I widzę to – jej decyzja już się krystalizuje, potrzeba cementuje, powstaje coś, czego nikt jej nie odbierze.

Grady dalej mówi, ale ona już go nie słucha. Patrzy na mnie, gdy mówi to, co przewidziałam – to, do czego cały czas dochodziła. Dlatego poszłam do Nicholasa, dlatego zrobiłam to, co zrobiłam. Mówi to tylko do mnie. Skreśliła całą resztę. Z czasem będę musiała to odbudować. Będę musiała zrobić wszystko, by pomóc jej w odbudowie.

– Chcę jechać do domu – mówi.

Patrzę na Grady'ego, jakbym mówiła: „Słyszał pan”. I czekam, aż zrobi to, co musi, bo nie ma wyboru.

Puszcza nas wolno.

## Dwa lata i cztery miesiące wcześniej

– Pokaż mi, jak to się robi – powiedział.

Włączyliśmy światła w mojej pracowni. Właśnie wyszliśmy z teatru po naszej nierandce, Owen spytał, czy może wrócić ze mną do pracowni. Chciał się po prostu dowiedzieć, jak używać tokarki. Chciał się dowiedzieć, jak ja robię to, co robię.

Rozejrzał się i zatarł ręce.

– No to od czego zaczynamy?

– Musisz wybrać kawałek drewna. Wszystko zaczyna się od wybrania dobrego kawałka drewna. Jeśli nie jest dobry, to i do niczego dobrego nie dojdiesz.

– Jak wybierają tokarze?

– My tokarze postępujemy różnie. Mój dziadek pracował głównie z klonem. Uwielbiał ubarwienie, uwielbiał, jak słoje się wytaczają z drewna. Ale ja używam różnych gatunków. Dąb, sosna, klon.

– A z którym drewnem najbardziej lubisz pracować?

– Nie lubię faworyzować.

– O, dobrze wiedzieć.

Pokręciłam głową, powstrzymując uśmiech.

– Jeśli chcesz sobie ze mnie żartować...

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie żartuję sobie z ciebie – powiedział. – Jestem zafascynowany.

– No dobrze, no więc nie chcę jakichś ckiwości, ale myślę, że różne gatunki drewna pociągają cię z różnych powodów...

Przeniósł się na mój stół roboczy, nachylił się do mojej największej tokarki.

– To moja pierwsza lekcja?

– Nie, pierwsza lekcja to wybrać interesujący kawałek drewna, musisz zrozumieć, że dobre drewno ma jedną cechę definiującą. Mój dziadek tak mówił. I moim zdaniem to zdecydowanie prawda.

Przejechał ręką po kawałku sosny, nad którym pracowałam. Postarzone drewno, ciemne jak na sosnę, soczyste.

– A ten kawałek co definiuje?

Położyłam rękę na środku, w miejscu, gdzie była niemal biała, totalnie wypłowiła.

– Myślę, że to miejsce. Myślę, że może się okazać interesujące.

Też położył tam dłoń, nie dotykając mojej, nie próbując – tylko próbując zrozumieć, co mu pokazuję.

– Podoba mi się to, podoba mi się ta filozofia, to znaczy... Myślę, że to samo pewnie powiedziała byś o ludziach. Że koniec końców określa ich jedna rzecz.

– A ciebie co określa? – spytałam.

– A ciebie?

Uśmiechnęłam się.

– Ja pierwsza.

Uśmiechnął się też. Tak po swojemu.

– No dobra – powiedział. I nie zawahał się, ani sekundy. – Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla swojej córki.

## Czasami można wrócić

Siedzimy w samolocie, czekając na start. Bailey patrzy za okno. Wygląda na wyczerpaną – oczy ma podkrążone, skórę w czerwonych plamach. Wygląda na wyczerpaną i przerażoną.

Jeszcze jej nie powiedziałam wszystkiego. Ale ona dużo już rozumie. Rozumie tyle, że wcale się nie dziwię, że jest przerażona. Byłabym zdziwiona, gdyby nie była.

– Przyjadą z wizytą – mówię. – Nicholas i Charlie. Jeśli chcesz, zabiorą ze sobą twoich kuzynów. Myślę, że byłoby miło. A twoi kuzyni bardzo chcą cię poznać.

– Nie będą u nas nocować czy coś?

– Nie, nic takiego. Zjemy razem obiad, może ze dwa razy. Na początek.

– I ty przy tym będziesz?

– Będę.

Kiwa głową, ja czekam.

– Czy o tych kuzynach muszę teraz podjąć decyzję? – pyta.

– W tej chwili nie musisz o niczym decydować.

Nic już nie mówi. Rozumie – jak również pozwala sobie przyjąć tę informację – że jej ojciec nie wróci do domu. Ale nie chce o tym rozmawiać, jeszcze nie. Nie chce ze mną analizować, jak będzie wyglądać życie bez niego, jak je będzie odbierać. Tego też nie trzeba teraz robić.

Biorę głęboki oddech i staram się nie myśleć o wszystkich rzeczach, które naprawdę muszą się zdarzyć – jeśli nie teraz, to niedługo. Trzeba będzie podjąć kroki, jeden po drugim, żeby brnąć przez życie. Jules i Max odbiorą nas z lotniska, w lodówce mamy zapas jedzenia, obiad czeka na stole. Ale te rzeczy będą musiały się wydarzać, dzień po dniu, aż zaczną się znowu wydawać normalne.

I są sprawy, których nie mogę uniknąć. Na przykład gdy za kilka tygodni (albo kilka miesięcy), kiedy Bailey będzie już dochodziła do siebie, a ja będę miała pierwszą spokojną chwilę, żeby pomyśleć o sobie. O tym, co straciłam, czego nigdy nie odzyskam. Pomyśleć tylko o sobie. I o Owenie. O tym, co straciłam – ciągle tracę – bez niego.



Kiedy świat się znowu uspokoi, będę musiała zmobilizować wszystko, czego nie mam, by ten żal po nim mnie nie powalił.

Dziwna rzecz mnie powstrzyma przed totalną rozsypką. Poznam odpowiedź na pytanie, które dopiero zaczynam rozważać: czy gdybym wiedziała, zostałabym? Gdyby Owen mi powiedział na samym początku, że ma taką przeszłość, gdyby mnie ostrzegł, w co wchodzę, czy i tak bym go wybrała? Czy wybrałabym taki koniec, o jakim ostatecznie sama zdecydowałam? To mi przypomni na chwilę ten krótki moment łaski, który zapewnił mi dziadek tuż po odejściu mojej matki, gdy uświadomiłam sobie, że jestem na swoim miejscu. I poczuję, jak odpowiedź płynie w moich żyłach niczym oślepiający upał. Tak. Bez wahania. Nawet gdyby Owen mi powiedział, nawet gdybym wiedziała absolutnie o wszystkim. Tak, dokonałabym tego wyboru. I to mi da siłę.

– Dlaczego to tak długo trwa? – pyta Bailey. – Dlaczego jeszcze nie startujemy?

– Nie wiem. Chyba stewardesa mówiła coś o kolejce na pasie.

Kiwa głową i obejmuje się ramionami, zmarznięta i nieszczęśliwa, w tiszercie, który nie ma szans w starciu z mroźnym powietrzem w samolocie. Na rękach ma gęsią skórę. Znowu.

Tylko że tym razem jestem na to przygotowana. Dwa lata temu – dwa dni temu – nie byłam. Jednak teraz to inna historia. Sięgam do swojej torby i wyciągam ulubioną bluzę Bailey. Wrzuciłam ją do podręcznej torby, żeby była na ten moment.

Po raz pierwszy wiem, jak jej dać to, czego potrzebuje.

Oczywiście to nie jest wszystko. Nawet nie prawie. Ale bierze sweter, wkłada go, dłońmi dogrzewając łokcie.

– Dzięki – mówi.

– Nie ma sprawy.

Samolot rzuca się do przodu kilka metrów, potem się cofa. Następnie powoli rusza po pasie startowym.

– No to lecimy – mówi Bailey. – Nareszcie.

Opada na oparcie, z ulgą, że już jest w drodze. Zamyka oczy i kładzie łokieć na podłokietniku między nami.

Jej łokieć tam spoczywa, samolot nabiera prędkości. Ja też tam kładę łokieć i czuję, jak ona to robi, czuję, jak obie to robimy. Przysuwamy się odrobinę bliżej do siebie.

I to jest właśnie to.

Jakiś start.

## Pięć lat później. Albo osiem. Albo dziesięć

Jestem na wystawie First Look odbywającej się w Pacific Design Center w Los Angeles. Bierze w niej udział oprócz mnie dwudziestu jeden innych rzemieślników i wytwórców. Debiutuję z nową kolekcją z białego dębu (głównie meble, poza tym misy i inne przedmioty).

Takie wystawy są świetne, żeby się pokazać potencjalnym klientom, ale też dają okazję do spotkań ze znajomymi – i to jest trochę kierat. Kilku architektów i tokarzy przychodzi się przywitać, spytać, co słyhać. Bardzo się starałam podczas tych pogawędek, ale teraz dopada mnie zmęczenie. I gdy zbliża się osiemnasta, usiłuję patrzeć nie na ludzi, tylko poprzez nich.

Bailey ma się ze mną spotkać na obiedzie, więc głównie wypatruję jej, podekscytowana, że zamknę kram na dziś. Przyprowdzi chłopaka, z którym ostatnio się spotyka, finansistę, noszącego imię Shep (dwa punkty na minus), ale zaklina się, że go polubię. „On nie jest taki” – mówi.

Nie jestem pewna, czy mówi o jego pracy w finansach, czy o imieniu Shep. Tak czy owak Bailey chyba odreagowuje ostatniego chłopaka, który miał mniej irytujące (John) imię i był bezrobotny. I tak to wygląda, randki dwudziestolatków, a ja się cieszę, że ona myśli o takich rzeczach.

Mieszka teraz w Los Angeles. Ja też tu mieszkam, niedaleko oceanu – i niedaleko niej.

Sprzedalam dom na wodzie, jak tylko Bailey skończyła liceum. Nie mam złudzeń, że dzięki temu stracą nas z oczu – te tajemnicze osoby gotowe do skoku, gdyby Owen kiedykolwiek wrócił. Jestem pewna, że nieustannie nas obserwują, bo a nuż on zaryzykuje spotkanie z nami. Zachowuję się, jakby mnie zawsze obserwowali, czy on to robi, czy nie.

Czasami mi się wydaje, że ich widzę, w hali odlotów na lotnisku albo przed restauracją, ale oczywiście nie wiem, kim są. Obstawiam każdego, kto patrzy na mnie sekundę dłużej. To mnie powstrzymuje przed dopuszczeniem do mnie zbyt wielu ludzi, co samo w sobie nie jest złe. Mam tych, których potrzebuję.

Oprócz jednego.

Wchodzi do sali wystawowej, swobodnym krokiem, z plecakiem na ramieniu. Włosy w nieładzie ma przystrzyżone do skóry i ciemniejsze, nos krzywy, jakby po złamaniu. Ubrany jest w koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi tatuaże sięgające dłoni, palców, jak pajak.

I wtedy zauważam obrączkę, którą ciągle nosi. Obrączkę, którą ja dla niego zrobiłam. Jej wąskie dębowe wykończenie jest prawdopodobnie niezauważalne dla nikogo innego. Ale ja ją znam na wylot. Nie mógłby być mniej do siebie podobny. Ale może tak robisz, kiedy się musisz ukryć przed ludźmi. A może to jednak nie on?

Nie po raz pierwszy mam wrażenie, że go widzę. Wydaje mi się, że widzę go wszędzie.

Tak mnie to wytrąca z równowagi, że upuszczam papiery, które trzymam. Rozsypują się po podłodze.

Nachyla się, by mi pomóc. Nie uśmiecha się, bo to by go zdradziło. Nie ośmiela się dotknąć mojej dłoni. To byłoby za dużo pewnie dla nas obojga.

Podaje mi papiery.

Chcę mu podziękować. Robię to na głos? Nie wiem.

Może. Bo on kiwa głową.

Po czym wstaje i zaczyna się oddalać, w tym samym kierunku, z którego przyszedł. I wtedy wypowiada słowa, które mogłyby paść wyłącznie z jego ust.

– Ci potencjalni chłopcy ciągle cię kochają – mówi cicho Owen. Nie patrzy przy tym na mnie.

Jakby mnie pozdrawiał.

Jakby się żegnał.

Skóra mi płonie, policzki czerwienieją. Ale nic nie mówię. Nie ma czasu na nic. Owen wzrusza ramionami i poprawia plecak na ramieniu. Po czym znika w tłumie. I tyle. Jest po prostu kolejnym fanem designu, zmierzającym na kolejne stoisko.

Nie mam śmiałości odprowadzić go wzrokiem. Nie mam śmiałości spojrzeć w jego stronę.

Mam spuszczone oczy, udaję, że układam te papiery, ale bije ode mnie namacalne ciepło, skórę mam cały czas czerwoną, na twarzy, gdyby ktoś mi się teraz przyglądał, zauważyłby to. Mam nadzieję, że nie.

Liczę do stu, potem do stu pięćdziesięciu.

Gdy wreszcie się ośmielam podnieść wzrok, widzę Bailey. Natychmiast się uspokajam, koncentruję. Idzie do mnie z tego samego kierunku, w którym zniknął Owen. W swojej szarej dzianinowej sukience i wysokich converse'ach, długie brązowe włosy sięgają jej do połowy pleców. Czy Owen ją minął? Czy przekonał się, na jaką piękność wyrosła? Jaka jest pewna siebie? Mam nadzieję. Mam nadzieję i jednocześnie mam nadzieję, że nie. Która wersja jest dla niego bardziej miłosierna?

Biorę głęboki oddech i przyglądam się jej. Idzie z Shepem, swoim nowym chłopakiem. On salutuje, na pewno myśli, że to urocze. Nie jest.

Ale uśmiecham się do nich. No bo jakżeby inaczej? Bailey też się uśmiecha. Uśmiecha się do mnie.

– Mamo – mówi.

# Podziękowania

Pracę nad tą książką zaczęłam w 2012 roku. Wiele razy ją odkładałam, ale jednak nie byłam w stanie z niej zrezygnować. Jestem ogromnie wdzięczna Suzanne Gluck, której wskazówki za każdym razem pomagały mi znaleźć wersję, którą chciałam opowiedzieć.

Marysue Rucci – Twoja wnikliwa redakcja i mądre uwagi pod każdym względem przydały tej powieści walorów. Dziękuję, bo pisarka nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej redaktorki, a do tego byłaś mi bliską przyjaciółką.

Dziękuję cudownemu zespołowi w Simon & Schuster, do którego należą: Dana Canedy, Jonathan Karp, Hana Park, Navorn Johnson, Richard Rhorer, Elizabeth Breeden, Zachary Knoll, Jackie Seow, Wendy Sheanin, Maggie Southard i Julia Prosser; dziękuję też Andrei Blatt, Laurze Bonner, Annie Dixon i Gabby Fetters z WME.

Z Sylvie Rabineau siedzimy w tym razem od pierwszej książki, od pierwszego dnia. Dziękuję Ci, bo jesteś moją najbardziej zaufaną doradczynią, „Sylv” Jacoba, i jedną z moich ulubionych osób na ziemi. Kocham Cię.

Pozostaję dłużniczką Katherine Eskovitz i Grega Andresa za ich porady prawne, a także Simone Puglii, przewodniczki po Austin. Niko Canner i Uyen Tieu to twórcy cudownej toczonej w drewnie misy stojącej na moim biurku, która stanowiła inspirację do dzieł Hanny. Za przeczytanie niezliczonych wersji roboczych (przez ostatnie osiem lat!) i za nieocenioną pomoc dziękuję wielu osobom, do których należą: Allison Winn Scotch, Wendy Merry, Tom McCarthy, Emily Usher, Stephen Usher, Johanna Shargel, Jonathan Tropper, Stephanie Abram, Olivia Hamilton, Damien Chazelle, Shauna Seliy, Dusty Thomason, Heather Thomason, Amanda Brown, Erin Fitchie, Lynsey Rubin, Liz Squadron, Lawrence O'Donnell Jr., Kira Goldberg, Erica Tavera, Lexi Eskovitz, Sasha Forman, Kate Capshaw, James Feldman, Jude Hebert, Kristie Macosko Krieger, Marisa Yeres Gill, Dana Forman i Allegra Caldera. Szczególne podziękowania kieruję do Lauren Levy Neustadter, Reese Witherspoon,

Sary Harden i niewiarygodnej drużyny Hello Sunshine – Wasza wiara w tę książkę to naprawdę spełnienie marzeń.

Na szczerze wyrazy wdzięczności zasłużyły rodziny Dave i Singer, a także moi cudowni przyjaciele wspierający mnie swoją niesłabnącą miłością. Jak również czytelnicy, kluby książkowe, księgarze oraz wielbicielki książek dotrzymujący mi zawsze towarzystwa.

I wreszcie moja rodzina.

Josh – sama nie wiem, za co Ci dziękować w pierwszej kolejności. Pewnie za to, że bez Ciebie i bez Twojej wiary we mnie ta powieść nie ujrzałaby światła dziennego. Bobby nie ujrzała. I jeszcze, że nie mogę uwierzyć, że mam partnera, na punkcie którego po trzynastu latach wciąż mam kręćka. Ale czy mogłabym zacząć od kawy? Tak uwielbiam kawę. I kocham Ciebie ponad wszystko.

Jacob, mój niezrównany, wielkoduszny, mądry, wspaniały mały mężczyzno. Odkąd pojawiłeś się na tym świecie, zaczęłam nowe życie. I teraz idę przez nie pełna pokory i wdzięczności za wszystko, czego mnie uczysz. Co mogę powiedzieć, dzieciaku, czego nie mówię Ci na co dzień? To wielkie szczęście być Twoją mamą.

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Jeśli otwierasz drzwi nieznanym...

Greene Street w dawnych czasach

Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi

Myśl, co chcesz

24 godziny wcześniej

Podążaj tropem pieniędzy

Pomoc w drodze

To nie są twoi przyjaciele

Nie wykorzystuj tego przeciwko mnie

Sześć tygodni wcześniej

Niezbyt dobry, bardzo zły dzień Bailey

Czego nie chcesz pamiętać?

## CZĘŚĆ DRUGA

Cudaczne Austin zawsze na prosiu

Po co komu przewodnik?

Trzy miesiące wcześniej

Kościelnym szlakiem

Nie każdy jest dobry w pomaganiu

Osiem miesięcy wcześniej

Przykro nam, zapraszamy

Każdy kij ma dwa końce

Rok wcześniej

Skasuj całą historię

To przecież nauka

Niektórzy studenci się wyróżniają

Czternaście miesięcy wcześniej



Jeśli wychodzisz za króla balu...

Bar Never Dry

Uważaj, czego sobie życzysz

Półtora roku wcześniej

Dobry Prawnik

### CZEŚĆ TRZECIA

Kiedy byliśmy młodzi

Każdemu przydaje się podsumowanie

Never Dry po raz drugi

Nad jeziorem

Dwa lata temu

Niektóre rzeczy musisz zrobić sam

Diabeł tkwi w szczegółach

Znalazłam drogę powrotną

Dwa lata i cztery miesiące wcześniej

Czasami można wrócić

Pięć lat później. Albo osiem. Albo dziesięć

Podziękowania